ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXI.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.

I. **Z teki Alfreda Tennysona.** Z oryg. przeł. *Jan Kasprowicz* 1

II. **Galicyjskie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie.** Przez *Artura B.* 10

III. **Gerhart Hauptmann.** Zarys literacki. Przez *Ignacego Suessera* 53

IV. **Ciekawa statua.** Symbolika. Przez *Kazimierza Rojana* 67

V. **„Zwierzyniec“** Mikołaja Reja z Nagłowic. Przez *Ignacego Chrzanowskiego* 73

VI. **Kołysanka.** Wiersz. Przez *Wacława Wolskiego* . . 114

VII. **Syndykaty przemysłowe.** Przez *St. Piotrowskiego* . . 117

VIII. **Życzenie.** Nowella. Przez *Sudermanna* 155

IX. **Cywilizacya przyszłości.** Przez *N. T.* 181

X. **Rozbiory i sprawozdania.**
Zofia Daszyńska. Szkice metodologiczne. Warszawa, 1892. Str. 63. Przez *W. M. Kozłowskiego* 187

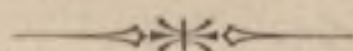
XI. **Nowości naukowe i literackie** 193

Druk ukończono d. 11 Lipca 1893 r.



Z TEKI

ALFREDA TENNYSONA.



I.

Oenone.

Jest w Idzie jedna dolina, nad wszystkie
W górach jońskich piękniejsza doliny
Mgły falujące kłębią się w przepaści
I wyciągając leniwe ramiona,
Pełzną od jodły do jodły. Po jednéj
I drugiéj ręce wiszą u gór stoków
Pola i łąki kwieciste, a dołem
Przez jar głęboki od spadu do spadu
Pędzi ku morzu, hucząc, potok długi.
Po za doliną pnie się Gargar k'niebu,
Pierwszy witając poranek, lecz z przodu
Wąwóz otwarty ukazuje w wianku
Kolumn Troady i Ilionu twierdzę,
Oną Troady koronę.

* * *

Z południa
Oenone tu się przybłąkała smutna;
Rzucił ją Parys, ongi druh jéj w górach,
Zwiędły jéj lica płomieniste róże,

A włos opadał naokoło szyi,
Lub spoczywając zdawał się opadać.
Wsparta o gruzy, oplecione winem,
Cichéj śpiewała pustyni, aż z skalnych
U góry złomów k'niéj się cień przecisnął.
„O matko Ido! strumienista Ido!
O droga matko, usłysz mnie, nim umrę.
Spokój południa obejmuje wzgórza,
W trawie wysokiéj nawet świerszcz umilknął,
Jaszczur, na kamień cień swój rzucający,
Jak cień spoczywa, usnęła cykada,
Drzémie kwiat róży, w lilii kołysze
Złota się pszczoła, tylko ja tu czuwam,
W oczach łez pełna, a w sercu miłości;
Serce się kraje, oko się przyćmiéwa
I żyć już nie chcę, przesycona życiem.

* * *

O matko Ido! strumienista Ido!
O droga matko słuchaj mnie, nim umrę.
Słuchaj mnie ziemio! Góry! wy jaskinie,
Gadu zimnego gnieździska! potoki! —
Boga strumieni ja córką — słuchajcie!
Gdyż pragnę mówić... Pieśń ma niechaj spiętrzy
Wszystką mą boleść, tak jak twierdza owa
Przy dźwiękach lutni podniosła się zwolna,
Nakształt obłoku, co się w kształty kłębi,
Niech choć na chwilę, gdy wam mówię o tém,
Serce me krwawszéj uniknie boleści.

* * *

O matko Ido! strumienista Ido!
O droga matko, słuchaj mnie, nim umrę!
U gór podnóża czekałam o świcie,
Na szczytach rosy spoczywały ciemne
I jodły w ciemnych spoczywały rosach,
Uroczy Parys, ten Parys bez serca,
Przychodził wówczas z czerniutkiem koźlęciem,
O białych nogach i o rogach białych,
Sam z Simoidy ostrowia przychodził.

* * *

O matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę!
Tam górski potok przyzywał mnie z jaru,
A górą promień porannego słońca
Na śniegi padał dziewicze. Z spuszczoném
Siedziałam okiem; jak gwiazda, tak białą
Błysnął on piersią pośród tego zmroku.
Z ramion lamparcia zwieszała się skóra,
A skronie włos mu oplatał słoneczny,
A wargi jego lśniły się, jak piana,
Wydęta wiatrem; k'niemu biegło serce,
Tuląc go w uścisk, zanim jeszcze nadszedł.

* * *

O matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę,
Z uśmiéchem, rękę otworzywszy mleczną,
Oczom mym owoc pokazał z szczerego
Złota Hesperyi, wonny jak ambrozya.
Wsłuchana w niego i wpatrzona, strumień
Słów, który płynął z jego ust do głębi
Serca wchłaniałam.

* * *

„O duszo ty moja,
Oenono czoła pięknego! o luba!
Spójrz na ten owoc. Napis na łupinie
„Dla najpiękniejszéj“ — przeznacza go tobie,
Śród pląsających na Idzie oread
Najcudowniéjszéj w postawie i ruchu
I w brwi spłączonych uroku, najpierwszéj.“

* * *

O matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę...
Kwiecie ust swoich lepiąc do méj wargi,
Mówił: „Patrz, owoc ten na stół rzucono,
Gdy się niedawno zebrał orszak bogów
Śród Pelejowych przybytków. I wszczął się
Spór, komu słusznie przyznać go należy.
Promienno-stopa Iris wczoraj w wieczór
Przyniosła mi go, głos bowiem powszechny
Wybrał mnie sędzią. I Hera tu przyjdzie
I Afrodyta i Pallas, nagrody
Piękności aby zażądać. Tam w grocie,

Za szeleszczącą jodłą, niesłuchana
Możesz podsłuchać, ujrzéć, niewidziana,
Jako twój Parys będzie sądził bogów...“

* * *

O matko Ido! słuchaj mnie, nim umrę!
Było to późném południem. Obłoczek
Srebrny powionął nad krawędzie jaru,
Zarosłe jodłą... I przyszły do gaju,
Nagie, na miękie przybyły trawniki,
Krokus z pod stóp ich wyrastał jak ogień,
Fiołek, lilija, asfodyl, amarant
I kwiat lotosu... I wnet wiatr się zerwał
I nad głowami jęły się kołysać
Porozpinane bluszczu, wina zwoje
I wkoło gałąź owijać sękatą
Barwną girlandą jagód, gron i kwiecia.

* * *

O matko Ido! słuchaj mnie, nim umrę.
Na drzewie siedział paw' barwistoczuby,
Po nad nim złoty zawisnął obłoczek
I w kropli wonnych wnet go puch otulił.
I usłyszałam wprzód głos téj, przed którą,
Kiedy, jak światło, coraz to jaśniejszy
Blask rzucając, uroczy poprzez Olymp,
Biją pokłony bogowie... królewską
I niepodzielną władzę obiecała
Dać Parysowi; z niejednego łanu
Plony obfite i złota kopalnie
Niewyczerpane; cześć i hołd lenników,
Cło i podatki niejednego grodu
I niejednego rozległego portu,
Gdzie maszt przy maszcie pnie się w cieniu twierdzy,
Co się w zatoki odbija zwierciedle.

* * *

O matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę!
I więcéj jeszcze mówiła — o władzy
I wciąż o władzy, tym wszechdążeń celu,
Władzy, co z czasem umié chodzić w parze,
Co ma kolébkę i tron swój w mądrości:

„Wszystkie mocarstwa sąsiednie w sojuszu
Z twoją koroną lub podwładne tobie,
Póki ci berło nie wypadnie z ręki...
Dar ten odemnie, od królowéj niebios,
O królewiczu — królewicz tyś bowiem,
Choć tylko jesteś pasterzem — powinien
Miłym być tobie, gdyż przez władzę tylko
Wznoszą się ludzie ku bogom, co ciszy
Błogosławionéj używają w miejscu
Błogosławioném, w górze, nad gromami,
Żyjąc, wieczystém otoczeni szczęściem,
Swojéj mądrości świadomi i władzy.“

* * *

O matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę.
Zmilkła... I Parys wyciągnął już ramię,
By dać jéj owoc, tak go przynęcała
Nadzieja władzy. Lecz Pallas, stojąca
Nieco na boku, skrzyżowawszy nagie,
Świetlane członki na włóczni bronzowéj,
Spoczywającéj zimno na ramieniu,
Bielszém od pereł, na piersi śnieżystéj
I na tém licu, które gniewem płonie,
Wytęży oko, wielkie i poważne,
W oczekiwaniu wyroku i rzecze:

* * *

„Poszanowanie siebie i poznanie
I panowanie nad sobą — do władzy
Największéj tylko one trzy nas wiodą.
Lecz nie do władzy dążyć (która naraz
Przychodzi sama, choć jéj nie wołamy) —
Nie! żyć dla prawa, któreś sobie stworzył
Sam, i że prawo jest prawem, iść za niém
Na przekór skutkom, to byłaby mądrość.“

* * *

O matko Ido! słuchaj mnie, nim umrę...
Rzekła: „Nie nęcę ja ciebie darami:
Ani mnie zmieni ani mnie upiększy
Twoja nagroda... Sądź mnie, jak mnie widzisz,
A najpiękniejszą snać zobaczysz we mnie.

Lecz gdy na boskość patrząc obnażoną,
Za słabém będzie twe oko śmiertelne,
By sprawiedliwy wydać sąd — bądź pewny:
Kochać cię będę, wiecznie bacząc na to,
By moja siła, z krwią twą wszedłszy w śluby
Była w twych tętnach żywa, jak u boga,
Do walk cię pchając, niebezpieczeństw, czynów,
Aż ci wytrwała cierpliwość, w bohatérstw
Zahartowana ogniu — aż ci wola silna,
Przebiegłszy całe doświadczenia koło,
Służąc prawidłom pewnéj siebie cnoty,
Zgotuje pełnię swobody!..“ Zamilkła.
Namyślać jął się Parys, ja — „Parysie!“
Zawołam — „daj go Palladzie!“ Nie słyszał,
A może nie chciał mnie słyszéć — o biada!

* * *

O matko Ido! strumienista Ido!
O droga matko! słuchaj mnie, nim umrę,
Idalióńska Afrodyta, świéża,
Jak piana Pafos, z któréj się zrodziła,
Jęła palcami zgarniać różowemi
Z gorącéj skroni i z piersi gorącéj
Włos, co woniejąc zapachem ambrozyi,
Naokół szyi obnażonéj w puklach
Wił się złocistych; z pośrodka fiołków
Zaróżowiona przeglądała stopa,
A poprzez cienie winogradu promień,
Gdy się ruszyła, tryskał z krągłych kształtów.

* * *

O matko droga, słuchaj mnie, nim umrę,
Z słodkim uśmiechem w łagodnéj źrenicy,
Zwiastunem zwycięstw, zbliży się ku niemu
I szepnie w ucho: „Najpiękniejszą tobie
I najwdzięczniejszą przyrzekam niewiastę...“
I roześmiała się, gdy ja ze strachu
Zamknęłam oczy; gdym spojrzała w górę,
Parys mój ramię trzymał wyciągnięte.
I wielkiéj Hery gniewny wzrok spostrzegłam,
W swoim obłoku uchodzącéj złotym...

I pozostałam sama w owym gaju,
I sama jestem od onego czasu,
I mam pozostać sama aż do końca.

* *
*

Lecz, matko Ido, słuchaj mnie, nim umrę.
Co? najpiękniejsza?!... Ja czyliż nie pięknam?
Tysiąc to razy mawiał mój jedyny;
Piękną być muszę, tak mniemam, wszak wczoraj
Kiedym szła borem, za mną lampart dziki
Wlókł się gęstwiną, dysząc od radości,
Barwnym ruszając chwostem, pożądliwie
Robiąc bokami... Najwdzięczniejszą — ona?!
O, mój pasterzu! Żebyć ramię moje
Objęło ciebie w swój uścisk, a wrzące
Wargi me, żebyć wpiły się w twe usta,
Deszcz urodzajny ognistych całunków
Sącząc, jak deszcz ten jesienny, co spada
Na Simoidy fale rozpienione!

* *
*

O matko moja, słuchaj mnie, nim umrę!
Przyszli i ścięli jodły me najwyższe,
Me ciemne jodły, co jaru krawędzie
Zdobiły wieńcem, pomiędzy śnieżnemi
Szczyty i śnieżnym potokiem hodując
Orle pisklęta; z ich ciemnéj gęstwiny
Pośród świtania tajemniczych zmierzchów
Ryk się pantery dobywał stłumiony,
Gdym ja siedziała w dolinie. Ach! nigdy,
Nigdy samotna nie ujrzy Oenone,
Jak mgły powiewne chwytają się liści,
Jak srebrne chmurki suną ponad niemi,
Na rąbkach światłem oblane miesięczném,
Między potokiem i cichemi gwiazdy.

* *
*

O matko moja, słuchaj mnie, nim umrę!
Śród tych szałasów zwalonych, w tym suchym
Trzeszczącym gąszczu, pośród złomów skalnych
Spotkaćbym chciała ją, tę przeohydną,

Co nie proszona przybyła na ucztę,
W domu Peleja, między biesiadniki
Złociste jabłko rzuciła, stwarzając
Zmianę dzisiejszą. W twarz-bym jéj cisnęła
Gniew i nienawiść mą wszystką, jéj, któréj
Ludzie i bogi równo nienawidzą.

* * *

O matko moja, słuchaj mnie, nim umrę!
Czyż on miłości stokroć nie przysięgał
W téj tu dolinie i u tego stoku,
Na tym tu głazie i w tę rękę moją,
Kładąc całunki i rosząc ją łzami?
O łzy szczęśliwe, tym jak niepodobne!
Szczęśliwe niebo, widzisz ty me lica?
Szczęśliwa ziemio, udźwigniesz mój ciężar?
O, śmierci! śmierci! śmierci! ty obłoku
Nigdy nie starty! dosyć jest na ziemi
Ludzi nieszczęsnych; omijaj szczęśliwych,
Spragnionych życia, a zagaś me światło,
Otul mą duszę swym cieniem, niech umrę!
Ciężko ty w piersi przygniatasz mi serce,
Przygnieć i moje powieki, niech umrę!

* * *

O matko moja, słuchaj mnie, nim umrę!
Nie chcę umierać sama; coraz bardziéj
Myśli się we mnie kształtują ogniste,
Coraz wyraźniéj śpiesząc w ślad za niemi,
Słyszę głos, co z wyżyn płynie,
Stłumion, jak kroki na miękkim kobiercu
W dali mój ciemny majaczeje zamiar
I tak niepewny, jak rysy dziecięcia,
O których matki śnią, nim jeszcze na świat
Przyjdzie dziecina... Dziecina! me członki
Przeszywa zgroza, nigdy nie porodzę
Dziecka, by ojca dręczyło mnie wzrokiem!

* * *

O matko moja, słuchaj mnie, nim umrę!
Słuchaj mnie ziemio! nie chcę umrzeć sama,

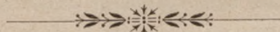
Aby w ślad za mną nie biegł jéj szczęśliwy,
Przerażający śmiech, kiedy samotna,
Niepocieszona pójdę po téj zimnéj,
Bezgwiazdnéj drodze śmierci, jedynego
Pozostawiwszy z Greczynką... Do Troi
Oto pośpieszę, nim gwiazdy zabłysną,
Do wieszczki bogów, Kasandry, po radę;
Wszak ona widzi naokoło siebie
Taniec płomieni, a w jéj uszach wiecznie
Brzmią wojowników uzbrojonych głosy.
Co to ma znaczyć, nie wiem; wiem to jedno,
Że gdzie się zwrócę za dnia albo w nocy,
Ziemia i niebo, jeden płomień dla mnie!...

Z oryg. przeł. *Jan Kasprowicz.*





GALICYJSKIE
TOWARZYSTWO KREDYTOWE ZIEMSKIE.



Towarzystwo kred. galicyjskie w roku bież. dosięgło półwiekowego żywota. Ku uczczeniu tej rocznicy pojawiły się dwie prace — syndyków tego towarzystwa: Dr. Tadeusz Skałkowski w broszurze swéj o towarzystwach kredytowych ziemskich, kreśli więcéj ogólne niż szczegółowe monografie wszystkich sąsiednich towarzystw kredytowych, a więc naszego towarzystwa kredytowego ziemskiego, ziemstwa poznańskiego i wreszcie galicyjskiego towarzystwa [1]).

Praca d-ra i profesora Ostrożyńskiego ogranicza się tylko do Tow. galicyjskiego, lecz wprowadza nas we wszelkie szczegóły jego dziejów i ustaw i daje przewyborny obraz jego działalności.

Obie jednak te prace nie dotykają wcale, że się tak wyrazimy, tła ekonomiczno-finansowego, na którém towarzystwo galicyjskie rozwijało się, to jest prawodawstwa finansowego, czy téż tylko zwyczajów finansowych w państwie austryackiém, tych zwyczajów, pozwalających na istnienie i działalność na niewielkiéj przestrzeni tylu jednocześnie instytucyi kredytowych jednakowy cel mających, bo

---

[1]) Dlaczego jednak pominął ziemstwo zachodnio-pruskie, jedno z najstarszych, bo powstałe 1788 r., między założycielami którego widzimy, Mielżyńskich, Grabowskich, Golczów i Kalksztejnów? Dzieje jego byłyby również wielce pouczające, témbardziéj, że dotychczas zachowało swój samorząd, którego nie posiada już ziemstwo poznańskie, będące od r. 1857 instytucyą czysto rządową.

udzielanie pożyczek na ziemię i mających równie prawo puszczania w obieg własnych listów zastawnych.

Dla nas jest to rzeczą prawie nie do pojęcia. Nasze towarzystwa kredytowe, ziemskie i miejskie, mają jeśli nie w prawie, to faktycznie, wyłączność udzielania pożyczek w listach, w pewnym obrębie kraju. Nikt współzawodniczyć z niemi nie może, bo żadna inna instytucya nie posiada tego prawa. W Austryi jest inaczéj. Tę więc rzecz właśnie należało wyjaśnić i uwydatnić. Należało to témbardziéj zrobić, że pożyczki przez inne instytucye udzielone poważnych cyfr sięgają. Taki np. bank hypoteczny galicyjski, założony w r. 1868 [1]) ma pożyczek i listów 6% w obiegu za przeszło 18 milionów zł. r. Bank krajowy 8 milionów a kasy oszczędności 7 milionów! Austryacki bank narodowy i zakład kredytowy ziemski, mające każdy około 15 milionów. Ta obfitość udzielanych pożyczek, to współzawodnictwo między niemi, to powstawanie wśród nich towarzystwa nie na zysk obliczonego, to wybicie się tego towarzystwa, na wzajemności opartego, na pierwszy plan i mimo stawianych przeszkód, ogarniającego powoli a ciągle cały kredyt hypoteczny, należycie opowiedziane, stworzyłyby zajmujący obraz, wyjaśniły wiele stron działalności towarzystwa i przedstawiły w należytém oświetleniu jego zasługi.

Ponieważ jednak tego nie mamy, trzeba poprzestać na tém, co nam wspomniane prace przynoszą.

* * *

Towarzystwo kredytowe galicyjskie, na zasadzie wzajemności oparte, „stworzone dla dogodności ziemian, a bez widoków osobistéj korzyści... dzieląc ludzkich losów koléj, miało swą dobrą i złą dolę, chwile niepowodzeń ale téż i świetności, wspólne wszystkim ludzkim dziełom wady, ale téż i wysokie zalety.“

Temi słowami, dyrekcya towarzystwa we wstępie do książki d-ra Ostrożyńskiego, charakteryzuje półwiekową działalność tego towarzystwa.

Do tych słów dodałbym jeszcze jedną uwagę, że ci, ktorzy podjęli myśl utworzenia tego stowarzyszenia kredytowego między ziemianami, złożyli dowód niezmiernéj i niezwykłéj u nas wytrwałości,

---

[1]) Posiada on własny, wspaniały gmach we Lwowie, ceniony w sprawozdaniu z r. 1885 na 215,000. Bank ten udzielił pożyczek na domy w samym Lwowie przeszło 8 milionów, a na prowincyi przeszło 9.

w doprowadzeniu zamiarów swych do skutku, wobec niechęci i formalizmu rządu austryackiego. Dość powiedzieć, że stany galicyjskie jeszcze w dniu 17 października 1822 r. przedstawienie swoje co do konieczności założenia instytutu kredytowego uczyniły i czekały lat dwadzieścia na rezultat! Dopiéro bowiem w dniu 3 listopada 1841 r. pojawił się patent cesarza Ferdynanda I, zatwierdzający statuta galicyjskiego stanowego instytutu kredytowego.

Nasze towarzystwo kredytowe ziemskie, późniéj pomyślane a wcześniéj urzeczywistnione, bo w r. 1825, mogło przez ten czas rozwinąć się, wzmocnić, wytrzymać próbę ognia w r. 1830/31, pozyskać w r. 1838 przedłużenie swego istnienia do r. 1866 i pozwolenie udzielania nowych pożyczek i wydawania nowych listów zastawnych.

Wszystko to nastąpiło zanim wydanym został patent cesarski, zatwierdzający towarzystwo galicyjskie!

Nic nie usprawiedliwiało tak długich namysłów, bo choć wówczas w Austryi żaden zakład ziemski na wzajemności oparty nie istniał; jednak posiadały tego rodzaju zakłady Prusy: — we Wrocławiu dla Szląska od r. 1769, w Marchii od r. 1777, na Pomorzu od r. 1781, w Kwidzyniu dla dawnych Prus Królewskich, czyli Zachodnich od r. 1787, dla Wschodnich w r. 1788 a w Poznaniu od r. 1821.

Wszędzie stowarzyszenia te pomyślnie się rozwijały i dostarczały swym uczestnikom pożyczek, opartych na zasadzie wzajemnego poręczenia. Zasada ta, poczerpnięta ze stosunków holenderskich, rozpowszechnioną była w Niemczech przez berlińskiego kupca Büringa, który długi czas przebywał w Amsterdamie, w téj ówczesnéj stolicy wszelkich obrotów i pomysłów finansowych. Dokładnie zbadał on całą tę manipulacyę i królowi swemu w r. 1767 projekt planu podobnéj instytucyi przedstawił. Król ją zrozumiał i po pewném wahaniu za poradą kanclerza Karmera w życie wprowadził [1]).

Inaczéj było w Austryi. Przykład Holandyi i Prus nie znalazł tam naśladowców, ani w wieku XVIII ani w pierwszéj ćwierci XIX. Znaczna większość stojących u władzy dygnitarzy nie rozumiała téj tak prostéj a tak obfitéj w następstwie idei wzajemnego stowarzyszenia się dłużników, dla pozyskania taniego kredytu od kapitalisty, mającego zabezpieczenie w ich odpowiedzialności zbiorowéj i w nieuciążliwych dla dłużników spłatach ratowych.

Dopiéro w dniu 3 kwietnia 1824 r. oznajmił cesarz Franciszek

---

[1]) Denkschrift zur Säkular Feier der West-Preussichen Landschaft, 1888.

stanom galicyjskim, iż „nic nie znajduje, coby się sprzeciwiać miało postanowieniu stanów, względem zaprowadzenia instytu kredytowego.“

Wypracowany przez sejm odpowiedni projekt, w r. 1825 przedłożony monarsze do zatwierdzenia, został przez sfery rządzące niezbyt życzliwie przyjętym. Rząd krajowy przesłał w r. 1826 wydziałowi krajowemu drukiem ogłoszone sprawozdanie połączonéj wiedeńskiéj kasy oszczędności z instytutem powszechnego zaopatrzenia, zwracając uwagę, „że instytuty te kapitały, pod ich zarządem będące na ziemską hypotekę na 5% wypożyczają, że więc obywatele kredytu potrzebujący, mogą czerpać z tego źródła...“

Sejm jednak nie chciał zrozumiéć tego „*Wink von oben*“ „téj wskazywanéj mu możności czerpania kredytu w obcym zakładzie i o zawiązanie instytutu kredytowego kołatać nie przestał.“ To téż w swych przedstawieniach z r. 1827 i 1828 prosiły stany cesarza, by projekt zawiązania instytutu kredytowego pod swoją rozwagę wziąć raczył. Prosiły długo nadaremnie. Wskutek wypadków z r. 1830/31, sejm dopiéro po dwuletniéj przerwie był zwołany (w r. 1833), a kraj przez ten czas wyczerpywała wojna i cholera, zaraza na bydło, ostra zima, drożyzna i głód...

Nakoniec dowiedziano się, że projekt spotkały różne zarzuty we władzach centralnych, którym do opinii był przedstawiony.

Wybrana przez sejm komisya wypracowała zaraz nowy projekt statutów, stosownie do uwag tych władz, który sejm na posiedzeniu 26 października 1833 r. znów jednomyślnie uchwalił. Monarcha polecił jednak komisyi, z różnych centralnych władz wybranéj, ponowne zbadanie tego nowego projektu, co znów trwać miało lat sześć!

Władze te zażądały przedewszystkiém gwarancyi stanów galicyjskich za wypłacalność przyszłych listów zastawnych.

Sejm po pewném wahaniu zdecydował się nareszcie i uchwalił w d. 13 września 1839 r. znakomitą większością głosów, żądaną od niego gwarancyę w słowach:

„Stany galicyjskie przyjmują gwarancyę, że towarzystwo kredytowe dopełniać będzie obowiązków w zupełném i rzetelném wypłacaniu procentów od listów zastawnych, które w obieg puszczane być mają, niemniéj w wykupywaniu tych listów, które stosownie do ustaw towarzystwa, celem umorzenia będą wylosowane. Zaręczają stany za to bezpośrednio swoim funduszem domestykalnym, pośrednio zaś, wszystkiemi, całego kraju posiadłościami tabularnemi, które wedle

praw krajowych do funduszu domestykalnego przykładać się są obowiązane [1]).

Skutkiem tego oświadczenia sejmu, rzeczywistymi uczestnikami towarzystwa, stali się wszyscy bez wyjątku właściciele dóbr tabularnych, biorący pożyczki lub ich nie biorący.

Fundusze, przekazane przez cesarza na własność nowemu towarzystwu, wynosiły ogółem (przy uwzględnieniu kursu „funduszów obligacyi“) 432,205 zł. r., co na owe czasy było bardzo poważnym zasiłkiem i punktem oparcia).

Zdawało się, że po spełnieniu przez sejm życzeń władzy, po zmianie statutów, stosownie do otrzymanych wskazówek, nic już na przeszkodzie w zatwierdzeniu nie stanie. Mimo to, upłynęło jeszcze trzy lata nim statut ostateczne zatwierdzenie pozyskał.

* * *

Zarząd nowego towarzystwa miał sprawować z początku wydział stanowy, aż do czasu gdy co najmniéj 50 właścieli dóbr, na sumę co najmniéj jednego miliona guldenów do towarzystwa przystąpi. Gdy to nastąpiło, zarząd przechodził na dyrekcyę, któréj członków mianował sejm, prezesa zaś i zastępcę przez nich wybranych zatwierdzał cesarz.

Kontrolę nad towarzystwem i jego dyrekcyą prowadzić miała komisya nadzorcza, którą stanowili wszyscy członkowie wydziału stanowego. Na tę komisyę włożono ciężki obowiązek (leżący u nas na wydziałach hypotecznych) czuwania nad tém, aby nie było puszczanych w obieg więcéj listów zastawnych, aniżeli jest wniesionych na hypoteki pożyczek. Podpisem swoim, prezes téj komisyi i jeden z jéj członków stwierdzali, że dany list został wydanym na zasadzie w istocie zaciągniętéj i zaintabulowanéj pożyczki.

Państwo, dając tak znaczne stosunkowo uposażenie instytucyi i swoją gwarancyę, miało zupełną zasadę ustanowić jeszcze nad nią kontrolę państwową. Jakoż wedle § 80 tych pierwotnych statutów, miało być we Lwowie dwóch komisarzy, jeden przy dyrekcyi, drugi przy komisyi nadzorczéj. Na prowincyi, gdzie miały istnieć wydziały cyrkułowe towarzystwa, miał się znajdować także podobny komi-

---

[1]) Fundusze domestykalne wytworzyły się w Galicyi z dodatków, płaconych do podatków (w wysokości pewnego %). Przeznaczeniem ztąd powstałego funduszu było pokrywanie wydatków na potrzeby stanów i wydziału stanowego. Fundusz ten jednak zwykle przez te wydatki był wyczerpywanym i oszczędzano z niego bardzo niewiele.

sarz. Nie mając głosu stanowczego, czuwać oni mieli nad czynnościami dyrekcyi i komisyi, byli obowiązani brać udział w ich posiedzeniach, aby nic nie przedsiębrały, coby prawa instytutu, lub jego kredyt mogło narażać na niebezpieczeństwo. Każdy z nich mógł zawieszać zapadłe uchwały, gdy uznawał je za nielegalne.

Zawieszone uchwały dyrekcyi rozpoznawała komisya nadzorcza. Téj znów zawieszone postanowienia przedstawiane były do rozpoznania ogólnemu zgromadzeniu.

To ogólne zgromadzenie było najwyższą władzą w towarzystwie, rozpoznawało i decydowało wszelkie sprawy, sprawdzało rachunki i ogłaszało sprawozdania. Tworzyło się ono z członków instytutu wraz z deputatami stanowymi i dlatego odbywać się miało tylko w czasie zbiérania się sejmu, a przewodniczył mu prezes stanów lub jego zastępca.

Zakres działalności towarzystwa określał § 1 statutów, według którego było to dobrowolne, solidarne stowarzyszenie właścicieli dóbr tabularnych, czyli jakby u nas powiedziano, dóbr, mających hypotekę, mogących otrzymać pożyczkę na pierwszą połowę wartości swych dóbr.

Lecz w owym czasie, aby mieć hypotekę, nie dość było być właścicielem ziemi. Patent cesarski z 4 marca 1780 r., który zaprowadził galicyjską tabulę krajową, czyli hypotekę przy królewskim trybunale we Lwowie, dopuszczał do niéj dobra, „których właściciele mieli prawa dominialne t. j. prawo do robocizny, danin i czynszów od ludności w obrębie tych dóbr osiadłéj i prawo sprawowania nad nią jurysdykcyi sądowéj i policyjnéj.“ Według znów okólnika lwowskiego gubernium z 30 grudnia 1814, „mogły nabywać i posiadać dobra tabularne tylko osoby należące do stanu magnatów i szlachty, lub do mieszczaństwa miasta Lwowa.“ W r. 1818 dopuszczono do posiadania dóbr chrześcian, nabywających wprost od państwa dobra państwowe, jak również pozwolono pozostać w posiadaniu dóbr potomkom tych, którzy przed rokiem 1814 dobra ziemskie nabyli, a do stanów uprzywilejowanych nie należeli. Nadto dobra tabularne nie mogły być dzielone, wyjątkowo tylko mogło gubernium udzielić pozwolenia na podział dóbr tabularnych, bardzo rozległych, z têm jednak zastrzeżeniem, aby przez podział powstałe części conajmniéj 300 zł. r. podatku gruntowego opłacały, bo jak się wyraża dekret z 16 lutego 1815 r. „tylko od takiego posiadacza dóbr można wyczekiwać, że będzie żył przyzwoicie i spełniał obowiązki władzy dominikalnéj!“

Z towarzystwa więc miały korzystać tylko majątki większe, przeważnie w rękach szlachty będące. Towarzystwo więc było instytucyą nietylko ziemiańską lecz czysto szlachecką.

W istocie stosunki rolnicze były wówczas bardzo opłakane, rolnictwo zaledwie wychodziło z kolébki. Handel zbożowy, na Gdańsk skierowany, ustał wskutek ceł nałożonych przez Prusy. Innego miejsca zbytu łatwo dostępnego nie było. Ceny więc zboża były nadzwyczaj nizkie [1]).

Chów bydła zaledwie zaczął się rozwijać na większą skalę, gospodarstwo gorzelnicze chwilowo bardzo dochodne przez możność wywozu do Węgier i Szląska, otrzymało cios zabójczy przez zaprowadzenie akcyzy i założenie w Węgrzech znacznéj liczby gorzelni.

Wygórowane podatki ciążyły na własności, skutkiem nieuwzględnienia przez poprzednie rządy miejscowych stosunków i miejscowych cen ziemi.

* * *

W dniu 3 lutego 1842 r. wydział stanowy sejmu zawiązał tymczasową dyrekcyę towarzystwa, pod przewodnictwem zaś Karola Kraussa wytworzyła się komisya nadzorcza instytutu; Karol ks. Jabłonowski odbył już przed tém podróż do Warszawy, „celem obeznania się z urządzeniem starszéj siostrzycy instytutu: warszawskiego towarzystwa kredytowego ziemskiego.”

Wydział stanowy zajął się nadto wygotowaniem rzeczy bardzo ważnéj t. j. regulaminu dla dyrekcyi, komisyi nadzorczéj, kasy, buchalteryi etc. Regulamin ten, dotąd z pewnemi tylko zmianami obowiązujący, stanowi obszerną książkę. Uzyskał on zatwierdzenie rządu krajowego 24 czerwca 1842 roku [2]).

Pierwsza wypłata pożyczki 17 grudnia 1842 r. nastąpiła. Kurs listów stosunkowo był wysoki, bo w r. 1844 dosięgnął 96.23 %, w 1845 aż 100 k. 10 %, a we wrześniu 1845 notowano je 102 za sto!

---

[1]) Za korzec pszenicy płacono około 4 zł. r. 33 kr. a żyta 3 zł. r. 29 kr. i t. d.

[2]) Według tego regulaminu, były i są wymagane od urzędników bardzo poważne kwalifikacye, od syndyka i sekretarza wymagane było ukończenie wydziału prawa i nauk politycznych, nadto syndyk miał być koniecznie adwokatem krajowym.

W r. 1843 we wrześniu już można było przystąpić do ustanowienia prawidłowéj dyrekcyi instytutu, gdyż liczył on już więcéj jak 50 stowarzyszonych, których pożyczki sumę miliona zł. r. przekraczały. Można więc już było zwołać pierwsze ogólne zgromadzenie, które téż odbyło się 19 września 1843 r.

Wydział stanowy, jako ustępująca dyrekcya, przedstawił temu zgromadzeniu sprawozdanie swoje i pierwszy bilans instytutu po dzień 30 czerwca 1843 r. doprowadzony. Wykazywał on już dość poważną sumę listów, bo 774,100 zł. r. Fundusz rezerwowy przedstawiał: w gotówce 121,196 zł., w obligacyach funduszu szpichlerzowego (kurs ówczesny 54%) 467,350, w listach zastawnych 10,900 (opuszczamy wszędzie ułamki).

„Taki był pierwszy bilans instytutu, którego listów zastawnych w niespełna 50 lat późniéj obiegała suma siedemdziesięciu kilku milionów zł. r., a którego fundusz rezerwowy w tym czasie z górą się potroił.“

Zwołaném zaraz potem zostało drugie ogólne zgromadzenie, które powzięło ważną „uchwałę dla rozszerzenia działalności instytutu, uzupełniając § 2 statutu w ten sposób, że nietylko jak dotychczas dobra prywatne, lecz i dobra duchowieństwa, gmin, korporacyi, fundacyi i zakładów mogą przystępować do towarzystwa za zezwoleniem właściwej władzy.“

Następne ogólne zgromadzenie, trzecie z rzędu, odbyło się 15 i 16 września 1845 r., lecz jak mówi prof. dr. Ostrożyński, „w dziejach instytutu nie zarysowało ono swéj działalności żadną ważniejszą uchwałą.“

W tym czasie listy chętnych znajdowały nabywców, a różne korporacye i instytucye publiczne poczęły lokować w nich swoje zasoby [1]).

W tym stanie rzeczy, tak pomyślnym od pierwszéj chwili rozpoczęcia działań towarzystwa, rokować mu można było ogromny wpływ

---

[1]) Listy jednak przez te instytucye nabywane, stosownie do obowiązujących w Galicyi przepisów, musiały być winkulowanemi. Winkulacya ta, zupełnie u nas w Królestwie nieznana, polega na tém, że w księgach czyni się odpowiednie zastrzeżenie i na samym liście umieszcza się tak zwana klauzula winkulacyjna, a procent od tych listów wypłaca się za tak zwanym arkuszem płatniczym i kwitem oznaczonéj osobie, czyniąc równocześnie kupony do dalszego użytku niezdatnemi.

na stosunki ekonomiczne, jeśli nie wszelkiéj własności, to przynajmniéj własności szlacheckiéj.

Wypadki jednak z r. 1846 i 1848 stanęły temu na przeszkodzie, dokonywające się po nich aż do r. 1861 przeobrażenia polityczne Austryi, wstrzymały zwoływanie ogólnych zgromadzeń w ciągu lat 15 (od 1845 do 1861).

„Cały kraj wyjętym został z pod prawa, więc nic dziwnego, że zaniechano zwoływania sejmu stanowego, a tém samém odjęto także instytowi kredytowemu możność prawidłowego rozwoju“ (Dr. A. Skałkowski).

Zarząd instytutu, pozostawiony sam sobie bez oparcia o powagę ogólnego zgromadzenia, „musiał sam łamać się z trudnościami czasu i stosunków, sam torować instytutowi drogę i usuwać z niéj liczne przeszkody jego rozwoju.“

Dr. Ostrożyński niespożytą zasługę tego, iż instytut wyszedł obronną ręką z tych tak trudnych przejść i nie stracił z oczu swego powołania, przyznaje Leonowi ks. Sapieże i Kazimierzowi hr. Krasickiemu, którzy ster jego wówczas dzierżyli i doprowadzili go cało do przystani.

Własność ziemska w tym czasie uległa licznym przekształceniom pod względem prawnym i ekonomicznym. Skutkiem znów tych zmian przeobrazić się musiał po części i sam instytut.

Jak wiadomo, przez patent cesarski z 17 kwietnia 1848 r. ogłoszoném zostało: zniesienie powinności poddańczych. „Reforma ta w skutkach swych bezwątpienia zbawienna, ale w przeprowadzeniu nagła i w celach politycznych wyzyskana, odbiła się w pierwszéj chwili ogólnym upadkiem produkcyi rolniczéj w kraju, która długi czas z tego upadku dźwignąć się nie mogła.“

Przyczynił się do tego rząd austryacki, w ciągłych potrzebach pieniężnych będący i nakładający szczególniéj na ziemię wygórowane podatki i opłaty. Jak mu zaś jéj dobro nie wiele na sercu leżało, świadczą o tém słowa ówczesnego ministra Bacha, wyrzeczone w roku 1852 do deputacyi domagającéj się ulg podatkowych. Słowa te na wieczną rzeczy pamiątkę zamieszcza dr. Ostrożyński w swéj książce, jako dobrze malujące ówczesne usposobienie rządu.

„Rząd nie zna właściciela, powiedział pan minister; jeżeli ten ciężarów ponosić nie może, znajdzie się inny, który, tanio kupiwszy dobra, wypłacać się będzie, a w każdym razie rząd podatki wyciągnie i o to troszczyć się nie potrzebuje.“

Nową klęską był patent z 5 lipca 1853 r. zarządzający „regulacyę służebnictw“ i praw wspólnego posiadania i używania. Regulacya ta, prowadzona bez należytego taktu i bez poczucia sprawiedliwości, sprowadziła zamiast spodziewanego porządku, chaos i rozstrój, upadek ekonomiczny dziedzica i włościanina i ogólne zniżenie ceny ziemi. „Dziesiątki tysięcy morgów ziemi stały się przedmiotem niejasno określonéj własności, co wywołało „mgliste nadzieje otrzymania pustek, lasów i pastwisk i rzuciło niepotrzebnie zarzewie niezgody społecznéj...“

Wskutek zniesienia poddaństwa, uchylił patent cesarski z 7-go września 1848 r. dotychczasową różnicę między gruntami dworskiemi a włościańskiemi (dominikalnemi i rustykalnemi). W następstwie tego ustały wszelkie dawniéj istniejące ograniczenia co do nabywania i posiadania dóbr hypotecznych; mogła je nabywać szlachta i nieszlachta, a nawet żydzi (z pewnemi jednak ograniczeniami). Utrzymaną została tylko fatalnie na stosunki miejscowe oddziaływająca zasada pozostawiania obszarów dworskich po za związkiem gminnym!

Wszystko to odstraszyło pieniądz od własności ziemskiéj w Galicyi. Znajdował on dogodniejszą lokacyę już to w wysoko oprocentowanych papierach rządowych, lub papierach spekulacyjnych różnych przedsiębiorstw i począł unikać listów zastawnych na tak rozstrojonéj własności ubezpieczonych.

Zarząd instytutu, postawiony w tak trudnych warunkach, czynił kilkakrotne usiłowania zreorganizowania instytutu niezawiśle od sejmu, który przestano zwoływać. Usiłowania te nie przyniosły jednak skutku.

Rząd centralny, do którego się udawano w razach nagłych, poprzestawał na tymczasowych zarządzeniach, ale do stanowczéj a koniecznéj reorganizacyi przystąpić nie myślał.

Na tym stanie rzeczy cierpiały wszystkie sprawy towarzystwa. I tak, do końca 1845 r. wydano 415 pożyczek na blisko 5½ miliona guldenów. Od tego czasu cyfra udzielanych corocznie pożyczek stale się zmniejsza i w r. 1850 nie dosięga nawet jednego miliona (970,400); banknoty państwa również traciły na wartości.

Oszczędności zarządu nie wiedziano jak zużytkować i wówczas dyrekcya na własną odpowiedzialność zakupiła za te oszczędności gmach we Lwowie za 169,050 guldenów w monecie papierowéj, czyli 161,000 w monecie metalicznéj. Zmuszona też była opłatę na za-

rząd z ¼% obniżyć na $^1/_{10}$% od 1 lipca 1851 r., a następnie znieść zupełnie od 1 stycznia 1857 r. Konieczność ta wynikła z zaprowadzenia podówczas podatku dochodowego na mocy patentu z 10 października 1849 r. Patent ten upoważniał właściciela dóbr do potrącania wierzycielowi przy wypłacie odsetek od kapitału, 5% z jego sumy, tytułem zwrotu podatku dochodowego, który właściciel za swego wierzyciela wraz z podatkiem gruntowym opłacać musiał. Wykonanie tego prawa przez stowarzyszonych względem instytucyi pociągnęłoby za sobą obniżenie procentu od listów zastawnych przez towarzystwo płaconego, coby naruszyło prawa już nabyte i spowodowało upadek wartości listów. Chcąc więc temu zapobiedz, dyrekcya, jako wynagrodzenie stowarzyszonych za opłacanie przez nich samych tego podatku dochodowego, zadecydowała ulgę.

Dyrekcya ciągle prawie musiała popadać w kolizyę to z ministeryum, to z wydziałem stanowym. Dowód wielkiéj oględności dała ona w sprawie obligów indemnizacyjnych, odpowiadających naszym listom likwidacyjnym, bo za zniesione także powinności poddańcze, właścicielom w miejsce wynagrodzenia wydanych. Przepis prawa dozwalał każdemu dłużnikowi i każdemu wierzycielowi żądać przeniesienia pewnéj części długów na tę indemnizacyą. Dyrekcya towarzystwa nie myślała jednak korzystać z tego prawa, bo kurs obligów tych był o wiele niższy od jéj listów, a tymczasem umorzoną przez takie przeniesienie część owéj pożyczki musiałaby pokryć wedle statutów, przez zakup odpowiedniéj kwoty w droższych listach, a stratę pokryć z funduszu rezerwowego. Wydział jednak stanowy, jako komisya nadzorcza instytutu wezwał dyrekcyę, aby, w razie gdyby pożyczka przenosiła pewną normę, żądała spłaty przewyżki z tych obligacyi. Wszelkie przedstawienia dyrekcyi nie były uwzględnionemi. Więc, aby uniknąć strat w każdym poszczególnym wypadku, wchodziła dyrekcya w układy z dłużnikiem i na zabezpieczenie owéj części, która wedle obliczenia wydziału stanowego nie znajdowała pokrycia w hypotece, brała w depozyt odpowiednią sumę w obligacyach i zwracała ten depozyt, gdy ta część pożyczki umorzoną w następnych latach została [1]). Znaczna część dłużników na układy te przystała, inni zgodzili się płacić przewyżkę wartości listów nad wartość obligacyi i tym sposobem dyrekcya uchroniła towarzystwo od nowéj straty.

---

[1]) To samo prawie miało miejsce w naszém towarzystwie kred. ziem. po r. 1864 tylko nie na zasadzie układów, lecz formalnego przepisu o listach likwidacyjnych.

W całym tym okresie przejawia się jednak ciągłe wzrastanie umarzania pożyczek ponad plan umarzania, sięgające w ostatnich latach od 700 do 857 tysięcy guldenów. Tego zjawiska nie objaśnia nam wcale dr. Ostrożyński w swéj książce, co jednak byłoby rzeczą wielce zajmującą i dającą możność zrozumienia ówczesnego stanu ekonomicznego Galicyi.

Ten stan rzeczy trwał aż do końca roku 1860-go. Jak wiemy, w tym czasie nastąpił zwrot w pojęciach władz austryackich i postanowiono szersze koła społeczeństwa powołać do udziału w zarządzie państwem.

Tak zwany dyplom październikowy, wydany przez cesarza 20 października 1860 r., zniósł reprezentacye stanowe krajów koronnych Austryi, zaś przez patent z 26 lutego 1861 r. wydane zostały statuty dla oddzielnych krajów.

Wedle statutu dla Galicyi, sejm krajowy tworzy się z wyboru czterech klas społecznych: wielkiéj posiadłości, miast, izb handlowych i gmin wiejskich.

Zawiadowczym i wykonawczym organem sejmu został „wydział krajowy“, złożony z osób wybranych przez sejm z pośród swych członków.

Wydział krajowy przejął na siebie wszystkie te czynności, które wykonywał dotychczas wydział stanowy. Skutkiem więc tego, przeszły na wydział krajowy (8 maja 1861 r.) obowiązki komisyi nadzorczéj instytutu kredytowego. Ministeryum stanu, na naleganie zarządu towarzystwa, dało zezwolenie (9 kwietnia i 16 maja 1861 r.) na zwołanie ogólnego zgromadzenia towarzystwa, celem zastanowienia się nad zmianami statutu, koniecznemi z wielu względów, a mianowicie ze względu na uchylenie reprezentacyi stanowéj, z którą towarzystwo dotychczas było związane.

Na to zgromadzenie, wyznaczone na 1 lipca 1861 r., wezwało ministeryum wszystkich bez wyjątku właścicieli dóbr tabularnych Galicyi i Bukowiny. Było to więc *czwarte* z kolei od zawiązania towarzystwa ogólne zgromadzenie, które toczyło swe obrady w ciągu dni 6 pod przewodnictwem Leona ks. Sapiehy.

Dyrekcya wystąpiła z wnioskiem przeobrażenia ustroju towarzystwa. Rozpoczęły się debaty, wybrano komisyę do ułożenia nowego statutu, nastąpiły różne uwagi ze strony władz centralnych i zanim ostateczne zatwierdzenie nowego statutu nastąpiło, upłynęło znowu lat 7 (od r. 1861—68).

Dr. Ostrożyński poświęca w swéj książce dwa rozdziały opowiadaniu tego rozwoju towarzystwa w ustroju przejściowym, kiedy to dawny statut, wskutek przemian w konstytucyi Austryi, utracił swoje znaczenie, a nowy nie zaczął jeszcze obowiązywać! Jestto część najwięcéj może zajmująca téj książki, bo daje nam ciekawy obraz tych szczególniejszych w swoim rodzaju stosunków.

Opowiemy je za dr. Ostrożyńskim.

Wniosek, z jakim wystąpiła dyrekcya na wyżéj wzmiankowaném ogólném zgromadzeniu, dotyczył głównie zmiany dotychczasowych podstaw organizacyi instytutu, jako nieodpowiadających już stosunkom politycznym. Wobec zniesienia „stanów“ towarzystwo przestało być instytutem stanu szlacheckiego.

Co do gwarancyi za listy zastawne towarzystwa, dyrekcye słusznie były tego zdania, że obecna gwarancya oparta przedewszystkiém na funduszu domestykalnym, a następnie na wszystkich całego kraju dobrach, nadal pozostać powinna. Co prawda, gwarancya pierwsza była bardziéj nominalna, aniżeli istotna, gdyż fundusz domestykalny, sam niewielki, nie dawał żadnéj gwarancyi, a cały majątek stanowy oddany wydziałowi krajowemu zaledwie 40,000 zł. wynosił! Zawsze jednak istnienie téj gwarancyi miało pewien urok dla świata finansowego i dlatego dyrekcya nie chciała jéj utracić.

Lecz obok tego i wybrana do rozpoznania jéj wniosków komisya proponowała środek szczególny, o ile mi wiadomo, nieznany w żadném inném towarzystwie kredytowém, a mianowicie, aby zamiast téj dotychczasowéj gwarancyi, wszystkie dobra Galicyi i Bukowiny obowiązane były w zasadzie płacić pewien d o d a t e k d o p o d a t k ó w, któryby na żądanie posiadaczy listów mógł być przez rząd krajowy na w s z y s t k i e dobra rozpisanym! Projekt ten podatku gwarancyjnego nia uzyskał jednak zatwierdzenia cesarskiego.

Nie utrzymał się także wniosek p. Leona Krajewskiego, aby członków rady nadzorczéj wybierało ogólne zgromadzenie p o s i a d a c z y l i s t ó w z a s t a w n y c h. Wnioskodawca wychodził z téj zasady, że kontrola instytutu, główny atrybut rady nadzorczéj, jest wykonywana przedewszystkiém w interesie posiadaczy listów zastawnych. Nie można odmówić wielkiéj słuszności temu zapatrywaniu się, gdyż w istocie w obecnym ustroju towarzystwa galicyjskiego, tak jak i u naszych towarzystw kredytowych miejskich, właściciele listów nie mają żadnego legalnego sposobu kontrolowania działań towarzystwa i wpływania na nie, co słusznem nie jest, bo koniec końców nie kto inny, tylko ci nabywcy listów dostarczają funduszów sto-

warzyszonym i są wierzycielami towarzystwa, a ich los zależy w zupełności od sposobu zarządu, w którym oni udziału brać nie mogą.

Prócz tych głównych zasad, ogólne zgromadzenie z r. 1861-go ustaliło płace urzędników i uchwaliło statut emerytalny. W statucie tym postanowiono jako zasadę, iż po 9 latach służby urzędnicy nabierają już prawa do emerytury! Po tych 9 latach urzędnik ma prawo otrzymania 30% swéj dotychczasowéj płacy, a po 36 latach otrzymuje wychodząc ze służby całkowitą swoją pensyę. Wdowom przysługują takież prawa do połowicznéj emerytury, z pewnemi jednak ograniczeniami [1]). Dzieci, właściwie mówiąc, nie mają emerytury, lecz według uznania dyrekcyi otrzymują dodatek na wychowanie, jeśli nie mają żadnego utrzymania. Dodatek ten pensyi wdowiéj przenosić nie może.

Widzimy więc, że statut niezbyt hojnie n a p o z ó r wyposażył urzędników towarzystwa, ich wdowy i dzieci. Lecz zwrócić należy uwagę na to, że dotąd sami urzędnicy w niczém nie przykłają się do wytworzenia dla siebie funduszu emerytalnego, żadnych składek na ten cel nie opłacają, jak to u nas we wszystkich instytucyach kredytowych ma miejsce. Towarzystwo samo z własnych funduszów pokrywa wydatki na te emerytury. Emerytury te nie są jednorazowemi zapomogami (jak w tow. kred. miejskiém m. Warszawy), lecz stałemi dożywotniemi płacami. Dr. Ostrożyński słusznie na to zwraca uwagę i ostrzega, że ten stan rzeczy, nie przewidziany należycie przy układaniu statutu, może z czasem sprowadzić w towarzystwie bardzo znaczne ciężary i wywołać niepożądane zwichnięcie instytucyi emerytalnéj (str. 112).

* * *

Takie były główne zasady nowego statutu, przez to pamiętne czwarte ogólne zgromadzenie uchwalonego. Przystosowanie tych zasad do potrzeb i dalsze rozwinięcie włożoném zostało na wybraną w tym celu „komisyę statutową“, i na dyrekcyą. Wypracowany

---

[1]) Tak np. że nie może ona nigdy przewyższać 500 guldenów, że wdowa winna pozostawać w związkach małżeńskich przynajmniéj lat 5, nadto winna być od męża młodszą co najwyżéj lat 15 (jeśli umierający mąż miał lat 50 skończonych). Chciano tym sposobem przeciwdziałać narzucaniu się młodych kobiet stojącym nad grobem ludziom, dla zapewnienia sobie po ich śmierci emerytury. Tylko wspólna praca i wspólne pożycie, prawo do niéj wdowom nadają. To téż traci je wdowa żyjąca w separacyi, prowadząca złe życie, skazana za przestępstwa i t. p.

przez nie nowy statut został 19 września 1861 r., przedłożony rządowi do zatwierdzenia. Do czasu zatwierdzenia go jednak zarząd towarzystwa znalazł się w najprzykrzejszém położeniu. Jak tu rządzić, czy na zasadzie nowego nie zatwierdzonego, czy starego *ipso facto* nie wykonalnego? Położenie było tém groźniejsze, że dyrekcya krępowana dawnym statutem, nie licującym z nowemi potrzebami, nizką taksą dóbr i normą pożyczki, musiała bezsilna patrzéć na powstawanie innych zakładów kredytowych, które potrafiły skorzystać z okoliczności, rozszerzały w kraju coraz więcéj swoją działalność, odbierając towarzystwu jego zwykłą klientelę. Właściciele ziemscy, nie mogąc znaleść odpowiedniego kredytu we własnéj instytucyi, szukać go musieli gdzieindziéj. To téż udzielanie pożyczek podnosi się w tym czasie bardzo powoli.

Do tych niepowodzeń przybywały ciągle nowe, jak ogromnie zwiększone opłaty na rzecz skarbu państwa i wydatki na zamianę i wygotowanie listów z dawnéj waluty „konwencyjnéj" na tak zwaną „austryacką", z powodu zmiany systematu monetarnego w tym czasie właśnie zaszłego na mocy patentu cesarskiego z 9 września 1857 r. Przy téj zamianie dyrekcya musiała dopłacać po 50 guldenów do każdego tysiąca. Rzeczy doszły do tego, że w r. 1866-ym po raz pierwszy, choć co prawda i ostatni w ciągu całych 50 lat zamknięto rachunki ze stratą 5,111 złr. 54 cent...!

Kurs listów spadł nadzwyczaj nizko, bo w tym okresie najwyżéj przeciętnie wynosił 82,50%, a najniżéj zaś dochodził do 64% za sto. Dyrekcya zwracała się dwukrotnie do rządu przez wydział krajowy, jako niby przedstawiający jeszcze komisyę nadzorczą (wedle dawnego statutu), z prośbą o zwołanie ogólnego zgromadzenia w takim składzie jak w r. 1861. Było to daremném, bo znów stawiano dyrekcyę w *circulum vitiosum*, oświadczając, „że przed załatwieniem uchwalonych zmian statutu w drodze prawodawczéj o zwołaniu ogólnego zgromadzenia mowy być nie może!" Zmiany te mógł uchwalić sejm, a ten od lat tylu zwoływany nie był.

Dopiéro w r. 1865-ym zebrał się sejm krajowy i przedstawiono mu nowy ów statut.

Tutaj nastąpiła nowa niespodzianka, bo sejm ten nie wchodząc w szczegółowy rozbiór statutu, w uchwale z 12-go stycznia 1866 roku wyrzekł: „że zmiany statutu towarzystwa mogą przyjść do skutku za uchwałami jego własnego ogólnego zgromadzenia i nie potrzebują już obecnie zezwolenia sejmu."

W kilka tygodni po téj uchwale, bo 17 kwietnia 1866 r., sejm galicyjski zezwolił: ażeby reorganizacya instytutu kredytowego przeprowadzoną została... dla Galicyi i Krakowa z zachowaniem wolności przystępowania dla właścicieli dóbr tabularnych bukowińskich [1]).

Na podstawie tych dwóch uchwał sejmu galicyjskiego, cesarz postanowieniem z 20 maja 1867 r. zatwierdził w zasadzie nowy statut, lecz z pewnemi zmianami. Najważniejszą z nich było, iż od chwili wejścia w życie tego statutu, każdy zaciągający pożyczkę w akcie, który w tym celu zeznać i zahypotekować winien, bierze na siebie obowiązek ręczenia do pewnego stopnia za zobowiązania towarzystwa względem posiadaczy listów zastawnych, a to posiłkowo i solidarnie ze wszystkiemi dłużnikami, którzy nowe pożyczki otrzymali.

Oznaczenie wysokości téj rękojmi pozostawił cesarz ogólnemu zgromadzeniu, z tém jednak zastrzeżeniem, że wysokość jéj nie może być mniejszą od 5% kapitału pożyczkowego każdorocznie zahypotekowanego.

Namiestnictwo wezwało więc dyrekcyę do wprowadzenia do statutu tych zmian i ułożenia nowéj ordynacyi wyborczéj z rozliczeniem delegatów nie na obwody, lecz na powiaty. Dyrekcya więc z 74 powiatów utworzyła 63 okręgi wyborcze, rozdzielając między nie 180 delegatów na Galicyę i w. ks. Krakowskie wypadających, a to na zasadzie ilości dóbr tabularnych i liczby ich właścicieli przy względzie na wartość hypotek, opłacanych podatków i przestrzeni dóbr. (Liczbę tę delegatów zmniejszyło namiestnictwo do 60, ewentualnie 75, a wybory ustanowiono co lat 3; od roku 1876 delegaci są wybierani na lat sześć). W końcu kwietnia 1868 r. za zezwoleniem wydziału krajowego, jako dotąd jeszcze sprawującego obowiązki komisyi nadzorczéj, rozpisano wybory, poczém zwołano ogólne zgromadzenie, piąte z rzędu, na dzień 13 czerwca 1868 r. Zgromadzenie to, ze względu na szkodliwą konkurencyę powstających akcyjnych spółek kredytowych, postanowiło jak najprędzéj do dzieła przystąpić, ograniczając rozprawy tylko do paragrafów zmianie uledz mających. Tak téż zrobiono i poddano się woli cesarskiéj.

---

[1]) Właściciele bukowińscy dopiéro w lat 25 po tém zdecydowali się na przystąpienie do towarzystwa, po zaprowadzeniu u siebie odpowiednich ksiąg hypotecznych. Wskutek ich prośby, podanéj w r. 1890, towarzystwo zgodziło się na ich przyłączenie i rząd reskryptem z 29 listopada 1891 r. zatwierdził odpowiednie zmiany w statutach.

Tym sposobem do statutu wprowadzona została nowa idea wszędzie już zastosowana, a mianowicie w miejsce dotychczasowéj nieograniczonéj gwarancyi wszystkich dóbr, gwarancyę ograniczoną, choć solidarną członków stowarzyszenia do wysokości 5% każdorocznego kapitału pożyczkowego, jak powiedziano w § 12 nowego statutu.

Skutkiem tego zamknięta została emisya dawnych listów, a rozpoczęto nową, nowych listów, na podstawie téj ograniczonéj rękojmi wydanych. Nowy statut dążył także do podwyższenia dotychczas przyjętéj skali pożyczek, aby przeciwdziałać szukaniu ich w innych instytucyach. W tym celu zamieszczono w nim, że ciężary pożyczkę poprzedzające, trudne do usunięcia, mogą dochodzić do $\frac{1}{10}$ wartości majątków (dotąd dochodzić mogły do $\frac{1}{20}$, § 33 statutu). Poruczono dyrekcyi z dodanymi jéj delegatami wypracowanie zasad oszacowania dóbr na przyszłe ogólne zgromadzenie. Tymczasowo zaś polecono przyjmować wartość gruntów i budynków o 50% wyższą, niż na to pozwalały dotychczasowe przepisy szacunkowe wyłącznie na podatku ofiary oparte.

Ogólne to zgromadzenie było najdłuższém, jakie odbyło towarzystwo galicyjskie, bo trwało dni 12 i odbywało po dwa i więcéj posiedzeń dziennie, aby tylko jak najprędzéj znieść stan przejściowy od r. 1861 trwający. Dzięki temu gorączkowemu pośpiechowi, uzupełniony statut już 20 maja 1868 r. pozyskał zatwierdzenie cesarskie, a namiestnictwa co do szczegółów 5 listopada t. r.

Gorączkę tę tłómaczy ówczesny stan kraju, potrzeba podniesienia wydajności gospodarstw przez dostarczenie im kapitału obrotowego, ku czemu dotychczasowe pożyczki nie wystarczały. Podniesienia i udoskonalenia rolnictwa wymagała konieczność zadośćuczynienia zapotrzebowaniom zwiększonym przez drogi żelazne, łączące Galicyę z zachodem i wschodem.

Na témże ogólném zgromadzeniu powzięto inną jeszcze ważną uchwałę: podwyższenia procentu od listów i skrócenia czasu ich umorzenia, aby im lepszy kurs zapewnić i zapobiedz stratom, jakich doznawali biorący pożyczkę z powodu nizkiego kursu listów. Podniesiono więc stopę procentową z 4% na 5% i postanowiono wydawać nowe 5-cioprocentowe listy umarzalne w ciągu lat 37. Dłużnicy jednak odtąd o 1% większe raty opłacać mieli.

* * *

Od téj chwili rozpoczęła się nowa, pomyślniejsza era dla towa-

rzystwa galicyjskiego. Pierwotna instytucya o zakroju szlacheckim przemienia się w instytucyę ogólnie ziemiańską, z silnie jednak zaznaczonym charakterem instytucyi ogólno-krajowéj, dobro całego kraju mającéj na względzie, a nietylko, jak wszystkie inne instytucye kredytowe, zyski i korzystne operacye pieniężne. Przejawia się to w powołaniu do udziału w zarządzie nietylko właścicieli obciążonych pożyczką, lecz wogóle właścicieli ziemskich całego kraju, oraz w zastrzeżonéj możności mieszania się sejmu w sprawy towarzystwa, gdyby miał być zmienionym cel instytutu (§§ 90 i 91).

Daléj, statut nadaje prawo wpływania do wyborów i prawo być wybranym na urzędy w towarzystwie każdemu właścicielowi dóbr, bez względu na to, czy jest on członkiem stowarzyszenia, czy nie. Gdyby szło o rozwiązanie instytutu, takowe wyrzeczone być może tylko przez ogólne zgromadzenie, na które wszyscy właściciele ziemscy muszą być zawezwani (§ 91).

Posiedzenia tego zgromadzenia gdzieindziéj tylko dla stowarzyszonych odbywane, tutaj w zasadzie są publicznemi. Tylko w sprawach osobistych odbywają się przy drzwiach zamkniętych. Powołano do niego tylko wybranych delegatów, nie zaś wszystkich stowarzyszonych, jak np. w naszych towarzystwach kredytowych miejskich,—aby zapobiedz tłumnym zebraniom, w których racyonalna dyskusya staje się nie możebną, i które łatwiéj dają się powodować chwilowym uniesieniom i prądom.

Tam, gdzie żadnego ograniczenia co do mogących przyjąć udział w zebraniu nie było, niedogodności tego rychło się okazały.

Zebrania okręgowe wyborcze stały się z czasem wielce kłopotliwemi. Brał w nich udział każdy, na którego dobra mogła być lub była już zaciągnięta pożyczka co najmniéj 500 złr. i które opłacały podatku gruntowego i domowego choć 10 złr. Po uchyleniu jednak ograniczeń w swobodném dzieleniu dóbr tabularnych (w r. 1868) rozpoczęło się nieustające ich drobnienie (parcelacya) i tworzenie się licznych drobnych własności, tak, iż te ostatnie poczęły mieć przy wyborach przewagę nad własnościami większemi. Wskutek tego ogólne zgromadzenie w r. 1885 podwyższyło do 50 złr. cyfrę podatku, jaką właściciel, chcący do wyborów należéć, płacić winien.

Czy stało się dobrze, czy źle, iż nadano większéj własności przewagę, tego nie rozjaśnia nam dr. Ostrożyński. Było to jednak koniecznem dla wyjaśnienia charakteru instytucyi.

Wybrani delegaci pobierają dyety i zwrot kosztów podróży.

Dawniéj pobierali po 3 złr., od r. 1873 pobierają po 5 złr. i prócz tego 1 złr. za każdą milę tam i z powrotem.

Ogólne zgromadzenia odbywają się we Lwowie raz na rok zwykle 28 lutego, lub w razie święta—dnia następnego. Nadzwyczajne zebranie może być zwołane w każdym czasie (dotąd raz tylko miało miejsce w r. 1882 w sprawie konwersyi listów). Zgromadzenie rozpoznaje wszelkie wnioski przez dyrekcyę sobie podane, lub wnioski opatrzone podpisami 5 delegatów. Głosowania dokonywają się przez podniesienie rąk lub przez powstanie, a w razie wątpliwości przez głosowanie ustne, które i wtedy następuje, gdy tego zażąda 10 delegatów. Tym sposobem, jak widzimy, wykluczono tu możność głosowania kartkami, który to sposób nastręcza pole do licznych nadużyć, gdyż zdarza się gdzieindziéj, że zapobiegliwi członkowie od mniéj gorliwych, lub mniéj dbałych, otrzymują ich kartki wyborcze i niemi podług swych widoków na sprawy towarzystwa wpływają.

Ogólne zgromadzenie towarzystwa galicyjskiego ma w sobie to jeszcze szczególne, a u nas nieznane, że z łona swego wybiera komisyę rewizyjną z 7 członków złożoną. Komisya ta zbiéra się na kilka dni przed ogólném zgromadzeniem i sprawdza rachunki, bilanse (§ 89), oraz sposób postępowania dyrekcyi, sprawdza téż, czy spełnia ona uchwały i stosuje się do uwag ogólnych zgromadzeń. Daléj, rozpatruje akta i operaty szacunkowe, bada, czy dyrekcya przy udzielaniu pożyczek przestrzega, aby statutem wymagana pewność hypoteczna nie była przekroczona. Rozpatruje wnioski i petycye, a oprócz tego wszelkie sprawy, które jéj ogólne zgromadzenie do załatwienia przekaże.

Wobec tego rodzi się pytanie, po co w takim razie istnieje stała rada nadzorcza, odnawiająca się co lat 3 w połowie i złożona prócz prezesa z 5 członków, wybieranych również w tym celu, aby kontrolowali czynności dyrekcyi? Kontrolę tę przez rok cały rada wykonywa (od r. 1875) w sposób bardzo celowi odpowiedni, bo przez swych delegatów. Wszelkie uchwały dyrekcyi, dotyczące wysokości pożyczki, jéj rozdziału i t. p., obowiązują wtedy tylko, gdy ten delegowany do nich przystąpił; w przeciwnym razie sprawę rozpoznaje cała rada. Albo więc ta rada nadzorcza, albo ta komisya rewizyjna jest zbyteczną, gdyż oba te organy jedno i toż samo mają zadanie i jednakowo są złożone z ludzi zaufania, z wyboru powołanych. Téj anomalii nie dotknął dr. Ostrożyński i nie wyrzekł swego zdania w tym względzie [1]).

---

[1]) Członkowie obu tych rad są płatni. W celach oszczędności zniesiono

Organem czynu w towarzystwie jest dyrekcya, składająca się z prezesa, jego zastępcy, trzech dyrektorów i czterech zastępców wybieranych przez ogólne zgromadzenie na lat 6. Ten dłuższy, niż u nas, czas urzędowania daje pewność dokładniejszego obeznania się ze sprawami towarzystwa, na co u nas nie mają dostatecznego czasu, gdyż po upływie 4 lub 5 lat wychodzić muszą, jeśli ponownie wybranymi nie będą. Postanowienia dyrekcyi nie ulegają, tak jak u nas, zaskarżeniu przez stowarzyszonych do rady nadzorczéj, która ich téż zmieniać nie może. Od r. 1880 wydziały okręgowe wzywają kandydatów odpowiednio uzdolnionych na dyrektorów, aby składali swoje kandydatury na ręce wychodzącéj dyrekcyi, która je winna bez żadnych ze swéj strony uwagi przedstawić ogólnemu zgromadzeniu. Płace dyrektorów po przeobrażeniu się towarzystwa znacznie podwyższono, szczególniéj po r. 1889. I tak, płaca prezesa wynosi obecnie 6,000 złr., jego zastępcy 5,000 złr., a dyrektorów po 4,000 złr., syndyk-prawnik 4,000 złr. i na pomocnika po 50 guldenów miesięcznie, prócz tego jego zastępca pobiera po 10 złr. dziennie. Kancelarya dyrekcyi liczy 23 urzędników i 5 oficyalistów. Jestto liczba niezbyt wielka wobec pożyczek, które dosięgają corocznie cyfry przecięciowo 1,400,000 złr.

Kontrola państwowa przy reorganizacyi została nadal utrzymaną, lecz zamiast trzech, jak dotąd było, komisarzy, ustanowiono tylko jednego.

* * *

Ważną przeszkodą, tamującą do r. 1869 rozwój towarzystwa, było zbyt skąpe udzielanie pożyczek, wyznaczonych tylko na podstawie podatku ofiary. Przeobrażone towarzystwo postanowiło więc zerwać z tą zasadą. Inne istnieją względy przy obliczaniu wartości podatkowéj, a inne przy ustalaniu wartości kredytowéj. Czasami to, co wedle taksy podatkowéj przedstawia niewielką wartość, dla wierzyciela, dającego swój kapital, ma wielkie znaczenie i na odwrót.

W pierwszych latach zawiązania towarzystwa, norma podatkowa mogła wystarczać wobec niewielkich potrzeb gospodarstw rolnych, mało rozwiniętych i mało przemysłowych; lecz po przewrotach ekonomicznych, w latach następnych, rolnik z konieczności musiał się przemienić w pewnéj mierze przynajmniéj w przemysłowca; dla spotęgowania wydajności ziemi musiał ją odpowiednio zasilać i ku temu

od r. 1874 posadę sekretarza rady nadzorczéj i obecnie czynności jego spełniają kolejno sami członkowie rady.

zaprowadzać liczniejsze inwentarze, maszyny i t. p. Potrzebował więc i dążył do jak największego kredytu, a dla pozyskania go pragnął istotnego wykazania wartości swego majątku.

Nowy statut przyjął więc w zasadzie możność szacowania dóbr dla pożyczki, jeśli tego właściciel zażąda. Wypracowanym więc został regulamin szacunkowy, przyjęty przez ogólne zgromadzenie w r. 1869, uzupełniony w r. 1872 i 1882, uporządkowany ostatecznie w r. 1891 i zatwierdzony przez rząd. W zasadzie przyjęto niby i nadal za podstawę do wymiaru pożyczki, — podatek, lecz nie zniesionéj już „ofiary“, ale gruntowy i domowy klasowy (z dodatkiem $^1/_3$ części), oba pomnożone 100-krotnie. Dyrekcya jednak mogła na podstawie wiadomości zaczerpniętych już to z pomiaru katastralnego, już to z cen kupna i czynszów dzierżawnych, już téż wartości gruntów i budynków w okolicy, powiększać jeszcze o 100% wartość majątku, czyli 200-krotnego podatku [1]. Lecz jeśli żądający pożyczki nie zadawalniał się pożyczką w wysokości przyznanéj mu przez takie wyrachowania, mógł na własny koszt zażądać oszacowania dóbr przez komisyą szacunkową, złożoną z przysięgłych taksatorów, na każdy obwód mianowanych, taksujących przy delegacie towarzystwa (jeśli go dyrekcya uznała za potrzebne wyznaczyć).

W oszacowanie to wchodzą budynki ubezpieczone od ognia, do prowadzenia gospodarstwa przydatne (w $^2/_3$ swéj wartości), lecz nigdy przewyższać nie mogą $^1/_4$ części wartości ziemi. Budynki zbytkowe i przemysłowe, jak gorzelnie, browary, młyny i t. p. nie zaliczają się do nich, lecz się dochód z tych przedsiębierstw uwzględnia. Propinacye podlegały także oszacowaniu z mocy uchwały ogólnego zgromadzenia z r. 1882, a to w ten sposób, iż ją uwzględnia w wysokości 3-krotnego dochodu; cyfra stąd powstała nie mogła przenosić $^1/_{10}$ części wartości ziemi (ze względu na majątki, które przy zbyt małym obszarze miały znaczne dochody z propinacyi, z natury rzeczy zmianom ulegający.

Dla zarządu towarzystwa wyznaczenie prawdziwéj wartości dóbr było połączone nieraz z wielkiemi trudnościami, bo „gdy przyjmowanie zbyt wysokich szacunków trwoży kapitał i podkopuje zaufanie do instytucyi kredytowéj, to lękliwością powodowane okra-

---

[1]) W roku jednak 1884-ym ze względu na podwyższenie przez władzę normy podatku gruntowego, postanowiło ogólne zgromadzenie, iż odtąd za podstawę dla pożyczki służyć będzie tylko 100-krotnie wzięty podatek gruntowy bez podatku domowego.

wywanie sumiennych i przedmiotowych oszacowań odstręcza jéj klientelę.

Co do lasów, to przy ich oszacowaniu dyrekcya trzyma się bardzo niewygodnéj dla właścicieli zasady, że wartość morga gruntu leśnego nie powinna być przyjętą wyżéj nad połowę wartości morga gruntu, na którym las rośnie! Lasy w miejscowościach, w których nie ma odbytu na drzewo, lub dochody z nich są zbyt małe, gdy np. zaledwie pokrywają koszta hodowli, dozoru i administracyi, — zupełnie się przy szacowaniu nie uwzględniają.

* * *

W dążeniu do rozszerzenia skali pożyczek — stowarzyszeni i dyrekcya postarali się o nadanie większéj jeszcze doniosłości § 34 statutu, podług którego, jak widzieliśmy, pożyczka nie koniecznie na pierwszém miejscu hypoteczném zabezpieczoną być ma; lecz poprzedzać ją mogą ciężary, dosięgające $^1/_{10}$ części wartości dóbr. „Zdarzają się bowiem często wypadki, w których ciężary przewyższające dziesiątą część wartości dóbr, można było pozostawić na dobrach przed pożyczką, bez narażenia jéj bezpieczeństwa, a z korzyścią i dogodnością dla właścicieli hypoteki. Zachodziło to mianowicie wtedy, gdy na dobrach ciążyły wierzytelności kościelne, fundacyjne, skarbu państwa i t. p., wogóle wierzytelności zakładów pozostających pod zarządem publicznym, których zaległości wobec czuwania władz nad ich ściąganiem nie mogły wzrastać do znacznéj wysokości, a których konieczna spłata (o ile dziesiątą część wartości dóbr przewyższały) była dla właściciela hypoteki nietylko z wielkiemi niedogodnościami, ale nawet z uszczerbkiem połączona, zwłaszcza wtedy, gdy te wierzytelności były nizko oprocentowane.“ Sprawę tę rozstrzygnęło ostatecznie ogólne zgromadzenie z r. 1883, uchwalając na wniosek dyrekcyi zmianę § 33 statutu w tym duchu, iż wierzytelności „pod zarządem publicznym zostające“ mogą poprzedzać pożyczkę Towarzystwa, choćby $^1/_5$ część wartości dóbr wyczerpywały.

* * *

Z książki d-ra Ostrożyńskiego dowiadujemy się o pewnéj szczególności systematu hypotecznego austryackiego, co do cząstek włościańskich (rustykalnych), nabywanych przez dwory i dołączanych do dóbr. Do r. 1863 przy udzielaniu pożyczek dawano je z uwzględnieniem wartości tych parceli. Nowe ustawy hypoteczne, zaprowadzone w r. 1871 i 1874, orzekły, że przy zakładaniu nowych ksiąg hypotecz-

nych każdy wykaz hypoteczny ma obejmować kartę stanu majątkowego, wykazującą jego części składowe.

Praktyka sądów galicyjskich stąd wyprowadziła wniosek, że skoro raz nowa księga hypoteczna dla dóbr założoną została—parcele rustykalne następnie przez dwór nabyte nie mogą już być hypotecznie do dóbr wcielone. Może być dla nich utworzony osobny wykaz hypoteczny przy sądzie powiatowym.

Dla nas, żyjących pod pojęciami hypotecznemi naszych ustaw hypotecznych z r. 1818 i 1825, zdaje się to rzeczą nie do pojęcia wobec tak prostych, a tak rozumnych przepisów art. 38 ust. hyp. z roku 1818, który stanowi, że:

„Przyłączenie i odrywanie przyległości powinno być zapisane w księdze hypotecznéj dóbr głównych, od których oderwane i do których przyłączone zostały.“

Żadnego ograniczenia możności przyłączenia i odrywania w naszém prawie hypoteczném nie spotykamy. (Dopiéro od r. 1864 właściciele, nie należący do stanu włościańskiego, uwłaszczonych gruntów włościańskich nabywać i przyłączać nie mogą).

Skutkiem jednak tych innych pojęć w Galicyi, dyrekcya odmawia obecnie udzielania pożyczek na takie dokupione parcele, a to wychodząc z téj zasady, że egzekucyę o zaległości trzebaby prowadzić w sądach powiatowych, co pociąga za sobą koszta nie odpowiednio wielkie.

Dr. Ostrożyński ubolewa nad tém głównie dlatego, iż ten stan rzeczy staje na przeszkodzie zaokrąglaniu większych posiadłości, co za pożądane uważa. Przytém stanowczo oświadcza się przeciw parcelacyi, którą poczytuje wogóle za szkodliwą i stawiającą dla zarządu towarzystwa dylemat nader trudny do rozwiązania, ze względu na to, że egzekucye dążyłyby do wydziedziczenia bardzo licznych właścicieli parceli. Uznaje więc za ostry przepis § 63 statutu, który zabrania rozdzielania pożyczek na drobne posiadłości i jedynie upoważnia dyrekcyę, albo do bezwarunkowego zwolnienia odprzedanych części z pod odpowiedzialności za pożyczkę (co nie zawsze ze względu na bezpieczeństwo jéj nastąpić może), albo téż za spłatą pewnéj części téj pożyczki, na co znów najczęściéj ani nabywca, ani sprzedawca zgodzić się nie chcą. Skutkiem tego obywają się oni bez pozwolenia towarzystwa i faktycznie dobra dzielą na coraz drobniejsze cząstki.

Dr. Ostrożyński żałuje, że towarzystwo kredytowe zapobiedz temu nie może, i przypisuje to zjawisko „gorączce parcelacyjnéj“, chce aby zarząd towarzystwa, uważając się za powołanego do misyi

nietylko ekonomicznéj, ale i społecznéj, nie zezwalał na parcelacyę — przynajmniéj w zachodniéj części kraju, aby w razie jéj przeprowadzenia bez jego woli wypowiadał cały kapitał dłużnikowi, aby natomiast dozwalał jéj we wschodniéj części kraju, gdzie większa własność zajmuje obszary daleko większe, niż na zachodzie, gdzie kolonizacya mogłaby pomnożyć liczbę rąk i podnieść gospodarstwo rolne. Autor wolałby widzieć jaknajwięcéj własności średnich (200 do 1,000 mórg), takie bowiem uważa za pożądane pod każdym względem: ekonomicznym, społecznym i narodowym. Nie będziemy się sprzeczać z temi pojęciami autora. Zaznaczyć jednak godzi się, że chyba poważniejsze względy, aniżeli prosta gorączka, parcelacyę wywołują, bo jak na gorączkę, dążność ta trwałaby za długo. W naszych demokratyzujących się społeczeństwach wielkie *latifundia* stale i nieustannie znikają, bo tam, gdzie wzrasta zamożność, popycha ona każdego do posiadania swéj własności, choćby niewielkiéj i to jak można najbliżéj swego miejsca pracy. Trudno więc wymagać, aby mieszkańcy zachodu szukli chętnie tych nabytków na wschodzie. Pod względem ekonomicznym Francya daje nam przykład, że drobna własność bynajmniéj nie zniżyła w niéj poziomu rolnictwa. Jeśli zaś dla chowu bydła, nakładowéj uprawy i t. p. średnia własność lepiéj się nadaje, to zawsze pozostaje jéj i pozostawać będzie dosyć, do tych wszelkich ulepszeń [1]). Myli się dr. Ostrożyński, mniemając, że tylko średnia własność wytworzyć u nas stan średni może. Stan średni tworzy się wszędzie, gdzie potrzeba wykształcenia jest odczuwana, a znowu Francya daje nam przykład, że synowie jednozagonowych rolników w akademiach i ciałach prawodawczych zasiadają. Nadmienić tu nie zawadzi, że nasze towarzystwo ziemskie trzyma się innéj zasady i nie odmawia pożyczek na najdrobniejsze osady, byle tylko mogła być na nie udzieloną pożyczka przynajmniéj 500-rublowa (art. 94 i 91 ustawy Tow. kred. ziem. z r. 1888).

* * *

Wobec agitującéj się u nas kwestyi zniesienia seryjności listów zastawnych i zaprowadzenia listów bądź bezterminowych, bądź z terminem obowiązkowego umorzenia po pewnéj dość znacznéj liczbie lat,

[1]) Dr. Skałkowski w broszurze swéj o Tow. kred. ziemskich wykazuje, że od samego początku towarzystwa po koniec 1891 r. ogromna większa część pożyczek (bo 5,716) nie przekracza cyfry 50,000 złr.; pożyczek większych nad tę cyfrę było w tym czasie udzielonych tylko 664; zatém średnia własność dziś jeszcze przeważa w Galicyi.

wielce pouczającym jest rozdział III-ci części III-éj książki d-ra Ostrożyńskiego, opisujący dzieje podobnych przeobrażeń listów zastawnych galicyjskich.

Listy te pierwotnie, począwszy od zawiązania się towarzystwa, t. j. od 1841 roku były 4%, i były listami bez ściśle oznaczonego terminu umorzenia, t. j. bezokresowemi. Posiadacz ich nie miał pewności, w jakim przeciągu czasu zostaną wylosowanemi, a tylko przez losowanie mogły być umorzone. Losowania te odbywały się bez żadnego rozróżnienia dawniéj i tylko co puszczonych w obieg listów. Skutkiem tego zdarzyć się mogło i zdarzało, że listy nowsze pierwéj wychodziły z koła losowania do umorzenia, niż dawniejsze, które niekiedy długie lata swego wylosowania wyczekiwały.

Ten sam system został przyjęty po przeobrażeniu się towarzystwa w r. 1868. Nowe 5% listy, puszczone w obieg w r. 1869-ym, również w tenże sposób się umarzały.

Statuty, tak dawne jak nowe, wymagały jedynie, aby wszystkie kwoty przez dłużników w daném półroczu na umorzenie pożyczki płacone, wyłącznie tylko na umorzenie listów były użytemi. Tę więc tylko pewność miał posiadacz listów, że fundusze te na inny cel obracanemi przez towarzystwo nie zostaną, lecz nie miał żadnéj pewności co do tego, w jakim przeciągu czasu nieodzownie wylosowanie listu nastąpi. Ówcześni przedstawiciele towarzystwa uważali, że ten brak terminu umorzenia był głównym, jeśli nie jedynym, powodem spadku kursów listów galicyjskich w latach 1871, 1872 i 1873 i strat ponoszonych przez biorących pożyczki, kiedy kurs listów wahał się między 84% a 79%. Dr. Ostrożyński jest tegoż zdania i aprobuje podniesioną już w r. 1871 myśl zaprowadzenia okresów, t. j. umarzalistów w tyluż latach, w ilu umarzała się sama pożyczka i aprobuje uchwałę ogólnego zgromadzenia towarzystwa w tym duchu zapadłą. Autor jest przekonany, iż przez uchwałę tę, zatwierdzoną w r. 1873-im, wzniecono w kapitalistach pewność zapłaty w oznaczonym czasie, że brak okresów stanowił przeszkodę do wprowadzenia listów zastawnych na giełdy zagraniczne.

Widocznie, sz. profesor podziela tutaj bardzo jeszcze rozpowszechnione mniemanie, że kapitalista dlatego głównie lokuje swe oszczędności w listach, aby je jaknajprędzéj przez śpieszne wylosowanie napowrót do rąk swych otrzymać!

O mylności tego poglądu powinien go był przekonać najprzód obecny stan giełd europejskich, na których po przejściu przez wszystkie (poważne) walory równi ujawnia się dążenie do nabywania po wyższym kursie listów, o ile można, najmłodszych, by tylko jak moż-

na najdłużéj uniknąć wylosowania i straty z powodu otrzymania po losowaniu 100 za 100 wtedy, kiedy się płaciło za te samą setkę po 101 lub 102 [1]). Powtóre, kursa dawnych i nowych listów galicyjskich także wskazują na mały wpływ okresów na ich wysokość. W książce p. Ostrożyńskiego zaznaczono przecież, że te listy bezokresowe w latach 40 do 50 dosięgały 105 do 111 za sto! zaś listy od r. 1873 w obieg puszczone, choć okresowe, długi czas o wiele niżéj były notowane od listów bezokresowych i zaledwie po upływie lat 7 wobec podrożenia wszystkich innych walorów w r. 1881 przeszły *pari*, lecz, o ile wiem, nigdy nie osięgły kursu listów bezokresowych w dobrych dla nich czasach [2]). Widoczną więc jest rzeczą, że spadek kursu listów zastawnych nie był wynikiem ich bezokresowości. Wpływały na to inne, miejscowe lub ogólne przyczyny. Zjawisko bowiem spadania wartości listów i innych papiérów w ósmym lat dziesiątku było zjawiskiem powszechném na wszystkich giełdach, o czém samo przejrzenie ceduł giełdowych przekonywa.

Niepodobna tutaj badać powodów tego zjawiska, dosyć je zaznaczyć, a pragnących bliżéj nad tym przedmiotem zastanowić się—odesłać do przewodników giełdowych, jak Salinga „*Börsen-Papiere, I Theil*“ (str. 160—186, wyd. z r. 1892).

Uchwała więc ogólnego zgromadzenia z r. 1871 wątpliwéj jest wartości. Bardzo zaś charakterystycznym jest opór przeciwko tego rodzaju listom przez dyrekcyę stawiany, t. j. opór ludzi stojących na czele instytucyi i mających więcéj sposobności obeznania się z obrotami giełdowemi, niż członkowie ogólnego zgromadzenia, którzy tę reformę przeprowadzili. Dyrekcya wychodziła tutaj między innemi i z téj zasady, że udzielanie pożyczek nie jest ograniczoném do pew-

---

[1]) Co prawda, na giełdzie warszawskiéj jest inaczéj. Tutaj listy starsze są dotąd droższe od młodszych, lecz jestto wynikiem spekulacyi, ciągnącéj zyski z niepraktycznéj zasady, przyjętéj w naszych towarzystwach przy odnawianiu i spłacaniu pożyczek. Wymaganém jest bowiem przytém składanie *in natura* listów tego półrocza, w którym pożyczka była udzielona, a jeśli się dokonywa spłaty gotowizną, to wymagane jest zapłacenie prócz kapitału, jeszcze procentu do czasu najbliższego losowania listów w daném towarzystwie! Tymczasem zwracając pożyczkę listami, można zatrzymać dla siebie kupon (jako z góry zapłacony) i spieniężyć następnie z niewielkiém dyskontem. Skutkiem tego prawie zawsze korzystniéj jest u nas spłacać pożyczki listami, niż gotówką. O tém wié spekulacya i w nadziei, że z konieczności spłat przy odnawianiach stare listy chętnych znajdą nabywców, droży się z niemi, ryzykując obawę wylosowania.

[2]) Żałować należy, że autor w tak wyczerpującéj książce nie zestawił kursu listów każdego rodzaju za cały czas istnienia towarzystwa, jak to czynią nasze towarzystwa w swych sprawozdaniach.

nego terminu (jak to bywało w naszém towarz. kr. ziem.), że listy zastawne potrzebaby wydawać razem, ażeby z końcem okresu jednocześnie ze spłatą pożyczki, na którą wydane zostały, umarzały się, że okresy wtenczas tylko mogłyby oddziałać na kurs, gdyby były krótkie, np. pięcioletnie (widocznie za przykładem naszych towarzystw). Wszelako te przedstawienia dyrekcyi nie zostały uwzględnione, a 7-letni spadek kursu nowych listów był odpowiedzią na uchwałę ogólnego zgromadzenia.

* * *

Uchwała ta jednak z innego jeszcze względu zasługuje na uwagę naszych władz zarządzających naszemi towarzystwami kredytowemi. Wprowadziła ona nieznaną u nas obecnie rzecz, t. j. umarzanie listów nietylko przez losowanie, ale także przez zakupywanie ich i wypowiadanie. Jestto wielką zasługą towarzystwa galicyjskiego, że pierwsze u nas zerwało z tradycyą umarzania przez losowanie jedynie. W tym razie słusznie zrobiono, że posłuchano rady dyrekcyi, która bardzo zasadnie przedstawiała, iż jeśli pozostawioném będzie do jéj uznania w jaki sposób amortyzować listy, to może ona bardzo poważnie oddziaływać na ich kurs np. używając funduszu umorzenia w początkach emisyi na zakup listów na targu, a to dopóty, dopóki się kurs tych listów nie ustali. Wynikłaby stąd korzyść dla towarzystwa przez zakup listów niżéj równi, wtenczas kiedy przy losowaniu całkowita ich imienna wartość musi być uiszczona. Drugą inowacyę stanowiło umarzanie listów przez ich wypowiedzenie. Wypowiedzenie to mogło miéć zastosowanie wtedy, kiedy uparcie dane N-ra listów z koła losowań nie wychodziły, na targu do sprzedaży ich nie było, a należało bądź co bądź je umorzyć ze względu na bliski termin ich płatności. Termin wypowiedzenia pierwotnie oznaczonym był na 6 miesięcy naprzód; przez następne jednak uchwały, dla listów w późniejszych latach emitowanych, skrócono go do trzech miesięcy (§§ 106 i 107 regulaminu). Ta możność wypowiedzenia ułatwić miała także w przyszłości zamianę listów wyżéj na niżéj oprocentowane.

Wskutek powyższéj uchwały zamknięto w r. 1873-im emisyę dawnych 5% listów nieokresowych i rozpoczęto w r. 1874 emisyą nowych; postanowiono przytém, że dyrekcya może połowę funduszu zebranego na amortyzacyę użyć na zakup listów z wolnéj ręki; odpowiednie téż zmiany musiały nastąpić w statucie, regulaminie i tekście listów zastawnych.

* * *

Gdy po r. 1880-ym kurs wszystkich wogóle papierów się poprawił i spostrzeżono, że kapitał zadawalnia się i niższém oprocentowaniem, kiedy listy znajdują nabywców po cenie przewyższającéj 100. Ogólne zgromadzenie uchwaliło w r. 1885, aby obok 5% listów wydawać także i 4% w 41 latach umarzalne.

Pozostawiono do woli biorącemu pożyczkę brać ją w 4% lub 5% listach. Okazało się jednak, że to było przedwczesném, bo listy 4% o wiele niższy kurs otrzymały. Zaciągający pożyczkę uważali téż, „że korzystniéj będzie dla nich pozostać przy 5% listach, wyższy kurs mających. To téż w ciągu 1882 r. wydano nie całe 2 miliony pożyczek 4% listami, a przeszło sześć milionów 5% (dr. A. Skałkowski).

* * *

Ta nieudatna próba wywołała inną, dążącą do ulżenia stowarzyszonym, jeżeli nie w opłacie procentów, to chociaż w opłacaniu kwoty na umorzenie kapitału przypadającéj. Ogólne jednak zgromadzenia w r. 1883 i 1884 do tego projektu nie przechyliły się i postanowiły pozostać przy dotychczasowéj normie opłat amortyzacyjnych i dotychczasowych procentach. Dopiéro wobec ogólnéj zniżki stopy procentowéj w latach 1885 i 1886-ym, wobec faktu, iż wszędzie bez względu na czas umorzenia i niski procent listy znajdowały chętnych nabywców i podnosiły się w kursie, postanowiono pójść pośrednią drogą i obok istniejących 4% i 5% zaprowadzić nowe listy 4½%, a obok tego przedłużyć termina umorzenia i zniżyć skutkiem tego opłaty amortyzacyjne. Po ożywionych więc rozprawach uchwaliło ogólne zgromadzenie w r. 1886: „otworzyć emisyę 4½% listów z 52-letnim okresem umorzenia, tudzież 4% z 56-letnim okresem umorzenia, a zamknąć raz na zawsze dalszą emisyę 5% listów."

W téjże uchwale ustanowiono inną, także ważną rzecz, na którą dotąd nasze towarzystwa kredytowe zdobyć się nie mogą, — mianowicie zaś postanowiono w saméj ustawie ujawnić w formie uroczystéj i pouczyć stowarzyszonych, kiedy to, w jakiéj epoce roku mogą uskutecznić spłatę gotowizną, bez żadnych dopłat na procent. Udogodnienie to zaprowadzono tylko co do nowych listów, obawiając się naruszać odmienne rozporządzenia, istniejące co do dawnych 5% listów.

W następstwie powyższéj uchwały, do § 19 statutu dodany nowy ustęp tak brzmiący: „przy pożyczkach w 4% listach zastawnych z 56 letn. planem umorzenia i w 4½% l. z. z 52 letn. planem umorzenia będą wolni od zapłaty téj prowizyi (za następujące półrocze), ci dłużnicy, którzy zwrot gotowemi pieniędzmi uiszczać będą w pierwszém półro-

czu przed 1 kwietnia, a w drugiém półroczu przed 1 października każdego roku"; — a to ze względu, że losowanie tych nowych listów odbywa się w miesiącu kwietniu i październiku każdego roku (§ 25) i dostarczony przez spłacającego fundusz natychmiast do funduszu losowania mógł być dołączonym, lub też użytym na zakup listów z wolnéj ręki, zatém nie byłoby zasady ściągania półrocznego procentu od spłacających [1]). Faktycznie, u nas to samo się dzieje, jeśli kto przed samém losowaniem spłatę pożyczki dokonywa, lecz o tém wié tylko bardzo małe koło osób, bliżéj się nad tém zastanawiających. Ogół nie wiele ma pojęcia o obrotach finansowych i téj to większości należałoby na to zwrócić uwagę.

* * *

Dr. Ostrożyński (str. 206 i nast.) opowiada ciekawą historyę usiłowań dyrekcyi towarzystwa podniesienia po r. 1880 kursu nowych listów przez wprowadzenie ich na giełdy zagraniczne, i oryginalny użyty ku temu środek. Wprowadzenie na giełdę jakiegokolwiek papiéru ma na celu wystawienie go tam na sprzedaż i pozyskanie nabywców, a przez to ustalenie lub podwyższenie jego kursu. Wiadomo jest jednak rzeczą, dla każdego jako tako z działalnością giełd obeznanego, iż skuteczność tego środka zależna jest od tego, aby dana instytucya milionowe sumy mogła rzucić na targ. Puszczanie drobnych w tym celu kwot do niczego nie doprowadza, gdyż uproszeni nabywcy i sprzedawcy ustalają kurs nie prawdziwy, lecz fikcyjny, który, choćby wprowadzony na kurscetel, nikogo w błąd nie wprowadzi i nikt mu wierzyć nie będzie. (Doświadczyło tego w ósmym lat dziesiątku nasze towarzystwo kr. m. Warszawy, chcąc wywołać kursa swych listów na giełdzie berlińskiéj sumą 30 tysięcy rubli w listach). Dyrekcya więc towarz. kr. galicyjskiego, aby pozyskać do swéj dyspozycyi te miliony, przeprowadziła przez ogólne zgromadzenie w roku 1883-im dozwolenie jéj: „zamieszczania w promesach pożyczkowych warunku, iż przysłuża (*sic*) jéj prawo listy zast., na pożyczkę wydać się mające, sprzedać po kursie przez nią oznaczonym, a uzyskaną stąd gotówkę biorącemu pożyczkę wypłacić."

---

[1]) Zmarły przed niedawnym czasem zasłużony naczelnik buchalteryi w towarzystwie kredytowém m. Warszawy, Jan Zieliński, ułożył bardzo pracowite tablice na każdy dzień roku, wskazujące jasno i zrozumiale, w których dniach dla stowarzyszonych jest korzystniéj spłacać pożyczkę w gotowiźnie, a w których listami, przy takim a takim kursie. Tablice te miały być podanemi do wiadomości publicznéj i wywieszonemi w sali kasowéj towarzystwa.

Tak nadzwyczajna, według naszych pojęć, władza dyrekcyi, to pozostawienie jéj dowolności, oznaczanie kursu wydać się mających listów, każdego razić musi, a po zastanowieniu trzeba przyjść do tego przekonania, że to postanowienie ogólnego zgromadzenia nie może miéć siły obowiązującéj dla stowarzyszonych. Dr. O. uważa, że dyrekcya wyszła tutaj „ze słusznego założenia, iż upoważnienie jéj do wypłacania gotówki za listy zastawne nie pociąga za sobą potrzeby zmiany statutu.“ Tymczasem § 1 tych statutów najwyraźniéj powiada, iż celem towarzystwa jest: „wydawanie pożyczek w listach zastawnych“, a zatém o wydawaniu ich w gotówce mowy być nie może i nie są téż one wnoszone do hypoteki jako pożyczki w gotówce, lecz jako pożyczki w listach.

Być może, iż cel uświęcał tu środki, bo dzięki temu upoważnieniu, jak zapewnia autor, obrót listami na giełdach mógł być znaczniejszym i kurs listów nietylko się ustalił, ale i ciągle podnosił.

Mimo to jednak wątpliwości ulegać nie może, że każdy stowarzyszony, choćby zaakceptował swoim podpisem podobnego rodzaju promesę, mógłby się z niéj zrzucić, jako przeciwnéj § 1 statutu i mógłby zażądać listów w naturze.

* * *

Przy podnoszonéj u nas ciągle myśli przemiany naszych listów zastawnych 5% na listy niżéj oprocentowane, zasługuje na bliższą uwagę sposób dokonania téj przemiany w towarzystwie galicyjskiém.

Jak wiemy, towarzystwo w r. 1886 miało w obiegu czworakie listy zastawne i czworakie pożyczki na hypotekach:

a) 5%	umarzalne	w 37	latach	o stopie umorzenia	1%
b) 4%	„	41	„	„	1%
c) 4%	„	56	„	„	½%
d) 4½%	„	52	„	„	½%

Największe więc raty płacili ci stowarzyszeni, którzy zaciągali od r. 1842 począwszy pożyczki 5%, a najmniejsze ci, którzy brali pożyczki 4% umarzalne w lat 56.

Konwersyę tych listów na listy jednego rodzaju można było uskutecznić albo częściowo, t. j. w miarę zgłaszania się o nią dłużników, albo ogólnie z urzędu, przymusowo dla wszystkich dóbr.

Dr. Ostrożyński nie objaśnia nas jednak, dlaczego mianowicie towarzystwo z początku pozostawiało to dowoli i uznania każdego z osobna stowarzyszonego, a dlaczego potém namyślono się i przepro-

wadzono przymusową konwersyą. Geneza jednéj i drugiéj myśli i jéj pobudki byłyby wielce pouczające.

W pierwotnéj fazie téj konwersyi, gdy od uznania dłużnika zależało, czy wśród danych kursów opłaci się mu ją uskutecznić—dokonywano jéj (od r. 1881 począwszy) w ten sposób, jakoby dłużnik zaciągał zupełnie nową pożyczkę. A więc zeznawał on zupełnie nowy oblig, na nowo ponosił opłaty skarbowe, dawał nową intabulacyę dla pożyczki i nawet uzyskiwać musiał ustępstwo pierwszeństwa dla téj niby nowéj pożyczki od swych niższych wierzycieli hypotecznych. Wydane mu listy zast. sama dyrekcya spieniężała, a po złożeniu przez niego dopłaty na różnicę kursu między dawnemi a nowemi listami, wykreślano dawną pożyczkę.

Była to więc operacya dość kosztowna i zupełnie nie przystępna dla tych stowarzyszonych, którzy nie mogli na razie ponosić tych kosztów i złożyć dopłaty na różnicę kursu. Takich zaś było najwięcéj i ci najwięcéj potrzebowali konwersyi, aby dojść do zmniejszenia wysokich rat, dotąd z trudnością opłacanych.

To było powodem, że już w r. 1882 zwrócono uwagę na ten stan rzeczy i na ogólném zgromadzeniu domagano się, aby obmyślano jak najprędzéj odpowiedni, a mniéj kosztowny sposób ogólnéj konwersyi. Ówczesna dyrekcya przedstawiała jednak niemożebność dokonia téj operacyi, gdyż towarzystwo nie posiadało funduszu, aby módz za wszystkich stowarzyszonych założyć na pewien choćby czas sumę dwudziestu kilku milionów złr., potrzebnych nietylko na dopłaty, lecz i na zakup dawnych 5% listów. Proponowano więc, aby w tym celu towarzystwo zaciągnęło 4-milionową pożyczkę lub weszło w układ, z jaką potężną instytucyą finansową. Pożyczkę uważano jednak za rzecz trudną do pozyskania i niewystarczającą w sumie 4 milionów. Obok tego towarzystwo, jako nie będące instytucyą bankową, mogłoby uledz zabiegom spekulacyi, która podniosłaby zbyt wysoko kurs starych, a obniżyła kurs nowych listów. Zatrzymano się na myśli znalezienia pośrednika z giełdą obeznanego i tak potężnego, iżby mógł przechować przez pewien czas w swych kasach listy nowo wypuszczone, a przez równoczesne dostarczenie funduszów na umorzenie dawnych, zmusić kapitalistów szukających lokacyi do ofiarowania odpowiedniéj ceny za nowe listy.

Polecono więc dyrekcyi zawiązać układy z instytucyami kredytowemi i wnieść odpowiednią petycyę do koła sejmowego, dla uzyskania pewnych zmian w ustawie hypotecznéj. (Prawnicy bowiem różnie się na konwersyę zapatrywali, jedni uważali ją za odnowienie długu, za nowacyą utracającą dawne miejsce hypoteczne, inni zaś widzieli

w niéj zniżenie tylko % od dawnego długu. Towarzystwo jednak chciało uniknąć tych wątpliwości i dzięki jego staraniom, nowe prawo z d. 14 czerwca 1889 r. rzecz załatwiło.

Rokowania dyrekcyi długi czas nie miały powodzenia.

Dopiéro w r. 1886 zamknięcie emisyi 5% listów i otwarcie emisyi 4½% ułatwiło sprawę, choć na samą wieść o konwersyi, listy 5% podniosły się o 2% nad *pari!*

Firma Erlangera w Frankfurcie nad M., działająca w imieniu połączonych z nią kilku banków podała warunki najkorzystniejsze i z nią 5 października 1886 r. zawarta została umowa. Z mocy téj umowy, konsorcyum to zobowiązało się płacić towarzystwu dwojakie ceny za dostarczone sobie nowe listy, a mianowicie: jeśli szło o pożyczki konwersyjne miano płacić: za 4½% listy zast. po 97 zł. r. 50 c. za 100, za 4% 41 letnie po 92 zł. r. 50 c. za 100, za 4% 56 letnie po 91 zł. r. 50 c. za 100, tak, iż do 100 zł. r. skonwertować się mającéj pożyczki 5% trzeba było dopełniać przy braniu pożyczki 4½% po 2 zł. r. 75 c., 4% 41 let. po 8 zł. r. i 4% 56 let. po 9 zł. r.

Przy zwykłych, t. j. niekonwersyjnych pożyczkach, miano płacić taką samą cenę za 4½% listy, za listy zaś 4%, 56-cio letnie 92, a za 41 letnie o ½% niższą od ich kursu.

Układ ten miał obowiązywać strony do 31 grudnia 1889 r. z możnością zawieszenia go przez konsorcyum, gdyby nastąpił spadek kursu renty austryackiéj lub akcyi banku austro-węgierskiego po za pewną normę. Sumę skonwertować się mających w r. 1886 pożyczek, oznaczono z początku na 10 milionów, a potém na 12 — zaś zwykłych na 3 miliony.

W zasadzie jednak konwersya ta była tylko dobrowolną, częściową. Przystępowano jednak do niéj tak licznie, że wyczerpano wprędce nietylko całe 12 milionów, ale musiało jeszcze towarzystwo samo nabyć ½ miliona 4½% listów ze swego funduszu rezerwowego.

Z powodu wynikłych stąd kosztów, towarzystwo dla ich pokrycia musiało ustanowić dla konwertujących jednorazową opłatę po 10 centów od każdych 100 zł. r. skonwertowanéj pożyczki.

W styczniu jednak 1887 r. przewidziany w układzie spadek kursu renty austryackiéj nastąpił i konsorcyum wstrzymało dalsze swoje operacye.

Tymczasem i kurs listów uległ znacznemu obniżeniu w latach 1887 i 1888 — tak, że chcący mimo to konwertować sami lub przez dyrekcyę narażeni byli na stratę 7% do 8% od sumy skonwertowanéj. Sprzedaż zaś 4½% listów była połączoną z wielkiemi na targu lwowskim trudnościami a płacono je zaledwie po 93%.

W tym stanie rzeczy lata trzeba by było czekać, aby wszyscy stowarzyszeni doszli do pożądanéj ulgi w opłacie rat. Dyrekcya zdecydowała się więc na krok stanowczy. Postanowiła przeprowadzić ogólną konwersyę. W tym celu zawarła nowy układ z bankiem dla krajów koronnych (*Länder-Bank*) 26 stycznia 1889 — choć na warunkach mniéj dogodnych aniżeli z konsorcyum Erlangera. Bank bowiem zobowiązał się zakupywać od towarzystwa: 4½% listy z. po 96.25 zł. r., 4% 41 letnie po 91.75 zł. r., 4% 56 letnie po 90.75 zł. r. Skutkiem tego, przy względzie na utrzymujący się kurs listów 5% po 102 zł. r. 50 c. za sto, dopłata przy konwersyi wynosiła 4 zł. r. lub 8.75 albo nawet 9.75!

W układzie tym, skrępowano bardzo samoistną działalność towarzystwa, bo postanowiono sumę pożyczek w 4½ i 4% listach ograniczyć na rok 1889 do 11 milionów zł. r. a w następnych latach do 8 milionów. Układ trwać miał do 31 grudnia 1891 r. a właściwie dotąd, dopóki konwersya nie będzie ukończona, byle tylko w tym czasie kurs renty austryackiéj nie spadł niżéj 77%, w takim razie bowiem układ mógł być zerwany.

Wszystkie te twarde warunki trzeba było przyjąć, aby tylko pozyskać stałego odbiorcę listów choć po ograniczonym bardzo kursie!

W dalszym ciągu raz powziętego zamiaru, dyrekcya upewniwszy się naprzód o przychylnéj decyzyi rządu, przeprowadziła na ogólném zgromadzeniu w r. 1890 swój projekt nowych §§ 97, 98 i 99 w statucie, upoważniających do téj ogólnéj konwersyi i wskazujących sposób przy tém postępowania.

Zauważono jednak już na tém ogólném zgromadzeniu, że dla konwersyi na tak szeroką skalę zamierzonéj, układ z rzeczonym bankiem jest niedogodny i odwleka wyczekiwaną ulgę. Daléj, w obec konieczności wypowiedzenia zaraz wszystkich 5% listów, obiegających w sumie przeszło 26 milionów i zastąpienia ich 4½% listami w takiéjże mniéj więcéj sumie, bank mógł się od tego uchylić, gdyż do tego nie był obowiązany. Postanowiono więc rokować z bankiem o nowy układ, który też został zawarty 23 maja 1890 r. Z mocy tego układu bank zobowiązał się w s z y s t k i e bez żadnego ograniczenia 4½% listy z. dla konwersyi 5%-ych wydać się mające z datą 1 lipca 1890 r. zakupić po kursie stałym, wyższym nawet od poprzednio umówionego, bo po 77.75%. Na czas znów od 1 lipca 1891 do 31 grudnia 1895 r., bank zobowiązał się zakupywać wszystki 4½% i 4% listy zast. po kursie o 70 cent. niższym od każdodziennego ich

kursu (giełdy wiedeńskiéj) co dwa miesiące oznaczanego, wedle kursu ostatnich 8 dni.

Skutkiem tego układu, dyrekcya po zatwierdzeniu przez rząd nowych §§ 97—99 statutu, wypowiedziała w czerwcu 1890 r. wszystkie 5% listy zastawne, które z końcem tego miesiąca pozostawały jeszcze w obiegu, a które miały być wypłacone w końcu grudnia t. r.

Jednocześnie z tém wypowiedzeniem, wydano bankowi 26 milionów listów nowych (26,356,900) w ciągu 2 miesięcy czasu t. j. od 7-go czerwca do 6-go sierpnia 1890 r. Przyznać należy, że była to olbrzymia praca, dokonana w niesłychanie krótkim przeciągu czasu. Trzeba było bowiem przygotować 21,104 sztuk nowych listów!

Dopłata konwersyjna —ze wszystkiemi dodatkami, wobec spadku listów 5% mogła być zredukowaną do 2 zł. r. 47 c. od każdych 100 zł. r. skonwertowanéj pożyczki.

Dokonana ogólna konwersya, choć okupiona znacznemi ofiarami ma wielką doniosłość nie tylko dlatego, że obniżyła stowarzyszonym stopę procentową o ½% — ale i dlatego, że tamuje drogę dalszéj konwersyi.

Żałować tylko należy, że nie mogła być przeprowadzoną własnemi siłami towarzystwa i pozbawiła je zysków, pobranych przez pośredniczący w téj sprawie bank! Dłużnicy towarzystwa, którzy nie byli w stanie zapłacić zaraz dopłaty konwersyjnéj — odczuli jéj dobrodziejstwo dopiéro po upływie lat 5, a przy konwersyi na 4% listy dopiéro po upływie lat 10 — bo przez tyle mniéj więcéj lat dla nich musiały pozostać bez zmiany dawne raty pożyczkowe.

* * *

Dr. Ostrożyński w rozdziale V, części III, wskazuje jako jedną z bardzo ważnych dolegliwości towarzystwa — bardzo nieudolne środki egzekucyjne. Towarzystwo galicyjskie nie posiada prawa prowadzenia samo-własnéj egzekucyi — tak, jak je mają nasze towarzystwa kredytowe. Zmuszone jest tak, jak każdy inny wierzyciel, zwrócić się do sądu, celem czy to sprzedaży zalegającego w opłacie majątku, czy téż zaprowadzenia w nim sekwestracyi dochodów. Co prawda, przysługują towarzystwu pewne ulgi i drobne przywileje, lecz jak autor nas naucza, przy powolności procedury austryackiéj, przy sposobie jéj pojmowania i wykonywania przez sądy galicyjskie, towarzystwu przyszłoby lata całe wyczekiwać na zrealizowanie swych należności. Dr. Ostrożyński w energicznych słowach zaznacza ten

stan rzeczy i otwarcie wyznaje, że instytucye kredytowe w Galicyi, dzięki procedurze sądowéj, są zagrożone w swych prawach. Istnienie towarzystwa byłoby prawie niemożebném, gdyby nie to: że ma ono nadane sobie prawo posługiwania się tak zwaną egzekucyą polityczną t. j. administracyjną (wedle nomenklatury u nas przyjętéj). Skutkiem tego, może ono żądać od miejscowych starostów, ściągania zaległości towarzystwa, w téjże saméj drodze, w któréj ściągane są podatki skarbowe, t. j. z dochodów dóbr, przez ustanowionego z ramienia władz „sekwestratora.“ Prawo uciekania się do téj egzekucyi, uważa autor za najważniejszy przywiléj towarzystwa kredytowego galicyjskiego.

* * *

Jedną ze słabych także stron towarzystwa galicyjskiego, wedle dra O. jest nie dość zasobny i słabo się zwiększający jego fundusz rezerwowy, a jakby u nas, w naszéj terminologii powiedziano, kapitał zasobowy, mający za zadanie, pokrywanie wszelkich możebnych strat w zdarzyć się mogących wypadkach, zastępowanie w opłatach opóźniających się dłużników, oraz nieść ulgi podupadłym wskutek klęsk członkom towarzystwa w opłacie rat. Stale zaś i nieustannie dostarczający w odsetkach, jakie przynosi, fundusz na pokrycie wydatków na zarząd (§ 77 statutu).

Fundusz rezerwowy w towarzystwie tém, powstaje tak jak w naszém towarz. kr. ziem. tylko z przewyżek w dochodach ponad rozchody. Do niego wedle § 76 statutu zaliczają się:

„Prowizye zyskane eskontowaniem listów z. i kuponów, tudzież od pożyczek na listy zast. i z korzystnego użycia wypłaconych przez dłużników w ½ roku z góry ilości pieniężnych, nakoniec wszelkie pieniężne oszczędności i nadzwyczajne wpływy.“

Włączone do niego zostały także kapitały, któremi towarzystwo przy swojém zawiązaniu zostało przez rząd obdarowane a wynoszące jak wiemy około 552,000 zł. r. (według d-ra Skałkowskiego fundusz ten wynosił 540,700 zł. r.). Dla zwiększenia go ma prawo towarzystwo wedle § 78 dokonywać prawdziwych czynności bankierskich, bo może udzielać z niego na pewien procent zaliczeń na listy zastawne lub inne nawet papiéry krajowe, na giełdzie wiedeńskiéj notowane, może nawet ryzykować i „chwilowo lokować gotowiznę w zakładach finansowych na bieżący rachunek“ [1]), mogą być także li-

[1]) Czy instytucye te obowiązane są dać towarzystwu odpowiednią kaucyę,

sty towarzystwa z funduszu tego nabywane i następnie zastawiane lub sprzedawane! Jedném słowem, wszystko to, co w naszych towarzystwach uważaném byłoby, wedle wyrobionéj tradycyi (choć bez wyraźnego zakazu prawa), za spekulacyę niedozwoloną, jest rzeczą nie tylko dozwoloną przez statuta towarzystwu galicyjskiemu, ale nawet konieczną dla zwiększenia funduszu rezerwowego. Fundusz ten bowiem jest wynikiem tylko przypadkowych wpływów i oszczędności. Nie tworzy się tak, jak w naszych towarzystwach miejskich, ze stałych opłat przez stowarzyszonych uiszczanych w ciągu 2-ch pierwszych lat po wzięciu pożyczki (po 2%)—gdzie téż z tego powodu tak szybko wzrasta [1]). Tak samo jak w naszém tow. kred. ziems., fundusz ten powstaje w towarzystwie galicyjskiém, głównie z kar przez opóźniających się, ponoszonych i z tego téż powodu równomiernie do ilości pożyczek nie wzrasta [2]).

Norma jego w statutach nie jest oznaczona tak jak u nas (w tow. kred. ziems. 6% ogółu pożyczek, a w tow. miejskiém ¼ ich część). Wysokość jego ciągle waha się od r. 1869 do 1891 między 6½% a 2¼% do ogółu coraz rosnących pożyczek. W r. 1891 na 77 milionów pożyczek wynosił zaledwie 1 milion i niecałe 200 tysięcy!

Charakteryzuje fundusz rezerwowy jeszcze i to, że stanowi on własność towarzystwa, tymczasem w naszych towarzystwach kr. miejskich stanowi własność stowarzyszonych i jest im w pewnéj części zwracany, przy wyjściu przez nich ze stowarzyszenia (§ 52 ustawy tow. miejskich).

Ten stan rzeczy był powodem, że na ogólném zgromadzeniu w r. 1879, była podniesiona myśl zwiększenia tego funduszu przez dodatkowe opłaty, jakieby stowarzyszeni przez pewien czas na ten cel opłacali, tak, aby zawsze fundusz ten odpowiadał pewnemu procentowi od cyfry będących w obiegu listów. Ogólne zgromadzenie odrzuciło ten projekt jako „sprzeczny z duchem i celem instytucyi.“ Uważano, że wprowadzenie w życie tych zasad „mogłoby zwichnąć cel towarzystwa.“ Dr. O. czyni uwagę, że projekt ten nie zasługiwał na sąd tak surowy, że zasada ta zasługiwała na uwzględnienie, że z przyjęciem jéj zwiększyłaby się powaga listów galicyjskich i może chętniejszych

---

jako zabezpieczenie, tak, jak to u nas w towarz. kr. miejskiém ma miejsce? Dr. O. o tém nie wspomina.

[1]) W tow. kred. m. Warszawy, w ciągu niecałych 20 lat dosięgnął 3 milionów rubli na 33 milionów listów w obiegu będących.

[2]) Kary te wraz z liczbą pożyczek wzrastają: w r. 1869 wynosiły blisko 17 tysięcy zł. r., a w roku 1886 dosięgły 119 tysięcy, w roku zaś 1891 wynosiły 103 tysiące.

niż dotad znajdowałyby nabywców. Tegoż samego zdania było namiestnictwo lwowskie, gdy oparła się o nie sprawa w latach 1884—5 wydzielenia z funduszu rezerwowego corocznie „funduszu możliwych strat“ [1]). Obie jednak władze towarzystwa jak i ogólne zgromadzenie w r. 1886 uznały:

„że wysokość funduszu rezerwowego odpowiada zupełnie jego przeznaczeniu i że nie widzą obawy, aby fundusz ten nie wystarczał na dopełnienie zobowiązań na nich ciążących.“

W usprawiedliwieniu tych twierdzeń przytoczono, że nigdy dotąd mimo wzrastającéj sumy pożyczek, nie zabrakło funduszu na pokrycie zaległych rat i opłat na zarząd, że fundusz ten ciągle się zwiększa, a przyrost pożyczek i listów zastawnych, będących w obiegu, musi maleć, bo dosięga już prawie granicy swego rozwoju, t. j. pierwszéj połowy wartości dóbr tabularnych, ocenionych na 150 milionów zł. r. (z któréj towarzystwo wyczerpuje już swemi pożyczkami przeszło 70 milionów — a inne instytucye kredytowe około 50 milionów.

Za tym poglądem przemawia doświadczenie wielu innych towarzystw kredytowych, których kapitały zasobowe ciągle wzrastaią bez specyalnych na ten cel opłat stowarzyszonych. Bezpieczeństwo listów oparte jest przedewszystkiém na skrupulatném obliczeniu wartości hypotek, na których pożyczka mieści się w pierwszéj połowie téj wartości, ciągle się zwiększającéj wobec podwyższenia się ceny ziemi. Obok tego, jak już wiemy, w towarzystwie galicyjskiém, w tém samém miejscu hypoteczném, zabezpieczona jest dodatkowa solidarna rękojmia wszystkich członków towarzystwa za jego zobowiązania, a przedstawiająca jak obecnie blisko 4 miliony zł. r. Fundusz rezerwowy jest potrzebny jako gotówka w kasie leżąca na pokrycie n a r a z i e niedoborów, zanim one z dóbr ściągniętemi zostaną. Byle więc tylko pomyślne i spokojne lata czas jakiś przetrwały, fundusz ten dość prędko dosięgnie pożądanéj przez d-ra O. normy, t. j. 66,67% wszystkich pożyczek [2]).

---

[1]) Celu tego wydzielenia z książki prof. Ostrożyńskiego dobrze zrozumiéć nie można, bo czy fundusz na straty był czy nie był wydzielonym, zawsze straty te z funduszu rezerwowego pokrywały się. Czytając str. 331 i inne zdawałoby się, że to sztuczne wydzielenie miało na celu ochronienie stowarzyszonych od powrotu do opłat na zarząd, które to opłaty szłyby w istocie nie na zarząd lecz doliczałyby się do funduszu rezerwowego. Pojąć jednak trudno, jakim sposobem to wydzielenie mogło zapobiedz powrotowi tych opłat.

[2]) Dla wzmocnienia też funduszu rezerwowego, ogólne zgromadzenie tow. galic. z r. 1891 rozszerzając swoją działalność na Bukowinę, włożyło na tamtej-

Ważniejszą wadą tego funduszu, na którą nie zwrócono uwagi, jest sposób jego lokowania w własnych listach towarzystwa! Naszym towarzystwom kredytowym tak miejskim jak i ziemskim czynić tego nie wolno (art. 259 ust. tow. kred. ziems. 1888 i § 49 ust. miejsk.). Mogą one swe kapitały zasobowe lokować tylko w papiérach państwowych lub przez państwo poręczonych. Jest to rzeczą bardzo słuszną. Gdyby bowiem jakaś klęska ogólno-krajowa dotknęła stowarzyszonych, gdyby w wielkiéj liczbie zaprzestali oni płacić raty, listy spadłyby w cenie, a kto wié, czy w chwili ogólnego popłochu znalazłby się na nie nabywca. W jaki więc sposób towarzystwo, mające swój kapitał zasobowy tylko we własnych listach, mogłoby je zrealizować na gotówkę, aby płacić za kupony i wylosowane listy? Mimo posiadania milionów tych listów, nie mogłoby ich spieniężyć, lub w najlepszym razie musiałoby je sprzedać po cenie znacznie niższéj od ceny nabycia, ponieść olbrzymie straty i wyczerpać bardzo prędko swój kapitał zasobowy.

Jeśli więc gdzie, to w tym względzie przeobrażenie kapitału zasobowego towarzystwa galicyjskiego byłoby pożądane.

* * *

Wielką zasługą władz towarzystwa galicyjskiego jest niezmierna oszczędność w wydatkach na administracyę, w porównaniu z innemi towarzystwami kredytowemi.

Płace członków dyrekcyi, rady nadzorczéj, urzędników i sług wraz z ewentualnemi dodatkami osobistemi i nadzwyczajnemi, wynosiły w r. 1869 zł. r. 39,082, a przez 25 lat, gdy stan pożyczek z 16 milionów wzrósł do 77, koszta te nawet 80 tysięcy zł. r. nie dosięgały (78,721 zł. r. 92 c.). Dla niezaprowadzania zbyt licznego, stałego personelu i nieobciążania budżetu stałym wydatkiem i podatkiem od liczby urzędników, towarzystwo galicyjskie w razie potrzeby, przy zwiększaniu się czynności, powołuje tak zwanych „dyurnistów“ t. j. pisarzy dziennych.

Towarzystwo pokrywa z własnych oszczędności płace emerytalne, które choć bardzo skromne, zawsze jednak corocznie przecięciowo po 15 tysięcy zł. r. obecnie wynoszą. Daléj płaci dyety i koszta podróży delegatów, co 4,000 zł. r. przecięciowo czyni. Opłaca też towarzystwo podatek od posiadanego majątku nieruchomego i ruchomo-

---

szych właścicieli, do pożyczki przystępujących, obowiązek jednorazowéj w tym celu opłaty po 1%.

ści w ilości przeszło 20,000 zł. r. rocznie; podatki: dochodowy, zarobkowy i gminny, przechodzą niekiedy 16,000 zł. r., jak w latach 79 i 80. Opłata stemplowa od kuponów, w zastępstwie posiadaczy listów, przez towarzystwo płacona, przecięciowo wynosi 20 tysięcy zł. r. Nawet giełda wiedeńska za pozwolenie notowania na kurscetlach listów zastawnych, wymierzyła na towarzystwo podatek na podstawie stanu listów zastawnych 10 cent. od tysiąca, co w ostatnich latach wytworzyło sumę przeszło 7,000 zł. r. Gdy w r. 1875 towarzystwo przeciw uiszczeniu się opłaty protestowało, twierdząc: „że z giełdy wcale nie korzysta i nie jest instytucyą na zysk liczącą,“ izba giełdy poleciła zaprzestać notowania kursu listów galicyjskich w urzędowym wykazie, lecz i bank narodowy powstrzymał lombardowanie listów zastawnych t. j. zaprzestał wydawać na nie zaliczenia. Wobec tego, towarzystwo musiało kapitulować i poddać się pod ten podatek w obawie o kurs swych listów i o dalszą przeciw nim kampanią solidaryzujących się z giełdą instytucyi kredytowych!

Ogólna suma wszystkich tych ważnych wydatków na ogólny zarząd wzrasta z każdym rokiem, acz niejednostajnie. W r. 1870 wynosiła tylko 87 tysięcy zł. r. a w r. 1890 dosięgła swego kulminacyjnego punktu 233 tysięcy! W r. 1891 zeszła do 220 tysięcy.

Tylko dzięki wielkiéj swéj oszczędności mogło towarzystwo zadość uczynić tym wydatkom ze swych niestałych i niepewnych wpływów, bo stałych na to nie posiada. Według nowego statutu, towarzystwo miało prawo pobiérać od swych członków pewien stały dodatek na zarząd, który téż po swém przeobrażeniu przez lat parę (1868—70) pobiérało tak jak dawniéj przed 1856 w wysokości $^1/_{10}\%$. Trwało to jednak nie długo. Wybrana przez ogólne zgromadzenie z r. 1871 komisya rewizyjna, wychodząc z zasady „że do utrzymania równowagi między przychodami a wydatkami w budżecie towarzystwa, opłata dodatku na zarząd nie jest niezbędnie potrzebna, uznała, że pobór jego z końcem roku 1870 ustać powinien. Mimo oporu dyrekcyi, zgodziło się na to ogólne zgromadzenie i od 1 lipca 1870 roku dodatek ten nie jest pobiérany, na czém, jak słusznie zauważył dr. O., zyskali przeważnie nowo przystępujący członkowie towarzystwa, korzystają z opłat i oszczędności dawniejszych stowarzyszonych, którzy przyczynili się głównie do wzrostu funduszu rezerwowego, a nowi członkowie „w dzisiejsze dobrodziejstwo instytucyi wcale się nie wkupili. To téż w tow. kred. m. Warszawy, stowarzyszony dopiéro po przebyciu w towarzystwie lat 12 zwolniony jest od opłaty na administracyę.

Przychody swoje wytwarza towarzystwo już to przez obroty

swego własnego majątku, już przez pobór różnych opłat od stowarzyszonych przy różnych czynnościach.

I tak: pobiéra kupony od listów zastawnych, w których jak wiemy, lokuje cały swój kapitał rezerwowy, (w r. 1891 przyniosły te kupony 47 tysięcy zł. r. przeszło); daléj pobiéra % od zaliczek udzielanych na zastaw papiérów wartościowych, z czego w r. 1891 zebrano blisko 50 tysięcy zł. r.; następnie pobiéra % za eskontowanie wylosowanych listów i kuponów przed terminem ich płatności, z czego w r. 1889 było dochodu 6,892 zł. r. a w r. 1890 przeszło 5,000 zł. r.; pobiéra też od 1875 r. pewną opłatę za przechowanie wszelkich depozytów i papiérów wartościowych, co rocznie około 3,000 zł. r. przynosi, lubo ta opłata tylko 5 c. od 1,000 zł. r. na miesiąc wynosi. Pobiéra téż opłaty za czynności dokonane z depozytem na żądanie składającego, jak za wydawanie kuponów, za wydawanie depozytów, za „wglądanie do depozytu“ i t. p. po 1 zł. r. za każdą tą czynność. Za zrealizowane od depozytów kupony pobiéra $^1/_{10}$%. Nakoniec towarzystwo ma pewne zyski od r. 1873, gdy wykupuje listy po niskim kursie, zamiast je losować i płacić *al pari.* Wogóle towarzystwo z obrotu majątku swego miało w roku 1888 zł. r. 142 tysiące, w r. 1890 zł. r. 179 tysięcy, a w r. 1891 zł. r. 140 tysięcy. Ma téż towarzystwo pewne choć niewielkie dochody z domu, bo przecięciowo jakie 7 do 8 tysięcy guldenów, co zaledwie przedstawia 3% od wyłożonego na gmach kapitału. Dochód ten nie dorównywa nawet % od listów zastawnych; towarzystwo więc usilnie od r. 1884 poszukuje na dom swój nabywcy (za cenę około $^1/_2$ miliona guldenów), dotąd jednak nadaremnie. Opłata za przygotowanie listów (licząc po 12 centów od każdych 100 zł. r.), dosięga niekiedy znaczniejszéj sumy np. w r. 1886 wyniosła blisko 23 tysiące zł. r., w r. 1890 zł. r. 37 tysięcy, a w r. 1889 zł. r. 15 tysięcy.

Najważniejszém jednak źródłem dochodu są kary, płacone przez opóźniających się, czyli tak zwane „prowizye zwłoki“ ciągle w cyfrze swojéj podnoszące się od 14 tysięcy w r. 1870, do 118, w roku 1886, ustalające się prawie na 100 tysięcy rocznie. Jest to dobre dla towarzystwa, zmuszonego czerpać stąd najważniejsze swoje przychody. Jest to źle dla stowarzyszonych, bo świadczy o ich ciężkiém położeniu, ciężkiém do tego stopnia, iż na barkach ich biédy spoczywa najważniejszy dochód towarzystwa.

Wszystkie razem wzięte dochody towarzystwa w r. 1890 dosięgły najpoważniejszéj cyfry 331 tys. zł. r. i zdają się ustalać na sumę 250 tysięcy rocznie.

Dzięki tym dochodom, towarzystwo może wytrzymać wydatki

na jego barki spadające, prawie ciągle od 1886 r. przekraczające 200 tysięcy zł. r. i pokrywać straty, które je od czasu do czasu dotykają, które jednak dotąd do znaczniejszych sum nie doszły [1]).

Pozostaje nawet od wydatków dość znaczna corocznie przewyżka, zaliczająca się do funduszu rezerwowego w myśl statutu; najmniejszą była w roku 1882, bo tylko 1439 zł. r. (głównie z powodu nadzwyczajnych wydatków, dyet i kosztów podróży delegatów na dwa zgromadzenia. Największą była w r. 1890, bo 98 tysięcy zł. r. a to wskutek przeprowadzonéj w tym roku ogólnéj konwersyi i ściągnięcia znacznéj części zaległości dawniejszych z wynagrodzenia propinacyjnego, przez właścicieli dóbr w tym roku właśnie otrzymanego.

* * *

Z powyższego streszczenia dziejów rozwoju i zasad towarzystwa kredytowego galicyjskiego, łatwo sobie zdać sprawę z jego zasług, z jego dobrych i mniéj dobrych stron. Towarzystwo galicyjskie rozwijało się w niezmiernie trudnych warunkach, wobec przeszkód, stawianych mu przez niechętnie go widzące z początku wyższe władze państwowe, daléj wobec ich pedantyzmu i powolności i nakoniec wobec konkurencyi innych, bardziéj spekulacyjnych (głównie na zysk obliczonych), lecz więcéj może rzutkich stowarzyszeń kredytowych akcyjnych, dających wyższe pożyczki a mniéj ostrożnych w ich udzielaniu. Pokonać to wszystko było nie lada sztuką, a przytém trzeba było się zdobyć na wytrwałość tak rzadką u nas. Dopięło jednak swego i dostarczyło własności ziemskiéj prawie 150 milionów (148,913,000 zł. r.) tanich i łatwo spłacalnych w długich terminach pożyczek, a tym sposobem zapobiegło wywłaszczeniom na korzyść obcego żywiołu. Dotąd jest u nas jeszcze marzeniem, mieć pożyczkę na 4½%, płacić na umorzenie 1% i nic więcéj nad to. Listy towarzystwa są doskonałym papiérem, umarzającym się normalnie i w tym względzie nie było żadnych skarg w ciągu półwiekowego istnienia towarzystwa. Kupony od nich płacą się bez przerwy i odwłoki, kurs ich ani gorszym ani lepszym od naszych walorów nie jest i ulega ogólnym prawom podaży kapitałów lub ich brakowi. Choćby nawet usil-

---

[1]) Dr. O. wylicza znaczniejsze z nich: zł. r. 52 tysiące skutkiem upadłości domu handl. „Kirchmajer i syn" w Krakowie, mającego agenturę towarzystwa; w któréj wypłacano wylosowane listy i przyjmowano raty. Na nabyciu i odprzedaży dóbr Winniki i Lichwin, strata dosięgła przeszło 21 tysięcy zł. r. Na dobrach Dołhe przeszło 6 tysięcy. Prócz tego były straty mniejsze od 1000 zł. r. na innyc dobrach.

nie szukając, znalazła się jakaś przewyżka kursu po stronie naszych walorów, to zapominać nie trzeba, że towarzystwo galicyjskie, jak było już wspomnianém, nie ma wyłączności udzielania pożyczek we własnych papierach na hipoteki ziemskie [1]). To tłómaczy pewną trudność w realizowaniu listów towarzystwa i narzucanie stowarzyszonym pośrednictwa saméj dyrekcyi towarzystwa przy zamianie listów na gotówkę. Bezwątpienia jest to mniéj właściwém, lecz zapewne było koniecznem ze względu na brak nabywców na tak ograniczonym placu zbytu jak miasta Galicyi, przepełnione już różnemi walorami i wreszcie nie wywołało to dotąd żadnych skarg i narzekań. Zarząd towarzystwa musi być wzorowo i oszczędnie prowadzony, kiedy daje sobie radę i pokrywa wszystkie wydatki bez przyczynienia się do nich stowarzyszonych.

Mniéj jasną stronę w towarzystwie upatrzyć tylko można w złéj i powolnéj egzekucyi sądowéj, do któréj towarzystwo w ostateczności uciekać się musi. Daléj słabą jego stroną jest niejaka niepewność w jego prawném istnieniu, na co dr. O. dwukrotnie zwraca uwagę (str. 43 i 137): statut pierwotny „był w całém tego słowa znaczeniu ustawą, miał moc obowiązującą wszystkich.“ „Został on nadany towarzystwu przez monarchę w erze przedkonstytucyjnéj, w czasie rządów absolutnych (w r. 1841), kiedy monarcha ten w Austryi był jednym i wyłącznym przedstawicielem władzy ustawodawczéj.“ „Statut ten miał więc taką samą moc obowiązującą, jak każda inna ustawa.“ „Skutkiem tego, w razie kolizyi przepisów statutu z przepisami prawa ogólnego, miałaby zastosowanie zasada prawa: „*lex specialis derogat generali.*“ „Statut towarzystwa wykluczałby zastosowanie przepisów prawa ogólnego.“ Późniejsze po r. 1841 zmiany tego statutu nie mają już tego charateru. Zmiany, dokonane w r. 1868, podobnie jak wszystkie następne, dokonanemi zostały nie w drodze ustawodawczéj, lecz w państwowéj, wykonawczéj. Były to tylko w gruncie rzeczy, jak widzieliśmy, uchwały ogólnych zgromadzeń, zatwierdzane przez władzę monarszą. Lecz takie uchwały nie mają już mocy powszechnie obowiązującéj ustawy! Wedle bowiem praw zasadniczych (ust. z 21 grudnia 1867 r.), ustawy takie mogą przyjść do skutku tylko przy współudziale monarchy, obu izb rady państwa, lub sejmu, przy pod-

[1]) Dowodem téj konkurencyi jest między innemi niemożność założenia w Galicyi tow. kred. miejskiego, o czém zamyślało towarzystwo galicyjskie. Domy w Krakowie, Lwowie i innych znaczniejszych miastach, znajdują łatwy i amortyzacyjny kredyt w banku austro-węgierskim, w kasach oszczędności i t. p. Mieszkańcy więc miast nie odczuwają potrzeby tworzenia własnych stowarzyszeń.

pisie odpowiedzialnego ministra i ogłoszeniu ich w dzienniku ustaw. Bez tego, uchwały takie, jakiemi zostało przeobrażoném tow. galicyjskie, są tylko normami prawnemi wiążącemi osoby statutem związane, a więc przedewszystkiém członków towarzystwa a nie także i osoby trzecie po za towarzystwem stojące," które o tyle tylko są niemi związane, o ile te zmiany nie odbiegają od przepisów prawa powszechnie obowiązującego."

Podobnych nienormalności więcéjby się napotkało w stosunkach austryacko-galicyjskich, dotąd jednak nie wywołały one żadnych zajść w tow. galicyjskiém i przy zdarzonéj po temu sposobności, łatwo usunięte być mogą.

Na tém kończąc ten przegląd spraw i dziejów tow. galicyjskiego, przesłać mu się godzi „Szczęść Boże" w dalszéj a mozolnéj pracy.

Artur B.





GERHART HAUPTMANN.

ZARYS LITERACKI.

Wśród szczupłéj liczby wybitnych talentów, któremi się może pochlubić najmłodsza generacya pisarzy niemieckich, jedno z najpierwszych bez wątpienia miejsc, zajmuje Gerhart Hauptmann. Urodzony w r. 1862 na Śląsku pruskim, znany do niedawna zaledwie najszczuplejszemu gronu, jako autor pseudoromantycznego rapsodu „Dola Prometydów“ (*Promethidenloos*), zdołał Hauptmann w krótkim przeciągu czasu zyskać sobie szeroki rozgłos w piśmiennictwie niemieckiém i zabłysnąć jako gwiazda przyszłości na niebie rodzinnéj literatury dramatycznéj. W wydanych dotąd utworach scenicznych wykazał on, obok niepośledniéj znajomości natury ludzkiéj, rzadki u Niemców dar obserwacyi bezpośredniéj, niezaćmionéj formułkami metafizyki i nie ograniczonéj przepisami pedantycznego szkolarstwa.

Pierwszy dramat p. t. „Przed wschodem słońca“ (*Vor Sonnenaufgang*) zwiastował w Hauptmannie realistę czystéj wody, zrywającego z tradycyą niemieckiego sentymentalizmu i francuskiéj techniki, a dążącego do stworzenia w ślad za Ibsenem i wielkimi poetami północy jędrnego i silnego dramatu społecznego, któryby najważniejsze zagadnienia tętniącego życia przeniósł na deski sceniczne.

Wpływ literatury skandynawskiéj pozostawił też niezaprzeczone ślady na całéj dotychczasowéj twórczości Hauptmanna i ciekawą jest rzeczą, iż właśnie przezeń uwydatnia się najsilniéj charakterystyczna różnica, dzieląca Hauptmanna od reszty „młodych“ pisarzy niemieckich.

W dziełach poetów skandynawskich znalazł Hauptmann wzór i wskazówkę, w jakie kształty przybierać należy zjawiska życiowe, oryginalnie zaobserwowane lub nawet osobiście przeżyte. W przeciwieństwie zaś do ogółu poetów niemieckich ostatniéj doby, wykazuje indywidualność pisarska Hauptmanna zupełny brak szablonowych pojęć i poglądów, ścieśniających swobodę twórczości autorskiéj. Przesądy mieszczańskiego liberalizmu i jego krótkowidztwo, cechujące tak dobitnie twórczość „młodych Niemiec" (z małemi jedynie wyjątkami), ustąpiły w jego dziełach miejsca ognistemu zapałowi poety, który malując z drobiazgową sumiennością życie codzienne, użycza mu płomiennych barw i tonów własnéj duszy.

W dramatach Hauptmanna znać tę duszę poety, pełną wrażeń niezwykłych, silnych i prawdziwych, która utworzyła te postaci, drgające siłą prawdy i tchnęła w nie życie. Nie dziw téż, że w dramatach jego postaci, rzeczywiście z życia zaobserwowane, odbijają się dość jaskrawo od tak zwanych „*ideenträgerów*", mających ucieleśniać pewną ideę autora, a występujących pod różnemi nazwiskami w jednakiéj wszędzie postaci. W nich odźwierciedla się dusza, charakter, myśli i dążności autora, analiza zaś psychiczna, doprowadzona częstokroć do ostatecznych granic, zaciera w nich niemal zupełnie słabe rysy indywidualne, któremi je wyposażyć pragnął poeta. Faktem już bowiem dzisiaj znanym i stwierdzonym jest, że Hauptmann wzorów do postaci i treści swoich dramatów szukał nietylko w obserwacyi zewnętrznéj, lecz także czerpał pełną ręką ze skarbnicy własnych doświadczeń i walk duchowych, które w całéj rozciągłości i z możliwą drobiazgowością wyprowadził na arenę sceniczną.

Wychowany w sferze ziemiańskiéj, sam niezbyt szczodrze w materyalne uposażony środki, przeszedł Hauptmann wcześnie gorzką i bolesną szkołę życia, w któréj do walki z przeciwnościami brakło mu nieraz i zdolności praktycznych i umiejętności „przystosowania się" do warunków miejscowych, bez któréj może się najsilniejsza złamać wola, ale nigdy skrzywić nie może charakter.

Nie umiał téż Hauptmann w zaraniu dni swoich nagiąć się do koszarowego systemu szkół pruskich, opuścił tedy ławę szkolną i osiadł na wsi, w okolicy, znanéj ze szczególnego pietyzmu jéj mieszkańców. Wpływ otoczenia opanował na czas jakiś umysł wrażliwego młodzieńca, a jakkolwiek z czasem zmieniły się poglądy jego na świat i ludzi, pozostał w nich jednak odcień mistycznéj niemal refleksyi, wyrażającéj się w szczególnéj skłonności do analizyi i w zadumie, odziedziczonéj po przodkach, biednych tkaczach śląskich, którym nie-

spożyty pomnik postawił wnuk w znakomitym swoim dramacie „Tkacze“.

Zmiennie ukształtowały się dalsze koleje życia Hauptmanna. Artysta z powołania, przesadzony w otoczenie ludzi małych o małych myślach i małym widnokręgu, szamotał się z losem, przerzucał z miejca na miejsce, od zawodu do zawodu, bez chwili wytchnienia i zadowolenia. Przebywszy czas jakiś na wrocławskiéj akademii sztuk pięknych, gdzie zaznajamiał się z metodą techniki rzeźbiarskiéj, przeniósł się z tamtąd do uniwersytetu w Jenie, gdzie studyował z zapałem nauki przyrodnicze. Zakochawszy się w pięknem i szlachetnem dziewczęciu, które późniéj pojął za żonę, powrócił do zajęć rzeźbiarskich i podjął w celach naukowych podróż naokoło Europy. Wyjechawszy z Hamburga okrążył morzem Francyę i Hiszpanię i dotarł do Rzymu. Tu osiadł na dłuższy przeciąg czasu i oddał się wyłącznie pracy rzeźbiarskiéj, od któréj go dopiero oderwała ciężka choroba fizyczna. Powróciwszy do ojczyzny tułał się długo po całych Niemczech, zatrzymując się dłużéj w Berlinie i Zurychu i z nieustającą gorliwością uczył się patrzéć, żyć i poznawać świat, wżywał się w otoczenie, zbierał wrażenia, przejmował się ideami i ulegał prądom czasu. Coraz téż silniéj poddawał się wpływom wielkich prądów społecznych, w których wirze znajdował częściowe przynajmniéj zaspokojenie dręczących go pytań, aż wreszcie przesiąkłszy na wskróś ideami postępu i rozwoju społecznego, zaczął naprawdę w ich przeprowadzeniu upatrywać cel, godny życia człowieka i całéj ludzkości.

Owocem tego zwrotu jest pierwszy dramat Hauptmanna „Przed wschodem słońca“, do którego, jak sam w przedmowie wyznaje, zaczerpnął pobudkę z głośnéj swego czasu książki Holza i Schlafa, zawierającéj zbiorek nowel, napisanych według zasad t. zw. „czystego realizmu“ i wydanych w r. 1889 pod tytułem „Papa Hamlet“. Rozgłos téj książki polegał na nowéj metodzie pisania, „wynalezionéj“ przez obu autorów, a zasadzającéj się na tém, że z ciągu opowiadania wykluczono zupełnie wszelkie uwagi piszącego, usunięto objaśnienia i komentarze psychologiczne i poprzestano wyłącznie na skrupulatném notowaniu faktów zewnętrznych i zaznaczaniu szczegółów charakterystycznych, chociażby z treścią akcyi ścisłego nie miały związku. „Czystości“ nowéj metody strzegli autorowie pilnie, bacząc na to, aby do opowiadań nie zakradło się żadne zdanie, wyrażające ich sąd indywidualny o danéj rzeczy lub mogące nadać opowiadaniu cechę utworu tendencyjnego; dążność do obiektywizmu artystycznego kazała im nawet zrzec się wszelkich kwiatów stylowych, za pomocą których, jak wiadomo, Zola zwykł osiągać najsilniejsze efekta prawdopodobieństwa.

„Przedmiotowa“ metoda pisarska Holza i Schlafa, zrywająca z tradycyą kunsztu romansopisarskiego, zadawalniała w zupełności wymagania nowoczesnéj techniki dramatopisarskiéj; nic téż dziwnego, że przemówiła do przekonania młodego i pełnego talentu adepta dramatu realistycznego, który dotąd napróżno szukał formy dla swoich pomysłów i planów.

Pod wpływem tedy „Papy Hamleta“ powstał pierwszy utwór Hauptmanna, będący streszczeniem długiéj obserwacyi i studyów, uprawianych w zaciszu wiejskiém, na gruncie świeżym i nietkniętym jeszcze przez badaczy społecznego życia w literaturze niemieckiéj.

Treść dramatu „Przed wschodem słońca“, zaczerpnięta z życia i stosunków ludu wiejskiego, wskazała odrazu drogę, którą zamierzał iść młody poeta. Była to droga, utorowana poprzednio przez Ibsena i Tołstoja (w „Potędze ciemnoty“), a wiodąca do najskrajniejszego realizmu i bezwzględności w kreśleniu ciemnych stron życia społecznego.

Podobnie jak w „Upiorach“ Ibsena za podstawę satyrze społecznéj służy zagadnienie fizyologicznéj natury: kwestya dziedziczności, tak i w dramacie Hauptmanna jest ono osią, około któréj obraca się akcya i z któréj wypływa tendencya całego dzieła. U Ibsena tendencya ta jest wyraźną i dobitną; fałsz i obłuda moralności mieszczańskiéj, zgnilizna tocząca najnietykalniejszą jéj instytucyę: małżeństwo monogamiczne i rodzinę dzisiejszą, występują w jego dramacie jako widome oznaki rozkładu i degeneracyi, przeszczepiającéj się z ojca na syna. U Hauptmanna jest dziedziczność nie przyczyną, ale skutkiem urządzeń społecznych, sięgających w sferę najściślejszych stosunków rodzinnych. Oswald Alving, umierający (w „Upiorach“) za winy młodości swego ojca na rozmiękczenie mózgu, jest dobitnym wyrazem uznania dziedziczności, jako czynnika decydującego o nieuchronném zwyrodnieniu i zniszczeniu sfer feudalno-mieszczańskich; opowiadania zaś pani Alving, która, dzięki okrutnemu przesądowi, przykuta do boku znienawidzonego i wstrętnego człowieka, znosić musiała najohydniejsze poniżenia i wybryki, są równie wymownym aktem oskarżenia przeciwko obłudnéj moralności małżeństwa i rodziny dzisiejszéj, któréj ulegają nawet jednostki szlachetne, jak pastor Mandes, a przodują wyrzutki, jak szambelan Alving.

W dramacie Hauptmanna znajduje teorya dziedziczności zastosowanie mniéj silne i mniéj zręczne. Pomijając bowiem, że „Przed wschodem słońca“ jako dramat, przedstawiający zwyrodnienie pewnych sfer społecznych, mógł się zupełnie obejść bez przymieszek ibsenowskiéj teoryi fatalizmu, przyznać trzeba, że kwestya dziedzi-

czności, podniesiona przez Hauptmanna, nie tylko nie dorównywa pod względem uzasadnienia i formy „problemowi“ Ibsena, lecz także nie wypływa z treści dramatu, jako czynnik istotny akcyi, figurując w niéj raczéj jako domysł, rzucony na wiatr przez autora, co do jego bohatera.

Spanoszony chłop Krause i jego rodzina, oddająca się z wyjątkiem najmłodszéj córki, Heleny, nałogowi pijaństwa i wyuzdanéj rozpuście: są przedstawicielami typu wyzyskiwaczy o pierwotnym jeszcze zakroju, nie umiejących obwijać rzeczy w bawełnę, pędzących życie bezmyślne i bezcelowe i znajdujących w bagnie najwstrętniejszego upadku ujście dla swych żądz i chuci. Wyższy stopień rozwoju tego typu przedstawia godny towarzysz i zięć Krausego, inżynier Hoffmann, blagier, szermujący górnolotnemi frazesami, po za któremi kryje się zdolność i gotowość do największego upodlenia, gdy idzie o dogodzenie wyrafinowanym zmysłom. Świadomość zepsucia nie wstrzymuje go na drodze do upadku; z brakiem charakteru łączy się u niego zniewieściałość i bezsilność woli. Druga żona Krausego, rozpasana wiedźma, utrzymująca pokątne stosunki z głupkowatym parobkiem i jéj „panna do towarzystwa“, zamykają rodzinne kółko, w którém żyje jedyna czysta i nietknięta przez złe, istota, córka Krausego, Helena, postać wyidealizowana przez autora, ale i w życiu możliwa. Jestto dziewczyna młoda, świadoma złego, które ją otacza i tęskniąca za wyswobodzeniem się z więzów, przykuwających ją do wstrętnéj kałuży rodzinnego domu. Wymowa i deklamacye gorącego reformatora ludzkości, Lotha, przybywającego do domu Krause'ów dla zebrania materyałów statystycznych o doli robotników tamecznych, porywają i olśniewają Helenę. Pod wpływem słów Lotha budzi się w jéj duszy nadzieja ocalenia, w młodym agitatorze widzi ona swego oswobodziciela, któremu ślepo zawierza. Namiętna miłość osamotnionéj Heleny budzi sympatyczne echo w piersi Lotha; piękność jéj i żądza prawdy rozpalają krew w jego żyłach; myśl oswobodzenia szlachetnéj dziewczyny i ocalenia jéj od zguby opanowuje jego umysł i porusza serce.

Po chwili jednak zastanowienia ostyga Loth w ferworze. Przed oczyma jego staje zatrważające widmo dziedziczności alkoholizmu i niespodziewanie dowiaduje się Helena, że obowiązek w obec ludzkości zabrania Lothowi przyczyniać się do wydawania na świat dzieci, wynoszących z łona matki zaród ohydnéj choroby. W zamian za złamaną nadzieję otrzymuje Helena tyradę o szkodliwości alkoholizmu, jako rzekomo największego wroga całéj ludzkości.

Szlachetny obrońca uciśnionych porzuca biedną dziewczynę i ucieka pod zasłonę teoryi dziedziczności od wszelkich w obec niéj zobowiązań: poczem Helena własną ręką śmierć sobie zadaje.

Z postaci Lotha uczyniono autorowi zarzut, że nie posiada żadnych warunków na bohatera dramatycznego. Zarzut to, w téj formie drobny, a ze stanowiska estetyki nowoczesnéj banalny. O wiele słuszniejszą i sprawiedliwszą jest uwaga, że Loth jako człowiek, jest postacią nieprawdziwą, przesadzoną, a w każdym razie niesmaczną. Brak téj postaci ciepła osoby żyjącéj, brak uczuć, szczerego zapału i serca nawet tyrady Lotha czynią wrażenie suchych artykułów dziennikarskich bez krzty przejęcia i ognia. Mądrość to, czerpana z gazet i książek, ale nie użyźniona własnym bólem i krwią serdeczną.

Mimo, że autor pasował Lotha na działacza społecznego i apostoła przewrotu, jestto w gruncie rzeczy filister, udający radykała i truchlejący na myśl o tem, że mógłby czyn jakiś okupić własną niewygodą. W przekonaniach jego tkwi drobne zaledwie źdźiebełko prawdy; natomiast głównym celem jest dla niego walka z alkoholizmem, ów słaby paliatyw liberalnéj filantropii, którego wartość równa się powodzeniu jego w kołach społecznie ukształconego proletaryatu. Teorya dziedziczności jest punktem wyjścia dla filozofii i społecznych poglądów rzekomego socyalisty; nie dziw, że w ciasnym zakresie działania maleje jego postać i zniża się do karykatury.

Zagadnienie społeczne poruszone w dramacie Hauptmanna przez wprowadzanie postaci Lotha nie może pod względem swéj doniosłości iść w porównanie z kwestyą drugą, wyrażoną w ogólnéj treści utworu. Bez antialkoholistycznych tyrad parafialnego agitatora ma dramat ten znaczenie swoje, jako obraz społecznego przełomu, dokonywującego się z niepohamowaną siłą w tajnikach ciemnoty, niby zwiastun dnia. Blask wschodzącéj jutrzni oświeca widownię tragedyi, a głuchy odgłos podziemnych grzmotów zapowiada zbliżający się przewrót. Sceny szalonéj rozpusty i wyuzdania, rozgrywające się w trakcie dramatu, rysują się wyraziście na tle strasznéj nędzy proletaryatu wiejskiego; a w czerwonéj łunie wschodzącego słońca ukazują się postaci, skarlałe i niskie, z piętnem zaguby na czole. Na przedzie samym Hoffmann, człowiek innego świata, w którego sybarytyzmie zmysłowym i wysubtelnioném poczuciu rozkoszy tkwią jeszcze ślady szlachetnych porywów młodości i tli się iskierka wstydu przed własném sumieniem. Obok: Wilhelm Kahl, donżuan wioskowy, stępiały w bezmyślnéj rozpuście i dający się wysysać przez wyuzdaną; ladacznicę (Krausową), bez słowa protestu lub usprawiedliwienia;

zadowolony z obżarstwa nurza się w bagnie z uciechą idyoty, nie myślącego o jutrze. Za nimi szereg postaci, jak Krause, pan domu, pijak, zapadający w *delirium;* służąca Spiller, wkradająca się w łaskę i kieszeń swéj pani; parobek Beibst, zgrubiały pod jarzmem poniżenia i całujący nogę, która go kopie; wreszcie Helena, bohaterka dramatu, wyrosła z kałuży jak kwiat na bagnisku, tęskniąca za czystszém i zdrowszem powietrzem, żądna wolnego oddechu, a skazana na zgubę bez nadziei ocalenia.

Są to wszystko postaci pełne prawdy, żyjące, z mistrzowskim skreślone realizmem i wciskające się w pamięć widza lub czytelnika z dokładnością zdjęć fotograficznych.

Dramat „Przed wschodem słońca“ nie ustępuje pod względem siły, charakterystyki i akcyi tragedyi Tołstoja „Potęga ciemnoty“, a dorównywa nieraz grozą przedstawionych w nim stosunków wstrząsającym obrazom „Germinala“.

Realizm w kreśleniu obrazów życia ludowego, zapożyczony od Zoli i Tołstoja, zamiłowanie w scenach brutalnych i bezwzględność w kreśleniu postaci prawdziwych i groźnych, nadają dramatowi Hauptmanna znamię krańcowego naturalizmu, z którym równać się może jedynie surowa siła charakterystyki, cechująca utwory znakomitego poety szwedzkiego, Augusta Strindberga.

Wydany w rok późniéj dramat „*Das Friedensfest*“ (Święto pojednania), różni się od poprzedniego pod wielu względami, zarówno stroną techniczną jak i psychologiczném pogłębieniem akcyi. Zamiast jaskrawych epizodów, w jakie obfitował pierwszy utwór sceniczny Hauptmanna, znajdujemy tu jednolity, pełen realizmu obraz stosunków rodzinnych, na tle którego rysują się wybitnie postaci zaobserwowane z życia i poruszające się w otoczeniu prawdopodobnych warunków codziennych.

Podkładem dramatu jest znowu teorya dziedziczności w zastosowaniu mniéj wyjątkowém, niż w poprzednim dramacie, a więcéj zbliżoném do zjawisk potocznego, bardziéj nam zrozumiałego i znanego życia.

W domu doktora Scholza rozgrywa się ten dramat uczuć rodzinnych i dziedzicznéj newrozy, a podstawą jego jest najzwyklejsza, choć w rozmiarach przekraczająca pospolitą miarę „scena domowa“. Jestto poprostu kłótnia wszystkich ze wszystkimi, rodziców z dziećmi, męża z żoną, braci z siostrą; w któréj obie strony zrzekają się z góry wszelkich dla siebie względów delikatności lub choćby zwykłéj grzeczności i przesadzają się wzajemnie w uczynieniu sobie ciągłych wyrzutów i dotkliwie raniących docinków. Dzieje się to u nich bez

celu i potrzeby, prawie, że bez świadomości, siłą dzikiego nałogu czy przymusu nerwowego i wrodzonego do sprzeczek popędu.

Złe skłonności Scholzów, newroza, cechująca wszystkich członków nieszczęśliwéj rodziny, znajdują dostateczne wyjaśnienie w dziedzicznéj chorobie nerwów, powstałéj wśród dziwnych, choć pospolitych dzisiaj stosunków.

Źródłem głównem degeneracyi jest nieszczęśliwe pożycie małżeńskie starych Scholzów, złożone z całego szeregu najsroższych obopólnych udręczeń moralnych, przechodzących nieraz w wybryki czysto fizycznéj natury. Dr. Scholz, niegdyś człowiek głębszéj myśli, idealista, wierzący w świętą prostotę ludu i apostołujący powrót do niezepsutéj atmosfery ludowéj, żeni się z „dzieckiem ludu", dziewczyną prostą, ładną i dobrą, ale nie dorastającą mu w niczém ani sercem, ani umysłem i nie rozumiejącą jego dążeń i górnych porywów. Przeciwieństwo idealistycznych polotów filozofa do poziomych pragnień jego małżonki, kładzie fundament niezgody pod dalsze ich pożycie, w którém zawiedziona strona męska mści się tyranią i despotyzmem na żeńskiéj, znęcając się nad nią i jéj panicznym strachem bez miłosierdzia. Wyniszczona ciągłą obawą i trwogą przed mężem, żona Scholza odpłaca się nienawiścią i prostactwem, zatruwając jemu i sobie każdą chwilę życia.

Zrodzone w takiéj atmosferze dzieci Scholzów, dwaj synowie i córka, przynoszą z sobą na świat zarodki sprzecznych natur i rozstrojone nerwy. Wychowanie nietylko nie niszczy złego w zarodku, ale je rozwija i potęguje w umysłach dzieci, która przeraża groźna mina ojca i nieustanny lament maltretowanéj matki. W obronie poniżonéj kobiety stają przeciwko ojcu synowie, siląc się na przebiegłe sztuczki i wyszukując sposoby poskromienia ojcowskiéj tyranii, która wypędza ich z domu i każe po nocach tułać się na dworze.

Wzrastający rozstrój nerwowy pogrąża starego Scholza w coraz głębszy upadek sił moralnych. Popadłszy w pijaństwo, dawny idealista traci poczucie własnéj godności i w bezsilném rozbestwieniu miota obelgi i potwarze na swoją rodzinę, nie oszczędzając niewieściéj czci własnéj żony. W obronie zhańbionéj niegodném oszczerstwem matki staje młodszy syn, Wilhelm i uniosłszy się w szale oburzenia uderza w twarz ojca.

Czyn ten ogłusza zarówno sprawcę, jak i tego, który padł jego ofiarą. Wilhelm ucieka z domu rodzicielskiego w świat daleki szukać zapomnienia; dr. Scholz również opuszcza dom swój, w którym sprzęt każdy przypominał mu jego hańbę.

Akt pierwszy dramatu rozpoczyna się od zapowiedzi powrotu Wilhelma, który zdobywszy w świecie własną pracą imię i stanowisko, pozyskał serce jednéj ze swoich uczennic i za namową szlachetnego dziewczęcia wraca do domu nawiązać starganą nić synowskiéj i braterskiéj łączności. Na ciężkiéj drodze pokuty towarzyszy mu narzeczona; wigilia Bożego Narodzenia, obchodzona uroczyście po raz pierwszy w domu rodzinnym, ogarnia go ciepłem szczęścia, pod którego tchnieniem taje lodowa powłoka obojętności dla matki, brata i siostry. Spotkanie się z nimi budzi w jego sercu wszystkie uśpione wspomnienia i bóle, a pamięć zbrodni, któréj się dopuścił w obec ojca, mąci i zatruwa spokojną chwilę pojednania.

Najsilniéj atoli wstrząsa nim, jak i wszystkimi, wiadomość o niespodziewanym powrocie ojca, który ogołociwszy się na kilkoletniéj tułaczce z wszystkich swoich zasobów, wraca do domu dokonać stéranego zawodem i hańbą żywota.

Scena spotkania i pojednania syna z ojcem, należy bezwątpienia do najwspanialszych w całéj literaturze spółczesnéj i śmiało może rywalizować z najsilniejszemi ustępami „Króla Leara“. Jest ona kulminacyjnym dramatu punktem, na którym przerywa się akcya, ożywiająca się dopiero w kilku końcowych scenach trzeciego aktu. Tragiczna śmierć starego idealisty, kończącego na *delirium tremens*, zamyka głęboki proces psychologiczny, toczący się przed oczyma widza przez trzy długie, z wybitną subtelnością przeprowadzone akty, w których Hauptmann złożył świetny dowód głębokiego znawstwa duszy ludzkiéj i ludzkiéj słabości.

Znaczenie i wartość dramatu Hauptmanna polega nie na wyborze tematu i opracowaniu artystyczném, jakkolwiek i pod tym względem wysoko stawić go trzeba; ale na wybornéj charakterystyce osób i stosunków, wziętych z życia codziennego, pospolitych i nie wyrastających nad poziom zwykłości, a często pomijanych obojętnie i bez większéj uwagi.

Miękki i otwarty Wilhelm, wijący się z bólu pod wrażeniem ostrych i bezwzględnych uwag swego brata, stwardniałego w nerwowym sceptycyzmie Roberta; tenże Robert udający cynika, a kryjący pod osłoną swéj rubaszności wrażliwą duszę i nerwy; stary dr. Scholz, zapijający gwałtownie świadomość swego poniżenia i chcący się uwolnić od poczucia własnéj godności, poniżonéj i zdeptanéj; żona jego i córka, złamane przedwczesném rozczarowaniem i nie umiejące utrzymać na wodzy rozhukanych nerwów; wreszcie Ida, narzeczona Wilhelma, zjawiająca się w rodzinie Scholzów jak odblask słonecznéj jasności w ciemnicy skazańców, to wspaniała galerya postaci żywcem

przeniesionych na scenę, znanych niemal z bruku wielkomiejskiego, a tak rzadko widzianych w literaturze współczesnéj.

W każdej z nich ujawnia się cząstka natury ludzkiéj dwoistéj i chwiejnéj; każda posiada ludzkie zalety i wady; nie masz między niemi aniołów ani szatanów; są ludzie dzisiejsi, kłębki nerwów, kurczące się za dotknięciem i rozwijające na przemian pod tchnieniem ciepłego tchnienia. Nie tworzył z nich Hauptmann spiżowych postaci bohaterów, ani nie stwarzał nikczemników czarnych. Odtwarzał tylko wizerunki osób żywych, którym wiernie przydzielał właściwości istotne charakterów ludzkich. A z wyjątkiem epizodycznych figur pani Berner i jéj córki, nie znać na żadnéj postaci szczególnego upodobania lub sympatyi autora. Obchodził się ze wszystkimi jednakowo sprawiedliwie i przedmiotowo; mówią téż same za siebie całkiem wyraźnie i dobitnie.

Idea społeczna dramatu Hauptmanna wypływa wprost z saméj jego treści. Jest nią rola, jaką w życiu rodzinnem odgrywa nerwowość dziedziczna, jeden z najprzemożniejszych czynników degeneracyjnych, który wynikając z warunków bliższego otoczenia staje się dopiero na tle stosunków ogólnych „upiorem“, wysysającym krew i mózg z ciała ludzkości. Podobnie jak „Upiory“ Ibsena jest i „Święto pojednania“ gienialną satyrą na nasze urządzenia rodzinne; wykazując skutki niedobranych małżeństw, odsłania ono zarazem kruche podstawy upstrzonéj blichtrem obłudy moralności mieszczańskiéj, uświęcającéj istnienie tak anormalnych i zarazem niemoralnych stosunków.

Technika dramatopisarska w „Święcie pojednania“ znamionuje w działalności pisarskiéj Hauptmanna znaczny postęp w stosunku do pierwszego jego dramatu. „Święto pojednania“ nie jest już zlepkiem luźnych epizodów i obrazów dramatycznych, ale posiada jednolitą, ciągłą i logicznie wysnuwającą się akcyę, któréj czynnikami są nie tendencyjne wymysły autora, ale prawdziwe pobudki moralne i widome wpływy warunków i otoczenia.

„Święto pojednania“ jest dramatem nerwów, pozbawionym tragicznego bohatera lub bohaterki i miłosnéj intrygi, jako motoru akcyi. Motorem tym są nerwy, z za których osłony słychać wyraźny czasem głos serca.

Subtelniéj jeszcze pojętą ideę dziedziczności wprowadził Hauptmann do następnego swego dramatu „Samotni“ (*Einsame Menschen*), przedstawiając w nim życie człowieka nerwowego, którego newroza nie da się wprost wyprowadzić z bezpośredniego oddziaływania stosunków zewnętrznych, ale tkwi raczéj w wewnętrznéj, duchowéj jego

organizacyi, łączy się ściśle z naturą moralną jego istoty i znajduje wyraz dosadny w jego zapatrywaniach na świat i ludzi. Jan Vockerat, wychowany w atmosferze ciepłéj i troskliwéj miłości rodzicielskiéj, znajdującéj w urzeczywistnieniu wszystkich jego wygód i zaspokojeniu potrzeb fizycznych najwyższy swój cel, nie może znaleźć usprawiedliwienia dla swego rozstroju w anormalności stosunków zewnętrznych. Stan jego duchowy jest raczéj wypływem przeciwieństwa, istniejącego między światem zewnętrznym a duchowym i nieumiejętności „przystosowania się“ do wymagań życia praktycznego i codziennéj prozy. Pod wpływem fanatycznéj wiary rodziców w dogmaty religii objawionéj, wzrasta wolny duch Jana, krępowany więzami tysiącznych przesądów bigoteryi, a rwący się do zupełnéj swobody wątpienia, jak ptak do lotu. W cichéj, nieświadoméj, a długiéj, bo od lat najmłodszych trwającéj walce z duchowym wpływem rodziców szamocze się duch Jana, zrywając nałożone sobie pęta; a ustępując w drobnostkach, tak długo silił się nad rozwiązaniem zagadnień życiowych, póki nie osiągnął wyżyn nowoczesnego na świat i ludzkość poglądu.

Umysł Jana, uzbrojony w zdobycze wiedzy nowoczesnéj, podnosi bunt przeciwko powadze dogmatu; gdy tymczasem siła jego woli nie umié się ostać w obec naporu wpływów zewnętrznych. W walce z życiem praktyczném i duchową przewagą rodziców — łamie się męski hart Jana, ugina charakter, tracąc na sile odpornéj w obec ucisku, którego skutki odczuwa na każdym kroku z rozpaczą niemocy. Świadom téj prawdy, że „człowiek, który zawczasu nie umié sobie dać rady ze swymi rodzicami, nie poradzi sobie późniéj z życiem“—upada Jan na duchu w obliczu swojéj bierności i z rezygnacyą zwątpienia oczekuje końca.

Początkiem agonii moralnéj Jana jest jego małżeństwo z dziewczyną skromną i słabą, któréj umysłowość w niczém nie może się mierzyć z duchowym jego polotem. Nieustanne z tego powodu rozterki wytwarzają między małżonkami zaraz w początkach wspólnego pożycia ów chłód złowrogi, wyrażający się obawą i brakiem zaufania, który prędzéj, czy późniéj, musi do gwałtownego doprowadzić rozłamu. Słaby charakter Jana poddaje się tyranii rodziców, demoralizuje się drobnemi ustępstwami, poniża brakiem odwagi, nie znajdując oparcia u słabéj i biernéj żony. Oparcie to daje mu dopiero przyjaźń studentki, Anny Mahr, kobiety, przerastającéj go siłą woli i hartem moralnym, a będącéj uosobieniem egoistycznéj bezwzględności, łamiącéj wszelkie zapory. Bijący w oczy kontrast między jéj indywidualnością duchową, a własną niemocą, wyrywa Jana z apatyi. Budzi się w nim

duch męskiéj samodzielności i na chwilę zdaje się charakter jego urastać w siłę olbrzyma, która zgniecie i zmiażdży wszystko, co jéj stanie w drodze.

Nie tak łatwą jednak jest rzeczą zrzucić z siebie jarzmo długoletniéj niewoli duchowéj. Pod naciskiem powagi rodzicielskiéj szamocze się daremnie Jan Vockerat, świadom swego poniżenia i bezsilnego niedołęstwa, a miary rozczarowania i zwątpienia dopełnia ucieczka Anny z jego domu. Mniemane bóstwo swobody, które ukazało się Janowi w postaci studentki, znika jak cień przed gromkiem zaklęciem starego Vockerata i płaczliwą żałością mieszczańskiéj moralności, załamującéj ręce nad upadkiem cnót domowych; a Jan zawiedziony i złamany rzuca się w przystępie nerwowego obłędu w fale pobliskiego jeziora.

Śmierć Jana, kończąca dramat, ma w oczach widza oczyścić „bohatera“ z małostkowéj śmieszności, którą się okrywał przez swą bierność i zniewieściałość. W rzeczywistości jestto nie bardzo zręczny „*deus ex machina*“. Daleko bowiem prawdopodobniejszym wydałby się taki zwrot rzeczy, w którymby Jan, korzący się przed kazaniami ojca, znalazł po pewnym i to krótkim przeciągu czasu ukojenie i pociechę w objęciach prawowitéj żony, a pamięć o ekscentrycznéj cudzoziemce tylko czasem, chwilowo, odżywając, mąciła mu poobiednią drzémkę lub odbierała apetyt.

Zakończenie takie odpowiadałoby sferze uczuć i myśli, w jakiéj się obracają wszystkie osoby dramatu, nie wyjmując Jana i Anny. Jest to sfera mieszczańska, umiarkowanym nacechowana radykalizmem. Radykalizm ten objawiać się zwykł w słowach, nie w czynach. Tyrady „samotnéj“ pary odźwierciadlają wybornie bierny nastrój natur słabych i niezdecydowanych, które obracając się w błędném kole metafizycznych mrzonek, nie umieją teoryi pogodzić z życiem praktyczném i zamiast zdobyć się na czyn wyjątkowy, a stanowczy, biadają nad swém osamotnieniem.

Obecne zakończenie „Samotnych“ da się usprawiedliwić jedynie jako objaw patologiczno-nerwowy, a przygotowaniem do niego są ciągłe przeskoki psychologiczne, popełniane przez Jana w czasie akcyi dramatu. Pod tym względem nie zachodzi prawie żadna różnica między nastrojem duchowym Jana Vockerata z „Samotnych“, a Wilhelma Scholza z „Święta pojednania“. Obaj są ludźmi „dobrymi“, o szlachetnych porywach serca i niecodziennym polocie umysłowym, u obu atoli góruje nad rozumem system nerwowy, pod którego nakazem popełniają bezwiednie czyny, kwalifikujące ich do domu obłąkanych.

Niektóre objawy nerwowości Jana dadzą się odnieść do wygórowanéj subtelności wymagań, jakie człowiek inteligentny stawia swemu otoczeniu. Uczucie osamotnienia, ogarniające Vockerata na widok otaczającéj go rodziny, jest po prostu uczuciem wstrętu natury subtelnéj do ludzi pospolitych i zgrubiałych, których obecność razi i drażni. Wstręt ten u Jana doprowadzony do przesady, sprawia mu ogromne męczarnie; — a winą tego jest zbytnia pobudliwość jego nerwów. Otoczenie Vockerata składa się bowiem z ludzi krótkowidzących i pospolitych, ale dobrych i poniekąd sympatycznych: jak jego żona, przywiązana do niego szczerze i silnie, i bolejąca nad tém, że nie może uczynić zadość jego wymaganiom. Podobnież i rodzice Jana, kochający go po swojemu i udręczający go swoją opiekę i przywiązaniem, jak i przyjaciel-artysta odczuwający grozę położenia, a nie umiejący zapobiedz wypadkom — nie należą do postaci wyjątkowo złych, ani dobrych. Są to ludzie zadawalniający się zwykłym mieszczańskim trybem życia i nie umiejący wyjrzéć po za mury konwenansu, a tém mniéj zdolni do zrozumienia wybujałych zachcianek nerwowego Jana.

Postać studentki, odgrywającéj tak ważną rolę w dramacie, wzięta—podobnie jak wszystkie osoby dramatu—z życia poety, grzeszy niekonsekwencyą swego postępowania. Mimowoli zapewne nadał jéj autor cechy natury nerwowéj w mniejszym, co prawda, stopniu, niż Janowi, ale dość wybitne, aby niemi tłómaczyć zagadkowe niekiedy jéj postanowienia i postępki.

Dramat „Samotni" oznacza, w stosunku do poprzednich utworów Hauptmanna, wyższy stopień rozwoju jego twórczości poetyckiéj. Subtelny zmysł spostrzegawczy, skłonność do analizy i umiejętność plastycznego przedstawiania rzeczy — złożyły się tu na całość skończoną i wybitną. W „Samotnych" odźwierciedla się życie rodzinne „*fin de siècle*'u" aż do najdrobniejszych szczegółów. Jestto prawdziwa tragedya życia codziennego, zaobserwowana w jednym z licznych wypadków rzeczywistych i oddana z całą bezwzględnością realizmu i zamiłowaniem prawdy.

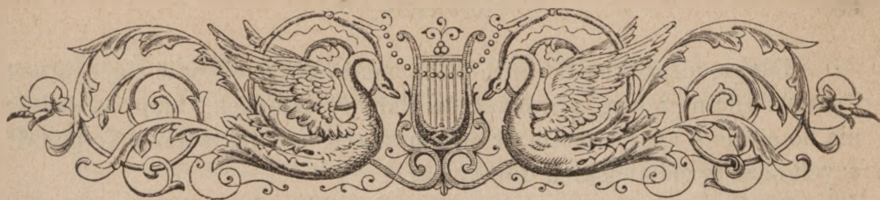
Śladem znakomitych poetów północy, spróbował Hauptmann w dramatach swoich przedstawić życie prawdziwe, jakiem ono jest w rzeczywistości. Pokrewieństwo duchowe, łączące go z Ibsenem, Strindbergiem, a po części i z Tołstojem, pchnęło go na drogę dramatu społecznego, w którym siła satyry polega na realizmie w przedstawieniu faktów życiowych. W tym kierunku dojrzał talent Hauptmanna i wybił się wysoko nad poziom szarego tłumu pisarzy współczesnych, nie umiejących wyjrzéć po za ciasny widnokrąg tradycyi

i pomijających systematycznie lub przez krótkowidztwo w swych dziełach najżywotniejsze zagadnienia życia społecznego, albo też dających się unieść prądom chwili i ginących w zamieszkach stronniczych walk politycznych.

Na wydanych dotąd utworach nie kończy się jeszcze działalność pisarska Hauptmanna. Nie podobna też jeszcze obecnie wypowiadać ostatniego słowa o jego twórczości. To pewna wszakże, że imię Hauptmanna zapisało się już teraz wyrazistemi głoskami na kartach literatury niemieckiéj, a niektóre z dzieł jego niezawodnie przetrwają chwilowy rozgłos jednodniowych arcydzieł literackich.

Ignacy Suesser.





CIEKAWA STATUA.

SYMBOLIKA.

Do pewnego miasteczka przyszedł raz zmęczony podróżny i zatrzymał się zdala od ludzi, na rozstajnéj drodze, w miejscu, gdzie stare lipy zespoliły się koronami w górze i utworzyły cienistą ustroń, wygodną dla tego, kto po dalekim chodzie wytchnienia i ciszy zapotrzebuje.

Miasto leżało w dali: czerwona wieżyca kościoła wznosiła się ponad ciemne, brudne dachy domów i chat przedmiejskich, ponad zielone sady, płotki i sztachety, wznosiła się jak grot w niebo skierowany, a widniała w swéj wspaniałości na trzy mile dokoła.

Podróżny, gdy zapatrzył się w tę wieżycę, gdy wytchnął i sił nabrał, gdy poczuł w duszy głębokie jakieś ciśnienie, tak głębokie, że gwałtem zechciało mu się być olbrzymem i wyżéj sięgnąć ręką, niż szczyt wieżycy, — wtedy wstał, zatoczył w ustroń pod lipami kilka głazów z pobliskiego kamieniołomu, wydobył z worka podróżnego młotek i dłuto, i począł krzesać iskry z bezkształtnéj bryły, bijąc w nią raz po raz z tytaniczną siłą...

Ciekawi ludzie przychodzili, dziwowali się i pytali:

— Hej, człowieku, a wy co robicie?

On milczał. Lecz gdy zaczęli obrzucać go coraz natarczywszemi pytaniami, odwrócił się i milcząc daléj, spojrzał na nich takim ognistym wzrokiem, że się cofali wstecz, jak przed dzikim i odchodzili, mówiąc po drodze:

— To waryat... zdala od niego.

Długo, dłużéj może niż miesiąc miał czas zaciemnić się całkiem i rozświetlić na nowo, pracował ów dziwny człowiek, bijąc od świtania do ciemnéj nocy młotem w odłam skały, aż jęk żelaza do pierwszych chat przedmiejskich dolatywał.

Myślano, że to potępieniec Boski, co dotąd swéj pracy nie zaprzestanie, póki grzechów doczesnych męką i potem nie zmyje.

Jakoż zmyć musiał wreszcie ciężkie winy potępieniec Boży, bo skończył pracę, pochylił przed nią głowę i poszedł sobie w świat daléj.

Teraz dopiéro zapanował ruch wielki w miasteczku. Jak do cudownego miejsca pośpieszyli wszyscy: i wielcy i mali, i źli i dobrzy, i mądrzy i głupi, — słowem, poszli wszyscy gwoli zobaczenia rzeczy ciekawéj, nigdy nie bywałéj, rzeczy, którą nie wiedzieć na jaką pamiątkę, szaleniec miastu postawił.

Była to statua niewiasty o cudownie pięknéj twarzy. Twarz ta, choć niewieści miała wygląd, do żadnéj z żyjących kobiet oblicza przyrównać się nie dała, bo tyle tam było spokoju, tyle powagi, tyle dobroci i szlachetności, że chyba naraz takiéj mocy piękna żadna z ziemianek mieć nie może. Patrząca w dal niewiasta stała poważna, przyodziana w szaty gładkie, aż do nieokrytéj nogi obwisłe, stała tak z jedną ręką półłukiem wzniesioną ku niebu, drugą opuszczoną swobodnie, stała na sześciennym słupie rzeźbionym w paski, linie, wężyki, w liście nieznanego kwiecia, które-to rzeźby w różne misterne wypukłe i wklęsłe zlewały się kwadraty, niby ramy okienne, niby gzémsy wielkiego ołtarza.

Zdawało się, że niewiasta chce do zgromadzonych przemówić głosem archanioła, tak bardzo szczerém życiem tchnęła.

Ciekawi ludzie — ot, zwyczajni sobie ludzie, co to odbiegli od codziennych zajęć i chociaż się gapią, mają innemi sprawami głowę zajętą, zaczęli zaraz przyglądać się dziwowisku ze wszystkich stron jak najdokładniéj, byle tylko rozpoznać, co to jest takiego?

Na jednéj z płyt bocznych wykuty był dłuższy napis w nieznanym języku i nieznanemi czcionkami ułożony. Chociaż zatém niejeden starał się z krzywizn i haków odczytać nazwę postaci, przecież żaden dokazać tego nie mógł. A że zagadka jest tém ciekawszą, im bardziéj tajemniczą i niezrozumiałą się wydaje, więc wnet posypały się uwagi, domysły, sądy, przypuszczenia, z których wyłoniło się jedno najważniejsze pytanie:

„Kto jest ta figura i co przedstawia?“

— Ja myślę — rzekł najpierw szewc — że to będzie królowa angielska, Wiktorya.

Jak wiadomo, szewcy najwięcéj posiadają odwagi, najpochopniejsi są do sądów, przemówień się nie boją, a lubią politykę i tę stosują do czegobądź, byle tylko coś z niéj zarwać.

Lecz inni zakrzyczeli go zaraz i śmiać się mocno poczęli: wprawdzie nie dlatego, aby przypuszczenie to wydało im się niedorzeczne, lecz jedynie dlatego, że szewc wyrwał się pierwszy. Poczciwiec zafrasował się mocno z tego powodu i sam wnet uznał, iż strzelił bąka, zwłaszcza gdy spostrzegł, że niewiasta jest bosą.

— Tak, to prawda—pomyślał—królowa angielska musi przecież chodzić w trzewikach... tylko niewiedzieć czy z gumilastyką, czy w sznurowanych?

Z tém też od figury odstąpił.

Po nim wybił się na pierwszy plan miejski fryzyer. Przekrzywił on głowę, spojrzał jedném okiem na włosy niewiasty i zauważył z pewném zastrzeżeniem, niechybnie dlatego, by nie wyśmiano go jak poprzednika.

— Hm, nie wiem... ale zdaje mi się, że to będzie Wenus, albo téż ta druga, jak się nazywa...

Zgromadzeni poczęli już poniekąd wierzyć, że będzie to zapewne „ta druga, jak się nazywa...“

— Nie, to nie Wenus--zawyrokował aptekarz, stary kawaler—Wenus mam przecież u siebie na szafie z chininą i ziółkami na kaszel i poznałbym ją wszędzie o północy. Godzinami przecież patrzę na nią, gdy interesanci nie przychodzą. Mojém zdaniem, nie będzie to Wenus, ale karyatyda z kogucińskiego muzeum, wielkiego miasta Kogutowa. Byłem tam przecież swego czasu i widziałem. Ba, śliczne rzeczy są tam do widzenia.

Zaczął téż natychmiast najbliżéj stojącym opowiadać, jakie to cuda widział swego czasu w owém muzeum kogucińskiém.

Tymczasem rękawicznik podlazł pod samą statuę i oglądnął jéj rękę zblizka okiem znawcy.

— Wiem, już wiem — zawołał uradowany. — Tak się zastanawiamy wszyscy, tak głowy łamiemy, a nikomu nawet na myśl nie przychodzi, że jestto poprostu Adelina Patti... Przysięgnę, że Adelina Patti. — O!... przecież czytałem o niéj w gazetach, zresztą po ręce zaraz poznałem.

Zaprzeczył temu ironicznym tonem młody urzędnik, zaręczając, że Patti jest kobiétką szczupłą, niskiego wzrostu, gdy tymczasem statua wygląda raczéj na jakąś wspaniałą apoteozę, niżeli na artystkę teatralną.

— Wiele podobieństwa—zauważył on po cichu, zwracając się do kolegi biurowego—posiada ona z naszą panią szefową.

Następnie oświadczył golarz, że gdyby to była postać męska, a z wąsami, zarazby światu jako rzeczoznawca prawdę wyświetlił, atoli brak wąsów nasuwa wielkie trudności w ocenie.

Niemniéj żałował pocztmistrz, że kobiéta nie jest mężczyzną, bo gdyby tak było, nie wahałby się ani przez sekundę w wydaniu wyroku, że jestto bożek Hermes, patron poczt i telegrafów.

I wielu innych zabierało głos po nim jeszcze, czyniąc najróżnorodniejsze przypuszczenia, przystosowując sąd o niewieście do zakresu swych pojęć codziennych i upierając się przy wyrzeczoném zdaniu usilnie. Ten widział w figurze postać ziemską, ów nadziemską, ten podobiznę, ów przenośnię. Im pojęcia sądzącego były szczuplejsze, tém wyrok śmielszy, śmieszniejszy, wprost dziwaczny. Niektórzy zastrzegali się, niektórzy chcieli na swe zdanie przysięgać, — lecz nie było między zgromadzonymi ani jednego, ktoby przyznał się otwarcie, że statuy nie rozumié i nic o niéj powiedziéć nie może. Stare przysłowie „co głowa, to rozum", znalazło w tym wypadku dosadne potwierdzenie.

Aż nareszcie nadszedł wiekowy profesor, siwowłosy staruszek, bardzo poważany i ceniony w mieście dla niezmiernéj uczoności, gdyż całe życie nad książkami spędził, myśląc i roztrząsając stare i nowe prawdy podane przez ludzi, którzy, jak on, całe życie myśleli i roztrząsali.

Ogół wymowną ciszą zdaje się powiadać:

— Jeżeli ten nas nie objaśni, to nikt już chyba ciekawéj statuy nie zrozumié.

Jakoż starzec, włożywszy okulary, jął młodzieży szoroko tłómaczyć, w jaki sposób do oceny dzieła zabierać się człowiek powinien.

— Nie starczy tu jedno spojrzenie, jedno przelotne wrażenie — mówił. — Kto chce całkowity sąd o rzeczy wydać musi rzecz tę całkowicie zbadać. Spójrz zatém od góry do dołu, wzdłuż i wszerz, z prawéj i lewéj strony, obejrzyj ją dokoła, zaglądnij z góry, popatrz z dołu, słowem, ze wszystkich stron oku ludzkiemu przystępnych. Dotknij się daléj ręką, przytul ucho, zakosztuj smaku i woń rozeznaj. Ale nie koniec na tém. To coś uczynił będzie dopiéro setną częścią podstaw do oceny; teraz bowiem przychodzi część najtrudniejsza. Oto musisz wniknąć w istotę rzeczy, w głąb statuy, poznać jéj ducha, jéj ideę, jéj myśl przewodnią, kryteryum

musisz własnym rozumem przebić twardą skorupę wierzchnią, musisz przeniknąć wewnętrzną zawartość i dotrzéć do tych krańców, gdzie już nie pięć zmysłów, jeno myśl oderwana dojść może i na niéj dopiéro się opierając, możesz sąd całkowity o rzeczy wydać.

W ślad za temi słowy obchodzić począł statuę dokoła, oglądać ją, badać, słuchać, rozeznawać woń, smaku zakosztowywać... Następnie odsunął się parę kroków wstecz i rzucił „myśl oderwaną" prosto w cudowną twarz niewiasty.

I sam stał długo, poważny, nieruchomy, wyczekujący powrotu oderwanéj myśli, która miała mu przynieść natchnienie i światłość prawdziwą.

Wreszcie rzekł:

— Zdaje mi się, że statua ta przedstawia asyryjską królowę Semiramis, żonę króla Ninusa. Przypuszczenie moje opieram na napisie wykutym poniżéj, który będzie niechybnie pismem klinowém. Asyryjczycy posługiwali się właśnie tém pismem, a królowa ich była nadzwyczajnie piękną. Gdy zatém połączymy te dwa spostrzeżenia: pismo klinowe i piękność kobiéty, dojdziemy do przypuszczenia, że statua ta wyobraża królowę Semiramidę.

Tu starzec poruszył siwą brodą, popatrzył jeszcze raz na niewiastę uważnie i wyszeptał z cicha.

— Dziwna to statua, dziwna.

Poczém umilkł.

Umilkł, gdyż w głębi duszy szeptał mu jakiś głos tajemniczy i czynił wyrzuty.

— Ej, stary, może ty się mylisz, może twoje przypuszczenia są błędne, a tylko dla ambicyi nie chciałeś wobec tłumu pozostać bez odpowiedzi i podałeś coś takiego, czego gmin nie zna i nie wytknie ci, że zmyślasz?

Z téj to przyczyny stary mówił do siebie półgłosem:

— Dziwna to statua, dziwna.

Istotnie, była to bardzo dziwna statua. Wyniosła, piękna, spokojna, szlachetna, a tak niezgłębiona i tajemnicza. Na pozór każdemu się zdawało, że znał ją gdzieś, czy widział, że nic łatwiejszego, jak wymienić jéj imię... a przecież nikt imienia tego powiedzieć, ani téż odczytać z zagadkowych liter nie mógł.

W jakiś czas potém przechodził znowu szalony artysta obok miasteczka, a gdy się zatrzymał przy swojém dziele, wydobył młot

i dłuto z podróżnego worka i wykuł nowy napis na odwrotnéj stronie słupa, na jednéj z wolnych przestrzeni głazu. Tym razem jednak objaśnienie ułożył w mowie zrozumiałéj mieszkańcom miasteczka:

„Daremnie trudzisz niedołężny umysł nad zagadką mego bytu. Od wiek wieków jestem i będę niezbadaną, choć mędrców milion uderzał czołem o marmur mego piedestału.

Na imię mi: Prawda!

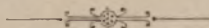
Kazimierz Rojan.





„ZWIERZYNIEC"

MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.



Utwory Reja zasługują niezaprzeczenie na wszechstronne zbadanie, raz dla tego, że pisarz-to jedyny w swoim rodzaju, zajmujący w literaturze naszéj XVI wieku całkiem odrębne od innych autorów stanowisko, a powtóre, że dzieła jego rozwijają nam przed oczyma cały obraz ówczesnego życia szlacheckiego. Zbadanie to jednak niemało trudności przedstawia, a to z powodu, iż jeszcze nie wszystkie dzieła Reja są przedrukowane, wydania zaś z XVI stulecia należą po większéj części do białych kruków bibliograficznych. Do takich rzadkości należy i „Zwierzyniec".

Posiadamy dwa wydania tego dzieła: pierwsze z roku 1562, drugie z r. 1574 [1]). Dokładny tytuł brzmi, jak następuje: „Zwierziniec w ktorym rozmáitich stanow, ludzi, źwirząth, y ptakow, kstałty, przypadki, y obyczáie, są właśnie wypisane. A zwłaszcza ku czasom dzisieyszym naszym nieiako przypadające". Nadto czytamy na karcie tytułowej następujący ośmiowiersz:

Niechże cię nic nie rusza, móy namilszy bracie,
Jeśliby co nie k myśli też przypadło na cię,
Bo mi iednak łacniey s swym, niż draźnić obcego,
Wszak ia thu nie wspominam, co mi nic do thego;

---

1) Jestto zatém wydanie pośmiertne. gdyż Rej umarł r. 1569.

Iedno ia tu na pamięć swe dilekty liczę,
Co im wszego dobrego, iako sobie, życzę.
A iż się też wtaczaią y postronne rzeczy,
Radbych by się z cudzych spraw miał każdy na pieczy. —
Napowinnieyszy przyiaciel prawda,
Trenorum iij.

Obadwa wydania wyszły *in quarto* w Krakowie u Macieja Wierzbięty i są zaopatrzone w przedmowę, która jest pióra nie autora, lecz wydawcy, jak świadczy o tém podpis: W. M. Przedmowa— krótsza w pierwszém, niż w drugiém wydaniu — zawiera w sobie dedykacyą Janowi Chodkiewiczowi. W wydaniu pierwszém znajduje się dalej wiersz łaciński pod tytułem „*Nicolaus Musculus*", w którym autor (zapewne Andrzej Trzycieski) przyrównywa Reja do Homera i w krótkich słowach podaje treść „Zwierzyńca". Poczém odzywa się już sam Rej — i to „do szacunkarza cudzych spraw" i „do tego, co czyść ma". Przytaczamy tu obie przemowy w całości:

Do szacunkarza cudzych spraw.

Nie szacuyże, mój bracie, iedno co iest prawda,
A pochlebstwo z zazdrością niech idzye do dyabła!
Nie wnet rzeczy przypuszczay do rozsądku twego,
Gdyż ieden wyrozumieć nie może wszytkiego.
Małoć, gdy garniec widzisz, iż u ognia stoi,
Lecz nie wiesz, pod pokrywką co się tam w nim broi;
Iako ktoś Apellesa napisał mianując,
Sam się zwał Orfeuszem, pyóreczkiem szyrmuiąc.
Ale by kto chciał pisać a dał pyórku wolą,
Snadnieby ięzyczkowi odiął wnet swąwolą;
Bo iedno sobie wspomni, towarzyszu miły,
O czyie pismo gęby ledwe uchybili.

Do tego, co czyść ma.

Tu masz naprzód postępki starych królów sławnych,
Któreć się dziś przygodzą, chociay z czasów dawnych.
Potym masz s Polskich stanów poczciwe przypadki,
Które na swe trefunki też będzyesz miał świadki.
Potym pod podobieństwy coć wiedzyeć przystoi,
A iako nas dziwny świat nieobacznie stroi.
A potym też trefunki dworstwa przypadłego,
Które cię też przestrzegą s tego y z owego.
Widzę, iż zacni ludzye, co przed tym pisali
Leda czego też czasem siła nabaiali.
Acz się dworstwo nie trefi do poważnych rzeczy,
Ale nie wadzi y to czasem mieć na pyeczy,
Abowiem stąd nawiętsze przypada ćwiczenie,
Kto ma na przeszłe rzeczy s pamięcią baczenie.

Przyymże, chceszli, za dobre, boć nie Kato pisze,
Też to iedno prze dobre stawia towarzysze.

Obadwa wydania zdobi portret autora wraz ze stosownym epigramatem Wierzbięty. Nadto w wydaniu pierwszém mamy „Reyesthr albo sprawę dla prętkiego a rychłego znalezyenya".

„Zwierzyniec" składa się z czterech rozdziałów, poprzedzonych rozmową Rzeczypospolitéj z Prywatem i Stańczykiem. Sygnatura kart czyli „listów" zaczyna się dopiéro od rozdziału pierwszego, który kończy się na liście 47; list następny (nienumerowany) zawiera ośmiowierszową przedmowę autora „do thego, co czedł thy przeszłe rzeczy". Rozdział drugi ciągnie się w wydaniu pierwszém od listu 48 do 93, w drugiém — aż do 95, poczém w obudwu wydaniach odrazu list setny następuje; dlaczego —, objaśnia nam sam Rej w przemowie „Ku temu, co czedł":

Ieśliżeby się w Herbyech gdzye co pochybiło
Albo miasto twoiego iny położyło,
Nie miey za złe, proszę cię, gdyż z niewiadomości
To się sstało, a wierz mi, że nie z niedbałości.
Bo iako mię sprawiono, tak się postawiło,
Wszakże, mnimam, nikogo tym się nie zelżyło;
A ieśliżeby też tu nie było twoiego,
Masz mieysce, namaluyże, a dowiedzyesz swego.

Ilość listów rozdziału trzeciego jest w obu wydaniach jednakowa (od 100 do 112), rozdział zaś czwarty, rozpoczynający się na liście 113, kończy się w wydaniu pierwszém na liście 143, w drugiém — na 146. Wreszcie wydanie drugie ma jeszcze list 147, na którym umieścił Rej „Zamknyenye rzeczy sthathecznych" [1]).

Co do treści, wydanie drugie jest nieco obfitsze pod względem ilości zawartych w niém wierszyków, a nadto poprawniejsze, zwłaszcza na początku rozdziału czwartego i w rozdziale drugim, w którym pomyłki w herbach rodów polskich są po większéj części sprostowane.

Różnice ortograficzne dwu wydań „Zwierzyńca" są bardzo nieznaczne; zachodzą one przeważnie w użyciu samogłosek *i* i *y*, np. powiedziano — powiedzyano, tobie — tobye, zawżdi — zawżdy i t. d. [2]).

---

[1]) Przy powyższym opisie wydań „Zwierzyńca" korzystałem z łaskawie nadesłanych mi egzemplarzy z biblioteki Kórnickiéj (z r. 1562) i Jagiellońskiéj (z roku 1574).

[2]) Rozdział drugi „Zwierzyńca" został niedawno wydany nakładem biblioteki Kórnickiéj p. t. „Przęsło ze Zwierzyńca Mikołaja Reja" (Poznań, 1884); rozpo-

I.

Po tych wstępnych uwagach przystępujemy do rozbioru treści „Zwierzyńca“ [1]). Co się tyczy nazwy, jaką ochrzcił Rej swoje dzieło, objaśnia nam ją wydawca w przedmowie do wydania drugiego: „...iako w Zwierzyńcu bywa zwirz rozmaity, ieden pożyteczny ku iedzeniu, a drugi szkodliwy, thak też w tych księgach są rzeczy, których tu w tym żywocie naśladować y których się wystrzegać mamy. Y nie wiem, czego by w nich niedostawało, gdyż się tu zamykaią stateczne przykłady z rozlicznych Historyków krótko zebrane, domowe przypadki, podobieństwa y figury rozmaite y ine żartowne a krotofilne dworskie powieści, nie inaczey iedno iako więc owo w Zwierzyńczu zyemia pełna bywa rozmaitego a ślicznego kwiecia y zyela takiego i owakiego“. Domyślamy się więc z tych słów, że „Zwierzyniec“ jest zbiorem najrozmaitszych co do treści wierszyków, coś w rodzaju „*Silva rerum*“. Co zaś do formy poetycznéj, to ta jest wszędzie ta sama: każden wierszyk składa się z czterech rymujących się z sobą dwuwierszy czyli z ośmiu trzynastozgłoskowych wierszy, ze średniówką po siódméj zgłosce. Tę też formę ma rozmowa dwu postaci alegorycznych — Rzeczypospolitéj i Prywata, do któréj przy końcu miesza się Stańczyk; stanowi ona niejako wstęp do całego dzieła.

„Napirwey Rzeczpospolita skarży się na swe nieszczęście“; i jakież-to nieszczęście ją spotkało? oto czarnéj niewdzięczności doznaje od swych dzieci: żadne z nich nie dba o jéj dobro; oto sprawiedliwości niemasz w jéj królestwie! a wszystko to wina Prywata. Na to usprawiedliwia się Prywat, który pozornie dba o dobro publiczne, lecz w istocie jest uosobieniem tak często potępianéj przez satyryków i polityków polskich prywaty, mówiąc, że on nic nie winien:

---

czął przedruk ś. p. Tytus hr. Działyński, ukończył go zaś dr. Zygm. Celichowski, z którego przedmowy wyjmujemy następujące słowa dla scharakteryzowania tego wydania: „Przęsło“ nie jest niewolniczym przedrukiem „Zwierzyńca“, nie jest wiernem odbiciem, jakiego wymaga ścisłość bibliograficzna, lecz zawiera dodatki, a nieraz i drobne zmiany, będące zresztą koniecznym niemal skutkiem niejednostajności obydwóch wydań „Zwierzyńca“. Wydanie pierwsze z r. 1562, jako ogłoszone za życia autora, zasługiwało właściwie na pierwszeństwo, ale że drugie wydanie z roku 1574 jest nieco obfitsze, a nawet w kilku miejscach poprawniejsze, przeto wydawca trzymał się przeważnie tego drugiego wydania.

[1]) „Przypowieści przypadłe“, dodane do wydania pierwszego „Zwierzyńca“ nie mają z nim właściwie nic wspólnego (bo „dworstwo nie trefi się do poważnych rzeczy“), nie wejdą przeto w zakres powyższego rozbioru.

wina-to długotrwałego pokoju, ale niech tylko „burza przyrazi“, wnet będzie całkiem inaczéj. Rzeczpospolita odpowiada, że nawet w czasie pokoju o wojnie pamiętać trzeba, ponieważ:

Mądrzy każą zabiegać za czasu wszystkiemu,
Bo zawżdy ustępuje wolne muszonemu;
Fortunny-to, co w szczęściu myśli o przygodzye,
Niźli w ten czas, gdy gore, pytać się o wodzye.

Jest na to rada, rzecze Prywat. „kładź przed oczy“ swym dzieciom, jak postępowali sławni królowie „onych czasów dawnych“, przypomnij im także swoje własne sprawy, tych mianowicie, „którzy zacni byli“, — niechaj twoi synowie biorą z nich przykład. Chociaż Rzeczpospolita wątpi o skuteczności téj rady, Prywat jednak twierdzi, że sprobować nie zaszkodzi. W tém zjawia się Stańczyk, który, równie jak Rzeczpospolita, powątpiéwa, aby opowiadanie o znakomitych czynach przeszłości cel swój osiągnęło:

Wołałciem ia też dosyć a ledwe kamienie
Iż nie woła: cóż po tym, gdy twarde sumienie!

Prywat nie zna Stańczyka, lecz ze słów jego wnosi, iż musi to być człowiek doświadczony:

Y znać, iż świadom ludzi y czasom rozumie,
Choć w szaloney postawie, przedsię mówić umie,
A małobych nie wolał s prawdą szalonego,
Niż z omylną postawą wierę [1]) namędrszego.

Słowa te są ciekawe i charakterystyczne wyrazy: „w szaloney postawie“ każą się domyślać, iż to ten sam Stańczyk, który był błaznem nadwornym Zygmunta Starego, a który, jak widać z przytoczonych wierszy, nawoływał rodaków do poprawy. To téż Rzeczpospolita powiada: „Stańczyk ci był, lecz mogli Stanisławem go prawie przezwać“. Imię więc „Stańczyk“ było imieniem pogardliwem, na które, według Reja, bynajmniéj ów błazen sobie nie zasłużył:

A gdzyesz takich Stańczyków było ieszcze wiele,
Co by plewli obłudność, to wszeteczne zyele,
A prawdą świętą ludzyom przed oczy miotali,
A snadź, niżli z pochlebstwa, wieceyby wygrali.

W tém i Prywat przypomina sobie, że słyszał był kiedyś o nim, iż „ten nigdy z nieprawdą nie chciał być w przymie-

---

[1]) Zaiste.

rzu“ [1]); pomimo jednak, że skarga Stańczyka rozczarowała go nieco, obstaje przy swym zamiarze, że trzeba Polakom „puścić tych zacnych przykłady“. Na tém kończy się rozmowa.

Podobnego rodzaju dyalogi, prowadzone pomiędzy postaciami alegorycznemi, sięgają bardzo daleko w przeszłość; w Polsce już w kronice mistrza Wincentego mamy taką rozmowę, w któréj biorą udział Smutek, Wesołość, Wolność i Sprawiedliwość. Takież dyalogi posiada w wielkiéj ilości poezya zachodnio-europejska, a literatura epoki humanizmu i reformacyi nie wzgardziła bynajmniej tą formą, posługując się nią nie tylko w dramacie, lecz i w liryce. Wśród utworów muzy humanistycznéj dadzą się odszukać dyalogi, które swą osnową, myślą zasadniczą, przypominają dyalog Reja. W „Zwierzyńcu“ Rzeczpospolita biada nad swą niedolą, a więc jest to rodzaj poezyi, którą uprawiali humaniści pod nazwą skargi lub żalów (*querela*, *querimonia*, *threnodia*), zarówno zagranicą [2]), jak u nas. Już w poezyach jednego z pierwszych poetów-humanistów polskich, Andrzeja Krzyckiego, mamy dwie takie skargi: „Żale ziemi wołoskiéj“ [3]) i „Skarga religii i rzeczypospolitéj“ [4]). A i nasz Rej już w r. 1543 wystąpił z żalami Rzeczypospolitéj w „Krótkiéj rozprawie między trzemi osobami, panem, wójtem a plebanem“, w któréj Rzeczpospolita skarży się na obojętność swych dzieci [5]), z roku zaś 1549 mamy jego satyrę, w podobnéj napisaną formie, p. t. „Rzecz pospolita Polska, chramiącz thula się po świątu, ssukaiącz pomoczi, a narzeka na swe Pani, iż o się nie dbaią“ [6]). Co zaś do rozmowy Rzeczypospolitéj z Prywatem w „Zwierzyńcu“, jest ona, jak się zdaje, naśladowaniem „Skargi Religii i Rzeczypospolitéj“ Krzyckiego: Rzeczpospolita skarży się tam tak samo, jak w dyalogu Reja, na swych synów, a pomiędzy innemi zarzuca im obojętność dla ojczyzny, brak sprawiedliwości w kraju i opieszałość, z tego zaś nieprzyjaciel

---

[1]) Porów. J. Bielski, Kronika, T. VII, str. 30 (wyd. Gałęzowskiego): „Stańczyk, gdy go raz chłopięta opadli y z niego suknie zdarli, aż uciekł do Króla, powiedział Królowi (a on go żałował, że go to odarto): Bardziey, Królu, ciebie drą, aniż mnie, anoć wydarto Smoleńsk, a przedsię milczysz. Owa z błazny szkoda Panom żartować, bo prawdę radzi żartem, rzeką: jakoż to Stańczyk był błazen osobliwy.“

[2]) Ob. np. utwór humanisty niemieckiego Georga Mauritiusa z Norymbergii p. t. „Querela urbis Noricae“.

[3]) Threnodia Valachiae, wyd. Morawskiego, str. 112, nast.

[4]) Religionis et reipublicae querimonia, tamże, str. 89, nast.

[5]) Wyd. R. Zawilińskiego w „Bibliotece pisarzów polskich“, w. 2015 nast.

[6]) Wyd. J. Korzeniowskiego, Rocznik Filarecki, I, 575—610 (Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznéj treści, 1548—1551).

niezawodnie skorzysta; jedna religia jeszcze może wyrwać kraj z téj toni. Lecz oto właśnie zbliża się Religia i wywodzi nie mniéj tęskliwe żale. Rzeczpospolita stara się ją pocieszyć i — zupełnie tak samo, jak Prywat w „Zwierzyńcu", radzi jéj, aby roztaczała przed oczami Polaków znakomite czyny, przez starszych spełnione ludzi: „Przestań, błagam, skargi, nie trać otuchy, nie porzucaj mnie nieszczęsnéj w niedoli, roztaczaj dawne dzieje i czyny [1]).

Jeszcze jedna uwaga. Z postacią Prywata spotykamy się także w „Wizerunku", a mianowicie w rozdziale szóstym, gdzie Rej charakteryzuje go w sposób następujący:

Bo ten nie dba o wszytki, gdyby doźrzał swego,
By mieli razem zginąć, nic iemu do tego,
Acz to jego postawa, iż rzkomo o wszytki
Stara się, ale więcey o swoie pożytki. (686 nast.)

Te same, mniéj więcéj, słowa wkłada autor w usta Prywatowi w „Zwierzyńcu":

Widząć więc czasem wszytki, iż źle; wżdy nie dbaią,
Iedno o swe pożytki wszyscy się staraią,
A na to nic nie baczą, iż u dyabła wszytki
Snadnie z nimi mogą być y ty ich pożytki.

A teraz zobaczmy, w jaki sposób Rej spełnił radę, któréj Prywat udzielił nieszczęsnéj Rzeczypospolitéj, zobaczymy jakie to „zacne przykłady" i „przypadki" wypisał w swym „Zwierzyńcu".

II.

W rozdziale pierwszym „poczynaią syę sprawy i postępki, pamięci godne, onych Królów y inych stanów sławnych, tak pogańskich, iako y Krześciańskich, S kthórychby właśnie każdemu poczciwemu stanowi przystało dobre przykłady ku swym postempkom brać". Mamy zatém tutaj krótkie powiastki i anegdoty historyczne. Kompilacye tego rodzaju wywalczyły sobie pokaźne stanowisko wśród powodzi najrozmaitszych pism epoki odrodzenia, kiedy to dzieła Cycerona, Waleryusza Maksyma, Plutarcha i innych greckich oraz rzymskich autorów, przez wielbicieli świata starożytnego otrząśnięte z pyłu cel i strychów klasztornych, ujrzały wreszcie światło

---

[1]) Parce, precor, mea diva, queri nec deice mentem Inque his me miseram aerumnis ne desere solam. Historias priscas et gesta priora revolve (39 sqq).

dzienne i powszechną stały się własnością. Wydawano zbiory anegdot historycznych najczęściéj pod tytułem „O rzeczach pamięci godnych“ (*de rebus memorandis*) lub „O pamiętnych rzeczach i czynach“ (*de rebus factisque memorabilibus*), ponieważ zaś nie tylko czyny, ale i słowa lub np. trafne odpowiedzi starożytnych wzbudzały w humanistach podziw i uwielbienie, często więc także miały te książki tytuł „O wyrzeczeniach“ lub „Apoftegmaty“ (*de dictis, apophthegmata*). Treścią podobnego rodzaju wydawnictw były jużto obszerne życiorysy sławnych mężów stanu, wodzów, królów, cesarzy i t. p., już téż krótkie powiastki o ich poszczególnych czynach. Już pierwszy humanista, Franciszek Petrarka, ogłosił na wzór Waleryusza Maksyma dzieło „O rzeczach pamięci godnych“, w którém, obok Rzymian z jednéj strony, a Greków i barbarzyńców — z drugiéj, napotykamy, acz w niewielkiéj ilości, postaci średniowieczne. W innem piśmie „Żywoty sławnych mężów“ uwzględnia Petrarka jedynie dzieje starożytne, i to prawie wyłącznie rzymskie, gdyż z pomiędzy 31 biografii dwie tylko poświęca nie-Rzymianom, a mianowicie Hanibalowi i Aleksandrowi Macedońskiemu. Podobnie Boccacio w swych kompilacyach historycznych [1]) pierwszeństwo światowi starożytnemu oddaje. Z biegiem czasu jednakże, gdy bezwzględne, pełne ślepego zapału uwielbienie dla klasycznego świata nieco ostygło, poczęli humaniści uwzględniać już nie tylko historyą średniowieczną, lecz i bibilijną, nie zapominali wreszcie o dzikich ludach wschodnich, jak np. o Tatarach. Literatura zachodnio-europejska — włoska, francuska, niemiecka, angielska, obfitowały w takie kompedya, a ponieważ pisano je po większéj części w języku łacińskim, mógł z nich korzystać każdy przeciętnie wykształcony człowiek. Co do formy, ta zwykle była prozaiczna, cel zaś — głównie dydaktyczny: chodziło przedewszystkiém o to, aby obznajmić czytelników z cnotami, jakiemi zasłynęły różne postaci historyczne, i w ten sposób wzbudzić w ich sercach szlachetne uczucia i zachęcić ich do naśladowania pięknych czynów. Że tak było w rzeczywistości, dowodzą najprzód przemowy autorów, w których cel pouczający bardzo wyraźnie zaznaczają [2]), powtóre zaś liczne nauki i sentencye moralne, często-

---

[1]) „De claris mulieribus“ i „De casibus virorum illustrium.“

[2]) Oto np. co powiada Konrad Lycosthenes w przedmowie do „Apophthegmatum ex optimis utriusque linguae scriptoribus... loci communes“ (Lugduni, 1556): „Opus sane non tantum in Ecclesia concionatoribus atque declamatoribus in scolis, sed omnibus etiam bonarum atque honestissimarum artium amatoribus, propter civilis etiam vitae usum, non minus utile, quam necessarium“.

kroć przy końcu téj lub owéj anegdoty umieszczane. Jedném z najbardziéj rozpowszechnionych kompendyów anegdotyczno-histrycznych w wieku XVI, były „Apoftegmaty" Erazma z Roterdamu [1]), które w pierwszych dziesięciolecich XVI stulecia doczekały się mnóstwa wydań. Korzystał tu autor z pism Herodota, Ksenofonta, Dyogenesa z Laerty, Cycerona, Liwiusza, Swetoniusza, Seneki, Makrobiusza, Kwintyliana, Eutropiusza, lecz nadewszystko z Waleryusza Maksyma i Plutarcha; z historyi średniowiecznéj bardzo nie wiele opowiadań znajdujemy w téj kompilacyi, imion zaś bibilijnych nie ma zupełnie. W tym względzie ma wyższość dzieło pisarza włoskiego, Baptysty Fulgoza, napisane w języku włoskim, które jednak zawdzięcza swe rozpowszechnienie w całéj Europie przekładowi łacińskiemu, dokonanemu przez Gilinusa [2]), są tu nie tylko opowieści o czynach znakomitych Rzymian, Greków, Persów, Karyjczyków, lecz i o czynach Żydów, Gotów, Longobardów, Włochów, Francuzów, Niemców, Hiszpanów, Anglików, Słowian, Mongołów i t. d. Rzecz prosta, że autor musiał korzystać z daleko większéj ilości źródeł, aniżeli Erazm, musiał, prócz klasyków, przejrzeć biblią, dzieła Prokopiusza, ojców kościoła, jako to Ambrożego, Augustyna i innych, musiał przeczytać wreszcie takich np. autorów, jak Wincenty Bellowaceński, Albert Wielki, Eneasz Sylwiusz i t. p. Te i wiele innych jeszcze źródeł podaje przynajmniéj Fulgozo w przedmowie do swéj książki.

Co się tyczy dyspozycyi tak obfitego materyału, jaki zawiera się w kompendyach historycznych XVI wieku, to można w nich dostrzedz trojakiéj metody, z których jednę nazwiemy alfabetyczną, drugą — systematyczną, trzecią zaś — historyczną czyli chronologiczną. Pierwszéj metody trzyma się, pomiędzy innymi, Konrad Lycostenes, który wszystkie anegdoty sprowadza do tak zwanych kategoryi ogólnych (*loci communes*), a te grupuje według liter alfabetu łacińskiego [3]). Metodę systematyczną obrał sobie tłómacz łaciński Fulgoza, który wzorem Waleryusza Maksyma dzieli całą rzecz na księgi, każdą zaś księgę na rozdziały; tak np. księgę pierwszą poświęca wyłącznie religii, a dzieli ją na rozdziały: „O kulcie religij-

---

[1]) Apophthegmatum ex optimis utriusque linguae scriptoribus libri octo.

[2]) Baptiste Fulgosi opus in X libros digestum de dictis et factis memoriabilibus imperatorum, principum, ducum, episcoporum etc., a Camillo Gilino ex vernaculo idiomate latinitate donatus. Basileae, 1541.

[3]) Takiemi kategoryami są np.: „de Abstinentia", „de Abusu rerum pernicioso", ... „de Balnea, „de Barba", ... „de Caecitae", „de Callide dictis" i t. d.

nym", „O wzgardzonéj religii", „O wieszczbach czyli wróżbach" i t. p.; w księdze drugiéj prawi o instytucyach państwowych: „O dawnych zwyczajach", „O rzemiośle rycerskiém", „O prawie tryumfu" i t. p. Według metody chronologicznéj nakoniec zestawił swe „apoftegmaty" Erazm z Roterdamu, chociaż zresztą nie wszędzie konsekwentnie ją przeprowadził; w księdze pierwszéj i drugiéj pomieścił anegdoty o Lacedemończykach, jako obywatelach jednego z najstarszych państw greckich; księgę drugą poświęca wyłącznie Sokratesowi; w księgach następnych porządek chronologiczny najwyraźniéj spostrzedz się daje, lecz w księdze ostatniéj całkiem go już nie ma.

Czy w Polsce XVI wieku znane były tego rodzaju kompendya? Co do niektórych odpowiedzieć można twierdząco. Wiemy napewno, że omówione dzieło Erazma było na składzie w księgarniach krakowskich, mianowicie u Macieja Scharffenberga i Floryana Unglera, a więc prawdopodobnie czytywano je w Polsce [1]. Co do kompilacyi Fulgoza, to i tę również w Polsce napotykamy (w przekładzie łacińskim): miał ją między innymi, na własność biskup Uchański [2]. Mieli więc Polacy możność obznajmienia się z czynami słynnych postaci historycznych. Brakowało jednak piśmiennictwu naszemu kompendyów anegdotyczno-historycznych w języku ojczystym. Tę lukę w literaturze zapełnił właśnie Rej w pierwszym rozdziale „Zwierzyńca", a wywiązał się ze swego zadania, pod względem bogactwa treści, bardzo zaszczytnie, gdyż, podobnie jak Fulgozo, uwzględnił nie tylko historyą starożytną, ale także bibilijną, historyą narodów wschodnich, wreszcie — dzieje średniowieczne. Czytamy tu więc o Samsonie, że, chociaż „paszczęki rozdzyerał u Lwa

---

1) A. Benis. Materyały do historyi księgarstwa i drukarstwa w Polsce. I. Maciej Scharffenberg i Floryan Ungler. Kraków, 1890. № 392 i 981.

2) W bibliotece p. Adama Wolańskiego w Rudce, pod Dubnem na Wołyniu, znajduje się egzemplarz Fulgoza w tłómaczeniu łacińskiem, wydany w Bazylei r. 1541; oprawny jest w skórę brunatną, na stronie główném okładki w samym środku na tarczy pod infułą biskupią znajduje się herb „Radwan", w czterech zaś rogach — litery: J. V. E. P. Ponieważ w XVI w. biskupów Radwanitów było bardzo niewielu, owe więc cztery litery nikogo innego oznaczać nie mogą, jak Uchańskiego *(Jacobus Uchański Episcopus Pomeraniae)*, gdyż biskup włocławski, którym Uchański był od r. 1557 do 1562, był zarazem biskupem pomorskim. Że zaś nie wypisano na okładce liter V. lub C. (*episcopus Vladislaviensis* lub *Cuiaviae*, w ten sposób objaśnić należy, że okładka albo oprawa książki robiona była w Gdańsku, który do pomorskiego biskupstwa należał. Uchański cały rok spędził w Gdańsku (od października r. 1559 do października 1560), zapewne też wtenczas oprawiono książkę. — (Powyższą notatkę zawdzięczam uprzejmości prof. Wierzbowskiego).

okrutnego", a jednak go niewiasta marna okróciła"; o Gedeonie, który z małym hufcem „wielkie woyska porażał"; o Dawidzie, który zabił Goliata „onego Philistina olbrzyma"; o Salomonie, który o to tylko błagał Pana, „iżby z rozumem poddanym panował", i t. d.

O mitologii greckiéj także nie zapominał Rej. „Phaeton, co Słońce woził", wnet przekonał się, że niedobrze jest w nie swoje wdawać się rzeczy. Akteona, gdy mu Dyana „odmieniła w Jeleni kształt głowę", własne psy nie poznały i „iako ine źwirzę goniąc go kąsali". Podoba się Rejowi Herkules, „co Smoki biyał, Hidry, Lwy, okrutniki", a „złodzieie i złoczyńce iego roskosz była". Penelopę, żonę „Ulixesa zacnego" wystawia autor, jako wzór cnotliwéj niewiasty, która:

Siedm' lat, będąc w żałobie okrutney, czekała,
Chociay wiele od świata dziwnych pokus miała,
A nigdy nie próżnuiąc, tkaneczki robiła.

A oto kilka przykładów z historyi narodów wschodnich. Egipcyanom poświęca autor cztery wierszyki: w jednym opowiada o pogrzebach „królów" egipskich, w drugim o „królu" Makrynie, który, choć z nieznacznego rodu, zasiadł na tronie królewskim, w trzecim o przyjaźni Amazysa z Polikratesem „okrutnikiem, który szczęściu dufał", w czwartym o Psamenicie, wziętym do niewoli. Z pomiędzy Persów spotykamy się w „Zwierzyńcu" z Kserksesem, płaczącym na widok swych wojsk „dziwnie rozszyrzonych", z Arryą, żoną „Pandeora, Perskiego Hetmana", która wraz z mężem wyrusza na wojnę, a pojmana nie łamie przysięgi małżeńskiéj:

Hetman, co ią poimał, chciał ią za żonę mieć,
Ona, niż cnotę zruszyć, wolała się zabić.

Przedstawicielką Karyjczyków jest Artemizya, chytra królowa, która podstępem zdobywa wyspę Rodos, tudzież Semiramida, w któréj grobie „nalezyono tabliczkę" z napisem:

Obacz każdy poczciwy, jaka to niecnota,
Kto iuż y na umarłych szuka łupić złota.

Reprezentantem Kartagińczyków jest Hanibal: gdy prowadził wojnę z Rzymianami, przeróżne wynajdywał „hanszlaki:" [1])

Wołom kładał ogniste wiązani [2]) na rogi,
Które puszczał przed woyskiem, w nocy czyniąc trwogi.

---

[1]) Sztuczki, fortele.
[2]) Zapalone wiązki słomy.

„Tenże też to Hanibal“ rozmawiał często z królem Antyochem o „rzeczach walecznych“, a gdy raz filozof Formion wmięszał się w rozmowę, wyśmiał go wódz kartagiński, gdyż ten tylko „o Rycerzu może mówić bezpiecznie, co zawżdy w pancerzu“.

Najwięcej jednak przykładów przytacza Rej z życia znakomitych Greków i Rzymian, a więc wodzów, prawodawców, mężów stanu, cesarzów. Na Likurga zapatruje się Rej, jako na idealnego prawodawcę; nie rozumiem, rzecze do niego poseł perski, czemu „prawa twego twoi się ludzie dzyerżą, tak iako świętego“? dlatego, odpowiada Likurg, że istota mego prawodawstwa na tém polega, aby „ozdobić dobrego, a tłumić na wsze strony zawżdy wszetecznego“. Ufny w męstwo swych współobywateli, nie pozwala otaczać miasta murami, a rozumiejąc, że nie materyalne bogactwo o pomyślności państwa stanowi, wydaje prawo, „aby panna nie miała posagu żadnego“, bo

. . . . gdzie iest święta cnota,
Tam nie trzeba ni pereł, ni żadnego złota.

Dobrym prawodawcą był także, według Reja, Zeleukus lokryjski, wydał bowiem prawo, iż ktokolwiek gwałt uczyni, temu będą oczy wyłupione, a gdy własny syn jego przestępstwa tego się dopuścił, nie uniewinnił go, aż wreszcie, na prośby poddanych, „sobye iedno, a iemu drugie wyiąć kazał“. Z wodzów greckich polubił Rej widocznie najbardziej Epaminondasa, gdyż o nim najwięcej anegdot opowiada; dzielny to wódz, dzielnych też ma rycerzy, przeto na ich waleczność i męstwo jedynie liczy przed bitwą, nie przywiązując żadnej wagi do wróżb; widząc, że wojsko jego „w rozmaitych pieszczotach się broi“, „ubiera się w kaptur i chodzi w żałobie“, powiadając:

. . . . . . „s tymi sprawami was y siebie stracę,
Napięknieyszym kleuotem — sławą — to zapłacę.“

Śmiertelnie ranny, pyta przedewszystkiém, „czy wygrali ludzie bitwy“, a dowiedziawszy się o zwycięstwie nad nieprzyjacielem, spokojnie umiera. Dzielnym wodzem był także Agis, król spartański, lecz niemniéj, jako sprawiedliwy sędzia, zasłynął na świecie, bo oto rodzona matka błaga go o złagodzenie wyroku, ten jednak powiada, iż prawo winno być świętém i nienaruszonem. Chwali Rej i takich mężów, którzy za życia więcéj dbali o dobro swych podwładnych aniżeli o siebie, a takim właśnie był Perykles; to też śmierć mu niestraszna, bo wié dobrze, że rządy jego w Atenach były „wdzięczne“, że nikt z „jego przyczyny w żałobie nie chodził“. I Dyonizyusz, tyran syrakuzański, figuruje na listach „Zwierzyńca“: gdy posłowie

z Koryntu nie chcą przyjąć od niego podarunków, a to na tej zasadzie:

. . . . iż to prawo mamy,
Iż darów nie bierzemy, gdy posły bywamy,

odpowiada tyran, że on znów, jako monarcha, „ma prawo, aby dawał dary“. Gdy w mieszkaniu syna swego „uźrzał srebra wiele“, radzi mu, by rozdał wszystkie kosztowności przyjaciołom, bo:

Srebroć mówić nie umie, by cię osławiło, [1])
Lepiey, abyć przyiaciół takowych nabyło,
Gdyż ono samo milczy, by oni mówili,
A twą sławę poczciwą ludziom roznosili.

Pomimo jednak tak pięknych przekonań, Dyonizyusz bynajmniéj kosztownościami nie gardził: podobał mu się płaszcz złoty na „obrazie“ Jowisza, — natychmiast przywłaszcza go sobie, bojąc się, aby bóg nie zaziębił się lub nie dostał gorączki, ponieważ:

. . . . złoto tę własność ma:
Kiedy zimno, zaziąbia, w gorącość rozpala;

najodpowiedniejszym zatém będzie dla Jowisza płaszcz „sukniany“. Ale nie dosyć na tém:

Potym mu powiedziano, iż w drugim kościele —
Tam u Merkuriusza złota, srebra wiele.
A ten posłał dworzany, aby to zabrali.
Ci, iż piszczą w kościele, do niego przysłali: [2])
Nie śmiemy tam, bo pewnie coś tam bóg sprawuie.“
Ten rzekł: „teraz nalepiéj, kiedy wyskakuie;
Boć się rychley rozgniewa, kiedy smęcien będzie;
Gdy wesół, nie będzieć dbał, jeśli sobie gędzie“. [3])

Rozumié się, że nie pominął Rej milczeniem „zacnych przypadków“, jakiémi zasłynęli król Filip Macedoński i wielki syn jego. Na wieść o dwu bitwach wygranych i o przyjściu na świat Aleksandra, Filip woła:

. . . . „o fortuno miła!
Proszę, byś święty obyczay nademną zmieniła,

---

[1]) By cię wsławiło, by sławę twoję po świecie rozniosło.

[2]) Ci przysłali do niego z wiadomością, że w świątyni słychać pisk, że bogowie piszczą wesoło.

[3]) Dyonizyusz odpowiada: trzeba więc korzystać z tego, że teraz bogowie weselą się, gdyż, kiedy smutek ich ogarnie, rozgniewają się i nie pozwolą na wyniesienie ze świątyni złota i srebra.

Bo ia wiem, że ty rada mienisz swe postępki,
A zawżdy po twey łasce bywa upad [1]) prętki.

Innym razem jakaś biedna kobieta prosiła go o szybki wymiar sprawiedliwości, lecz król z gniewem rzecze: „poczkay, czasu mało”, na co kobieta odpowiada: to nie bądź królem, gdy masz mało czasu na sądy; Filip wnet krzywdy przesłuchał, uczynił sprawiedliwość, a k'temu darawał” [2]). Gdy mu doniesiono, że Nikanor źle o nim mówi, kazał bezwłocznie, ku zdumieniu „filozofa, co przy nim był”, posłać mu różne dary; od tej chwili Nikanor „dziwnie króla wysławia“. Większą jeszcze sławą, niż Filip, cieszył się Aleksander Wielki, który już w dzieciństwie marzył o swych zdobyczach i martwił się, że po śmierci ojca zbraknie mu krajów do zdobywania:

„Iż ociec móy posiada, cóż ia czynić będę?
Podobno, siedząc w kącie, gdzie w lutnie zagędę.“

O skarby i bogactwo nie troszczył się zupełnie; pożądając nieśmiertelnej sławy jedynie, a chociaż gromił nieprzyjaciela, obchodził się z jeńcami wspaniałomyślnie, jeżeli tylko ci zasługiwali na to; tak np. gdy król Pirrus (*sic!*) na pytanie, jak ma zwycięzca obchodzić się z nim, odpowiedział: „wiesz iako króla przystoynie masz chować“. obsypał go zaszczytami. Lecz cóż po sławie, cóż po męstwie, gdy kto wplącze się w „omylne przypadki świata tego“.

Przytoczone powyżej przykłady bynajmniej nie wyczerpują wszystkiego, co Rej o znakomitych Grekach opowiada: obok wymienionych mężów mamy nadto w „Zwierzyńcu“ Lizandra, Agezylausza, Pedareta, Alcybiadesa, Kleona, Tymokleona, Focyona, Antygona, Lizymacha, Pirrusa Epirskiego i innych.

Z czasów królewskich państwa rzymskiego jednego tylko Romulusa zaszczycił Rej ośmiowierszem — uwagi, iż był to człowiek trzeźwy:

Romulus, ten który Rzym napierwey założył
Aby był w poczciwy stan wszytki ludzi włożył,
Nie piyał nigdy wina, iedno barzo mało,
Y to na poły z wodą, to co mu się chciało.

Z czasów republikańskich umieścił Rej przedewszystkiém znane anegdoty o bohaterach, którzy z narażeniem życia własnego służyli ojczyźnie, a więc np. o Mucyuszu Scewoli w obozie króla Porseny lub o Kwintusie Kurcyuszu, który dobrowolnie wskoczył

[1]) Upadek, nieszczęście.
[2]) Obsypał darami.

do dołu, „co się w Rzymie otworzył", i w ten sposób wybawił ojczyznę od moru (była bowiem przepowiednia, iż mór póty nie ustanie, póki kto do dołu nie wskoczy). Jako przykład uczciwości i bezinteresowności, opowiada autor o Fabrycyuszu, co następuje:

Fabricius, gdy k niemu Epirocki poseł
Przyszedł, dźwigając złoto, iako iny osieł,
Dawaiąc, aby pokóy oni ludzie mieli,
Y ieszcze więcey złota postępić mu chcieli,
Powiedział: „wolę ia ty mieć, co złoto maią,
Niźli złoto, co mi go co chcą udzyelaią:
A gdyż Rzeczpospolita nie iedney osobie
Iest zwierzona, tey życzę więcey, niźli sobie.

O Metellusie czytamy, pomiędzy innemi, że, gdy ujrzał niejakiego Hermoneusza, jak grał w kości, zganił mu to surowo, mówiąc, iż „kostkami paraią się [1]) łotrzykowie w lesie". Kilka wierszyków poświęca Rej Juliuszowi Cezarowi, który pewnego razu, „ułapion od Piratów", żartował sobie z nich i groził, że, skoro tylko wolność odzyska, wnet powywieszać ich każe;

Y wszytko im wypełnił, poczekawszy mało,
Gdy już był na swobodzie, — wszytko się tak sstało!

Innym znów razem, kiedy jechał do Tyguru, „zaiechali mu drogę Szwaycerowie chudzi", a gdy mu słudzy podali konia, odpowiedział, że koń potrzebny będzie wtedy dopiero, kiedy nieprzyjaciel zacznie uciekać. A oto w jaki sposób streszcza Rej poglądy Cezara na rzemiosło rycerskie:

Tak powiedał o walce, iż, iako lekarze
Pirwey człeka wysuszą, daiąc mu lektwarze, [2])
A potym mu krew puszczą, to iuż za zysk maią,
A tych sztuk w swym rzemięśle radzi używaią:
Takżeć nieprzyiaciela pirwey trzeba zmorzyć,
A potym go żelazem y czym możesz trwożyć,
Bo iako na świeżego [3]) kto chce prętko wskoczyć
Wnet czasem choćbyś nierad, musisz nazad kroczyć.

Innymi przedstawicielami rzeczypospolitej rzymskiej są Scypionowie, Emiliusz Paulus, Sylla, Krassus, Pompejusz, Antoniusz i t. d. Z epoki cesarstwa największemi względami u Reja cieszy się August, — większemi nawet, niż Aleksander Macedoński, ponieważ

[1]) Zajmują się.
[2]) Lektwarz, elektwarz — lekarstwo z proszków, rozpuszczonych w syropie.
[3]) Na niezmęczonego nieprzyjaciela.

nie marzy on zupełuie, jak ten, o zdobyciu całego świata; według niego,

. . . . „ten lepszą część świata posiada,
Który tu swemi państwy s poczciwością włada".

A przytém był August dla swych poddanych wyrozumiałym, wspaniałomyślnym, pozwala im nawet mówić o sobie, co im się podoba:

Niechayżeć też to prawo wżdy chudym [1]) zostanie,
Iż, gdy prawda, niech wolno mówić im o panie."

Za bogactwami nie goni i, kiedy dworzanie radzą mu, aby nabył skarby, pozostałe po śmierci jakiegoś skąpca, odpowiada:

. . . . . . „dowiedzcie mi się od kogo pewnego,
Ieśliże dobrze sypiał: tę poduszkę iego
Naradszey [2]) bych ia kupił do łoża swoiego,
Bowiem ten, o tym [3]) myśląc, strzegąc y zbierając,
Musiał pewnie dosypiać, by na grudzie zaiąc."

Na innych cesarzów jest Rej mniéj już łaskawym, mniéj przeto udziela im miejsca w swym „Zwierzyńcu". O Klaudyuszu opowiada, że, gdy dworzanie błagali go, aby jakiemuś przestępcy „cześć przywrócił, dobrym go uczynił", taką dał im odpowiedź:

. . . . . . „widacie, ranę kiedy barwierz goi,
Przedsię jednak bliznę znać, y długo tak stoi; [4])
Zgoięć ia, [5]) aleć blizna od głowy do szyie,
A ledać iey taraskiem [6]) iście nie zakryie".

Cesarzowi Adryanowi poczytuje autor za osobliwą zasługę, iż nawet w czasie pokoju ćwiczył żołnierzy, mówiąc:

. . . . „zawżdy szczęśliwszy w pokoiu,
Który sobie pomyślał powoli o boiu."

A podobnie jak August, tak i Adryan był wspaniałomyślnym— do tego stopnia, że, wstąpiwszy na tron, zaniechał zemsty względem swych dawnych nieprzyjaciół.

Mamy także w rozdziale pierwszym „Zwierzyńca" anegdotę o Konstantynie Wielkim i matce jego, Irenie:

---

[1]) Chudy, chudzina — ubogi lud, pospólstwo.
[2]) Najchętniej.
[3]) T. j. o swych skarbach
[4]) I długo jeszcze jest znaczna.
[5]) Mogę wybaczyć mu winę.
[6]) Rodzaj daszka do zasłaniania twarzy.

Konstantin a Irene, sławna matka iego,
    Gdy w Bizancium państwa używali swego,
Znalezyono człowieka w grobie umarłego,
    Na nim srebrna tabliczka s tym napisem iego:
„Ia umieram, a wierzę w Kristusa onego,
    Ten, który ma z żywota wynidź panieńskiego,
„A ty, słońce, Irene, gdy królować będzye,
Wtenczas mię zasię iawnie masz okazać wszędzye.“

Oprócz znakomitych mężów zwróciły na siebie uwagę Reja niektóre niewiasty starożytne. Spotykamy więc np. w „Zwierzyńcu“ Atenkę Leenę, która „język sobie ugryzła“, aby nie wydać przed sądem Harmodyusza i Arystogitona, mimo iż była kochanką „okrutnika“ Pizystratesa, na którego życie ci dwaj młodzieńcy godzili: „Lepidę, tebańską panią“, która nie o to pyta gońca, powracającego z pola bitwy, czy synowie jéj pozostali przy życiu, lecz o to, czy bitwa wygrana; Lukrecyę, „która o swą poczciwość sama się zabiła“, i inne.

Nareszcie, jak to już nadmieniliśmy, uwzględnił autor historyą średniowieczną; zaraz na pierwszym liście chwali cesarza Karola:

. . . . snadź po Aleksandrze za naszego wyeku
Nie było nigdzie równia takiemu człowieku.

Z historyi bizantyjskiéj czytamy następującą anegdotę o cesarzu Leonie:

Lew Cesarz chciał doświadczyć, co stróże działali:
    Szedł, iako nieznaiomy, więc go poimali,
A kiedy ie darował, wolno go puścili.
    Trefił potym na drugie, — barzo go ubili.
Kazał im rano stanąć: ci się nie przyznali,
    Drudzy mu powiedzieli, iż kogoś chwostali. [1])
Gdy im blizny ukazał, barzo się lękali,
    Ony kazał kiyem tłuc, ci darów nabrali.

Dalej, umieścił Rej na kartach „Zwierzyńca“ wspaniałomyślnego króla Alfonsa XI Kastylskiego, który puszcza wolno Maura, czyhającego na jego życie; Alfonsa XII, któremu nawet „Abeinuz, król pogański“ pomocy nie odmawia; Wilhelma Zdobywcę „hetmana normandiyskiego“, co „przeprawił się na Insulę [2]), a Nawy [5]) ony wszytki roskazał popalić“, aby uniemożliwić swym hufcom ucieczkę. Na tychże kartach Ludwik Bawarski wygłasza sentencyą, że:

---

[1]) Chłostali, bili.
[2]) Na wyspę.
[3]) Okręty.

. . . . nie na urodzie
Iście męstwo zależy, ni na wielkiey brodzie,“

a cesarz Zygmunt oświadcza, że, „cnoty, sprawy, rozumu“ monarcha nikomu udzielić nie może, gdyż dary te pochodzą od Boga i t. d., i t. d.

III.

Zachodzi teraz pytanie, jakie źródła dostarczyły Rejowi materyału do ułożenia pierwszego rozdziału „Zwierzyńca“. Co do osób biblijnych — łatwa odpowiedź, że Rej, jako tłómacz psalmów i autor „Postylli“ znał doskonale Pismo Święte; powtóre z niektóremi postaciami biblijnemi spotykamy się w „Zodyaku“ Palingena, będącym źródłem „Wizerunku“ Reja. W tymże poemacie poety włoskiego mamy np. opowieść o Faetonie, którego umieścił także Rej w „Zwierzyńcu“. Lecz skądże dowiedział się on — „prostak“, jak sam siebie często nazywa, o innych podaniach mitologicznych, gdzie wyczytał „zacne sprawy“ Persów, Greków, Rzymian? I na to pytanie wnet można znaleźć odpowiedź: wszak dzieła autorów rzymskich, które w podobne widomości obfitują, były już dawno znane w Polsce, — już w XV wieku wykładano w akademii krakowskiej Waleryusza Maksyma, [1] autora słynnego dzieła *Factorum et dictorum memorabilium libri novem*, a dzieła filozoficzne Cycerona, jako to: „Rozmowy Tuskulańskie“, „O obowiązkach“ i inne, które zawierają w sobie sporo przykładów z życia znakomitych ludzi, wydawano przez cały ciąg wieku XVI w Krakowie. Nadto r. 1510 ukazał się u Hallera „Zarys historyi rzymskiej“ Eutropiusza, [2] r. 1526 — u Wietora „Historya naturalna“ Pliniusza, [3] który często opowiada o cnotach przodków i t. d. Mógł więc Rej znać te i inne utwory literatury rzymskiéj, mógł dowiedzieć się z nich o Pirrusie, Fabrycyuszu, Aleksandrze Wielkim i t. p. Zresztą wiadomo, że w r. 1518 wpisał się Rej w poczet uczniów akademii krakowskiéj, a chociaż niedługo tam przebywał, jednak może to i owo o uszy mu się obiło, tutaj to może nasłuchał się o „rozlicznych świeckich burdach“, „iako pływali po morzu, y gdzye Scilla y Karybdis bywa“, tutaj może dowiedział się, „iako Circes ludzyom głowę odmieniała, albo iako Ulixes pływał, albo co Helenka broiła, albo co Penelope czyniła“; tutaj wresz-

---

[1] J. Kallenbach. Les humanistes polonais. Fribourg (Suisse), 1891, str. 9.
[2] Jocher, T. I, str. 55.
[3] Tamże, str. 67.

cie może nabył dorywczych wiadomości nie tylko z mitologii, lecz i z historyi starożytnej? Ale wiemy, że Rej w czasie pobytu swego w akademii nie przysiadywał zbytnio fałdów nad książką, bo, jak wyraża się Trzycieski, „już rozumiał, co iest dobre towarzystwo“, a potém, w Żórawnie, gdzie „z rucznicą a z wędką biegaiąc około Niestru, aż do ośmnaście się lath ćwiczył, bąki strzelaiącz“, wywietrzało mu zapewne wszystko z głowy. Dopiéro późniéj, od czasu gdy na dworze Andrzeja Tęczyńskiego „iął się iuż był przegryzować potrosze i łacińskiego pisma czytać“, wziął się, nieborak, zawstydzony swém nieuctwem, do pracy i czytywał niezawodnie pisarzów rzymskich.

Jednak z drugiéj strony,—nie mówiąc już o tém, że w pismach wymienionych autorów brak wielu anegdot z historyi starożytnéj, osobliwie zaś greckiéj, które znał Rej, a które zdobią karty późniejszych rzymskich, albo też greckich historyków,—spytajmy się, skąd się wzięły w „Zwierzyńcu“ opowieści o Wilhelmie Zdobywcy, o książętach bawarskich, o cesarzach niemieckich lub królach hiszpańskich? miałżeby Rej znać kroniki średniowieczne? Trudno zgodzić się na to [1]). Daleko prostszém i prawdopodobniejszém będzie przypuszczenie, że korzystał przeważnie z gotowych zbiorów anegdot, z kompilacyi współczesnych. Tak też było z pewnością: nie ulega wątpliwości, że Rej miał w ręku „Apoftegmaty“ Erazma z Roterdamu, tudzież kompendyum Fulgoza w przekładzie łacińskim. Oto są dowody.

Na liście 27 opowiada nasz autor o Sulpicyuszu, co następuje:

Sulpicius w Egipcie miał dwa własne syny,
    Które mu tam pobito marnie bez przyczyny.
Kleopatra Królowa wnet morderce one
    Posłała mu do Rzymu, iako obwinione.
Ten ie zasię odesłał, dziękuiąc Królowey,
    Prosząc o sprawiedliwość ku krzywdzie gotowey,
Która każda z urzędu musi być sądzona:
„Mnie samemu katem być — rzecz nie przyrodzona“.

---

[1]) Wprawdzie „Kronika świata“ Marcina Bielskiego, która niezawodnie nie była obcą Rejowi, mogła mu dostarczyć materyału do niejednéj anegdoty, tak np. anegdotę o oblężeniu Akwilei przez Attylę, którą opowiada Rej w „Zwierzyńcu“ (list 20), cytuje także Bielski (list 212, wyd. z r. 1554). Obadwa dzieła zawierają w sobie anegdotę o Kakanusie, którego Bielski (tamże) królem węgierskim i bulgarskim nazywa, kiedy tymczasem Rej mieni go księciem bawarskim (list 24); to już więc dowodzi, że nie z Bielskiego korzystał tu Rej. Zresztą w „Kronice świata“ nie znajdziemy wielu opowieści, które mieszczą się w „Zwierzyńcu“.

Tę samą powiastkę czytamy w „Apoftegmatach“ Erazma, z tą jednak różnicą, że Erazm opowiada ją nie o Sulpicyuszu, lecz o Marku Bibulusie: „M. Bibulus stracił w Egipcie dwu niepospolitych zdolności synów, których zamordowali żołnierze gabiniańscy. Kleopatra kazała okuć morderców w kajdany i posłać Bibulusowi, aby ten wymierzył im karę według swej woli. Bibulus jednak nie tknął ich nawet i rozkazał odesłać ich Kleopatrze, mówiąc, że prawo zemsty przysługuje nie jemu lecz senatowi“. I w innych kompendyach zachodnio-europejskich odnosi się ta opowieść do Bibulusa. Skądże więc w „Zwierzyńcu“ wziął się Sulpicyusz? stąd, że w „Apoftegmatach“ Erazma bezpośrednio po przytoczonéj anegdocie następuje inna anegdota o Sulpicyuszu [1]. Widoczną zatém jest rzeczą, że Rej po przeczytaniu tych dwu, a może i więcéj anegdot, zapomniał, kogo one dotyczą, i stąd pomylił się w imionach własnych.

Zupełnie taki sam dowód przemawia za tém, że Rej, układając pierwszy rozdział „Zwierzyńca“, miał przed oczami przekład łaciński Fulgoza. Na liście 46 czytamy:

Talancia Spartańska, gdy syn z bitwy przybiegł,
Pytała, co się stało z ludźmi, a ten iey rzekł,
Że wszyscy porażeni. Ta kamień popadła, [2]
Dała mu w łeb, aż skóra na nim się przepadła. [3]
„O nieszczęśliwy pośle! radszeybych widziała,
Bych tę była nowinę skąd inąd słyszała,
A ty byś tam był został, gdzie cnotliwi leżą,
Niżliś tu s tymi przyszedł, co z niecnotą bieżą“.

Fulgozo opowiada tę samą anegdotę, lecz wcale nie wymienia nazwiska dzielnej Spartanki: „Podobnież inna Spartanka nader surowo obeszła się ze swoim synem, wracającym z pola bitwy: gdy na pytanie, jak stoją sprawy ojczyste, odpowiedział, że wszyscy polegli, schwyciła cegłę i tak silnie zraniła go w głowę, iż ducha wyzionął; matka zaś rzekła: „Ciebież to więc przysłano tutaj, abyś mi zwiastował tak straszną i bolesną nowinę?“ Erazm (146, 12) także nie zna imienia „Talancyi“ Reja. Omyłka ta zaś zaszła wskutek tego, że w dziele Fulgoza tuż po tej anegdocie następuje inna — pod tytułem: „O Talancyi Spartańskiej, matce Pedareta“.

A teraz, kiedy już wiemy, z jakich to źródeł korzystał Rej, możemy postawić inne pytanie: w jaki sposób wyzyskał je nasz poeta? O tłómaczeniu dosłownem mowy nawet być nie może, choćby

---

[1]) G. Sulpitius Gallus uxorem repudiavit etc.
[2]) Schwyciła.
[3]) Rozerwała się wzdłuż, pękła.

już dla tego, że forma dzieł Erazma i Fulgoza jest prozaiczna, Rej każdą anegdotę w wierszowaną przyobleka szatę. Już „Wizerunk“ najlepszym jest dowodem, że Rej nie robi sobie zbyt wielkich ceremonii ze swemi pierwowzorami; tego samego dowodzi „Zwierzyniec“. Aby się o tém przekonać, zestawimy kilka anegdot Reja z odpowiedniemi anegdotami Erazma i Fulgoza.

Nikostrat, Grecki Hetman (list 42).

Archidam, Lakoński król, kiedy słał do niego.[1])
By zamek dał, a wielkie dary wziął od niego,
Ten mu wskazał, iż „ten pan musiał nie być w rodzie
Nigdy Herkulesowi, bo ten karał srodze
Każdègo, niecnotliwie gdy co począł sobie,
A gdyby był na świecie, dałby kiyem tobie,
Bo iako ty s czasem sam nie masz drugich zdradzić,
Gdy mnie na niepoczciwe śmiesz bespiecznie radzić?“

Erazm, 401,36. „Kiedy Archidam kusił Nikostratesa, aby mu poddał twierdzę Cromnum, to obietnicą wielkiéj sumy pieniężnéj, to widokami małżeństwa z jaką sam tylko zechce Lacedemonką, ten odrzekł, iż Archidam nie pochodzi chyba z rodu Herkulesa, kiedy bowiem Herkules, tułając się po świecie, niecnotliwym karę wymierzał, Archidam przeciwnie— z cnotliwych rad by uczynić niecnotliwych. A trzeba wiedziéć, że Lacedemończycy najwięcéj się tém chełpią, że pochodzą od Herkulesa“

Antigon Macedoński król (list 23).

Uyźrzał syna, a on się z dworzany obchodzi
Iakoś śrogo, a spyszna między nimi chodzi.
Rzekł mu: „Azasz ty nie wiesz człowieka zacnego,
Iż poczciwa układność płatnieysza u niego?
Na Miedźwiedzia, a na Lwy, a na człeka złego —
Tam masz zawsze używać umysłu hardego.
Zasz niewiesz, iako mądrzy nasze dworstwo zową?
Nędzą zacną a wołem chudym z złotą głową“.

Erazm, 287, 36. „Tenże (Antygon), widząc, że syn jego zbyt srogo i zpyszna obchodzi się ze swymi podwładnymi, rzekł mu: „Czyż nie wiész, synu, że królestwo nasze jest niewolą, tylko że niewolą, błyszczące mającą pozory?“ Jakże to rozumnie powiedziane! Zwierzchnik nie mniejsze posłuszeństwo winien narodowi, jak naród zwierzchnikowi, tylko że zwierzchnik czyni to z godnością, ale skądinąd jest to w istocie zobopólną niewolą“.

---

[1]) T. j. do Nikostratesa.

Anaximenes Philozoph z Alexandrem (*list 24*).

Lampsaku Aleksander gdy na poły dobył,
Wyszedł Anaximenes stamtąd, co go uczył.
Rozumiał król, iż będzie wnet tu płaczu dosyć,
Przysiągł, iż „nie uczynię, ocz mię będzie prosić“.
Philozoph, że rozumiał przyrodzenie iego,
Przyszedszy, uczynił tę proźbę do niego,
Aby miasto wnet zborzył. Król pokóy dać musiał,
Bo przysiągł, iż dla niego nic udziałać nie miał.

Erazm, *538*, *5*. „Aleksander postanowił był zburzyć Lampsak. Już zabierał się do szturmu, gdy wtém wyszedł naprzeciw niemu nauczyciel jego, Anaksymenes, aby prośbą błagalną ocalić ojczyste miasto od zguby. Aleksander, przeczuwając, o co go prosić będzie, rzekł: „Przysięgam, że nie uczynię tego, o co Anaksymenes będzie mnie prosił“. Wtedy Anaksymenes rzecze: „Proszę cię, abyś zburzył Lampsak“. W ten sposób podszedł Aleksandra, który, pomny danéj przysiegi, darował życie tym, których postanowił był zgubić.“

Aleksander Wielki (*list 5*).

Kiedy przyszedł pod zamek, co był dziwney mocy,
Powiedzieli Hetmani: „Szkoda psować nocy,
„Bo to zamek tak twardy! — ludzi potracimy,
„Sami się, potrudziwszy, nic nie uczynimy.“
Ten rzekł: „nic nam o zamek: o tym by się pytać,
„Co na nim roskazuje, iako o nim słychać,
„Bo ieśliżeć kto mocny, zamek będzie twardy,
„Ale ieśliżeć dudek, nie będzieć nam hardy“.

Erazm, *271*, *24*. „Aleksander dowiedział się, że w Indyach znajduje się skała, tak wysoka, że nawet ptaki dosiągnąć jéj nie mogą, a stąd ἄορνος (t. j. pozbawiona ptaków) zwana, że nadto miejscowość ta jest nader trudna do zdobycia, lecz że ten, co tam rządzi, jest tchórz. „Teraz“, rzekł Aleksander, „wiem już, że łatwo miejscowość tę zdobyć“, rozumiejąc przez to, że warownia nic nie pomoże, jeżeli dzielny mąż jéj nie broni; albowiem bezpieczeństwo twierdzy zależy nie tyle od rowów i murów, ile od dzielności załogi.“

Edgardus, *Król Britański* (*list 14*).

Edgardus, Britański Król, był na wzroście mały,
Ale na na wielkiém sercu był bardzo zuchwały.
Rzekł ieden: „patrz, jaka to mała kreatura,
„Wżdy się go ludzie boią, by Gołębie Kura“.

A ten, się dowiedziawszy, na stronę z nim iechał,
Wziął miecz, iemu dał drugi, by się z nim skosztował,
A ten prosił o łaskę. Król rzekł: „widasz wiele,
„Iż bywa wielkie serce y przy małym ciele“.

Fulgozo, fol. 98. „Edgar sprosił kiedyś na ucztę wszystkich podwładnych sobie książąt. Wśród uczty powiedział mu ktoś, że Rynand, król szkocki, zobaczywszy, jak maleńkiego jest wzrostu, wobec innych osób wyraził swe zdziwienie, iż on sam tudzież inni książęta, mężowie dzielni a wzrostu słusznego, dobrowolnie ulegają temu człowieczkowi. Na to Edgar nie odrzekł ani słowa, lecz zaprowadził Rynanda na polowanie i odłączył się z nim od reszty myśliwych, a gdy w ten sposób pozostał sam na sam z Rynandem, dał mu jeden miecz, sam wziął drugi, mówiąc, że pragnąłby wypróbować jego waleczność, aby przekonać się, czy czyny jego odpowiadają słowom. Rynand przeląkł się niewymownie i błagał o przebaczenie, które też wreszcie uzyskał, gdyż wspaniałomyślny a ufny w swe męstwo Edgar, chiał mu tylko pokazać, że nie przypadek, lecz męstwo królem go uczyniło.“

Alexander Wielki (list 5).

Czedł ieden list taiemny; Antipater słuchał,
Któremu, jako sobie, bardzo wiele dufał:
Przedsię zyął sygnet z palca, włożył mu na gębę:
„Pamiętay na tę pieczęć, chociać wierzyć będę.“
Wielka rzecz taiemnica, kto się komu zwierzy,
Bowiem ten członek ięzyk bardzo wolno bieży.
Ale kto się rozmyśli, a ma gi na pieczy,
Temu nic nie przekażą złe i dobre rzeczy.

Erazm, 267, 14. „Czytał pewnego razu Aleksander list od matki, który zawierał w sobie jakieś tajemnice, a pomiędzy innemi potwarz przeciwko Antypatrowi. Jak zwykle, tak i teraz, czytał wraz z królem i Hefestyon ów list, i król nie wzbraniał mu tego, lecz, po przeczytaniu listu, zdjął z palca pierścień z pieczątką i przycisnął mu go do ust, chcąc mu przypomnieć, że tajemnicę przy sobie zachować winien. Oto przykład zaufania do przyjaciela, a jednocześnie rzadkiej szlachetności! Nie życzył sobie Aleksander, aby potwarz rozeszła się po świecie, mimo iż rzeczywicie miał Antypatra w podejrzeniu.“

Emilius Rzymski (list 40).

Ten, kiedy był poraził srodze Macedony,
Perseusza hetmana iuż wiódł w swoie strony.

Prosił, by go w triumphie okazować nie dał.
Ten mu rzekł: „a wszakeś to zawżdy w swey mocy [miał:
Albo było nie zwodzić bitwy, albo się bić,
A żywo się iuż było nie dawać ułapić.
Ale kiedyć nieszczęście iuż tak posłużyło,
Musisz przyjąć za dobre; rozmyślić się było".

Erazm, *424*, *13*. „Gdy Perseusz dostał się do niewoli, błagał Emiliusza, aby nie prowadził go w tryumfie; ten jednak odpowiedział: „Sam sobie winieneś, gdyż, jeżeli nie byłeś pewny zwycięstwa, mogłeś poledz w bitwie."

Na podstawie przytoczonych przykładów możemy wytworzyć sobie pewne pojęcie, w jaki sposób Rej ze swych źródeł korzystał. Erazm i Fulgozo opowiadają jedne anegdoty w krótkich słowach, inne znów obszernie, kiedy tymczasem Rej zamyka każdą w ośmiu wierszach: stąd jedne opowieści musiał koniecznie rozszerzać, inne zaś skracać; rozszerzał w ten sposób, że niektóre, słowa głoszone przez osoby występujące w angdotach, peryfazuje, gdy zaś zmuszonym był skrócić opowieść, wtenczas opuszczał ten lub ów szczegół, skracał sentencyą moralną i t. p. Słowem pożycza autor z obcego źródła treści jedynie, a tę własnemi już wykłada słowy; zupełnie tych samych wyrazów lub zwrotów jakie posiada pierwowzór, widzimy w wierszykach Reja bardzo niewiele, a i to wcale nie upoważnia do wniosku, że Rej tłómaczył je dosłownie, i świadczy, co najwięcéj o tém, że autor, pisząc swe powiastki, miał może niekiedy przed oczami Fulgoza i Erazma albo téż, że pisał niektóre z nich wkrótce, po przeczytaniu odpowiednich anegdot. Niektóre szczegóły zmienia Rej całkiem dowolnie tak np. w anegdocie o Kakanusie, księciu bawarskim (list 24), ten ostatni rozkazuje ściąć żonę Gizulfa, gdy tymczasem Fulgozo opowiada, że inną obmyślił jéj karę [1]). Cesarz rzymski Oton udziela w „Zwierzyńcu" różnych rad i wskazówek nie swemu synowcowi, jak to opowiada Erazm, lecz synowi [2]). Niektórych szczegółów w przytoczonéj anegdocie o Aleksandrze Macedońskim Rej nie zrozumiał: wszakże Erazm wyraźnie powiada, że Aleksander czytał list od matki wobec Hefestyona i że Antypatra miał nawet w podejrzeniu; Rej tymczasem o Hefestyonie przemilcza i każe czytać list Aleksandrowi w obecności jego nieprzyjaciela, Antypatra. Raz nawet imię własne zmienił Rej zupełnie dowolnie, co jednak przemawia

---

1) Fol. 222.
2) Erazm, 471, 4 — Rej, list 29.

tylko za tém, że ze swych źródeł samodzielnie a we właściwy sobie sposób korzystać potrafi. Na karcie 90 mianowicie podaje Fulgozo, co następuje:

„Równie szczęśliwym trafem osiągnął tron królewski i wielką cieszył się sławą Lamuzyusz III, król Longobardów. Matka wrzuciła go, jak to ze swemi dziećmi czynić była zwykła do rowu z wodą (który po longobardzku nazywa się *lama*); przypadkiem ujrzał go tam Algemund, król longobardzki, wziął więc włócznię w ręce, zapuścił ją do rowu i wyciągnął dziecię, które mocno chwyciło się jéj rączkami. Litując się nad niedołężnośnią niemowlęcia, kazał je Agelmund wykarmić, a z uwagi, że ujrzał malca po raz pierwszy w „lamie“, przezwał go Lamuzyuszem. Ten to Lamuzyusz tak potém męstwém się wsławił, że otrzymał po śmierci starego króla królestwo, a pokolenie jego królowało Longobardom w wielkiéj sławie aż do Alboina.“

Podobała się Rejowi ta powiastka, chciał ją więc zamieścić w swoim „Zwierzyńcu“; ale, myślał sobie zapewne, jak tu oddać w języku polskim grę słów longobardzkich „lama“ i „Lamusius“? wnet spostrzegł, że dosyć jest jednę tylko literę zmienić w wyrazie „lama“, a będzie wyraz polski „jama“, zaś cesarz „Lamusius“ niechże się nazywa „Jamuzyus“. Wziął więc pióro i napisał:

Niewiasta w iamę dziecię, co w niey woda była,
    Wrzuciła. Cesarz idąc uźrzał: ano pływa.
Chciał go włócznią ratować: ręką ułapiło,
    Aż go wywlókł na suszę co tak duże było.
A Cesarz, dziwując się, kazał ie wychować,
    A iż go z iamy wyiął, Jamuzius przezwać.
Owa, nie długo pisząc, on pan młody z iamy
    Został potym Cesarzem, rządził wielkie pany.

Oprócz kompendyów Fulgoza i Erazma z Roterdamu, musiał Rej z innych jeszcze korzystać źródeł, gdyż opowiada dosyć dużo takich anegdot, których nie przytacza ani Fulgozo, ani Erazm, — ale z jakich mianowicie, trudno odpowiedzieć, a to dlatego, że autorowie kompilacyi anegdotyczno-historycznych są po większéj części w bardzo ścisłéj zależności względem siebie, — do tego stopnia, że jedni przepisują częstokrotnie swe anegdoty najzupełniéj dosłownie od innych; tak np. Likostenesa można nazwać wprost plagiatorem Erazma. W obec tego, aby dać dokładną i wyczerpującą odpowiedź, jakiemi środkami posiłkował się Rej, trzebaby poprzednio zbadać stopień wzajemnego pokrewieństwa, jaki zachodzi pomiędzy współ-

czesnemi mu zbiorami łacińskiemi anegdot, nakreślić ich kartę genealogiczną; zadanie zaś to, jeżeli nie niemożliwe, lecz nader trudne, a przedewszystkiém do najwyższego stopnia niewdzięczne [1]).

IV.

Widzieliśmy już, że kompilatorowie zachodnio-europejscy trzymali się w swych kompendyach téj lub owéj metody, — aczkolwiek nie zawsze konsekwentnie; bądź co bądź, u wszystkich, daje się spostrzedz dążenie do pewnéj systematyczności. Tymczasem, po przeczytaniu pierwszego rozdziału „Zwierzyńca", przekonywamy się, że Rej żadną nie kieruje się metodą,—ani chronologiczną, ani alfabetyczną, ani, chociażby nawet, etnograficzną. Na pierwszym liście „Zwierzyńca" figuruje cesarz Karol, po nim bezpośrednio — Trajan, następnie Ligurg, Lizander, Pedaret, potém Zeleukus, Filip Macedoński; albo, naprzykład, po Agezylauszu następuje August, po Auguście „Galenus", Teodozyusz, wreszcie... Ajaks i Hektor. Nie podobna również

---

[1]) Oto wykaz anegdot Reja, które zapożyczyć mógł z Erazma i Fulgoza. *List 1.* Likurg = Erazm, 96, 99. — *L. 2.* Lizander = Er. 96, 100. Pedaret = Er. 103,27. Filip = Er. 260, 23 = Fulg. 173. — *L. 3.* Tenże = Er. 253, 2 = Fulg. 213. Tenże = Er. 258, 17. Tenże = Er. 260, 24. Tenże = Er. 263, 31. Tenże = Er. 262, 28. Tenże = Er. 257, 15. — *L. 4.* Tenże = Er. 254, 5 = Fulg. 132. Aleksander = Er. 261, 4 = Fulg. 70. Tenże = Er. 275, 44 = Fulg. 96. — *L. 5.* Tenże = Er. 277, 58. Tenże = Er. 271, 24. Tenże = Er. 271, 25. Tenże = Er. 267, 14. Tenże = Er. 272, 30. — *L. 6.* Tenże = Er. 277, 57. Tenże = Er. 279, 66. Scypion = Er. 526, 50. Alcybiades = Er. 394, 2 = Fulg. 213. — *L. 7.* Agatokles = Er. 368, 1 = Fulg. 89. Antyoch = Er. 380, 27. August = Fulg. 67. Semiramida = Er. 351, 8. — *L. 8.* Fryderyk = Fulg. 231. Król Arragoński = Fulg. 284. — *L. 9.* Adryan = Fulg. 60. — *L. 10.* Agis = Er. 37, 99. Tenże = Er. 39, 8. Cyrus = Er. 379, 24 = Fulg. 216. — *L. 11.* Garzyas = Fulg. 126. — *L. 12.* Artakserkses = Fulg. 132. Królowie egipscy = Fulg. 58. — *L. 13.* Wilhelm = Fulg. 98. Alfons = Fulg. 137. — *L. 14.* August = Er. 305, 60 = Fulg. 132. Perykles = Er. 392, 18 = Fulg. 135. Edgard = Fulg. 98. — *L. 15.* Konstantyn = Fulg. 42. Argo = Er. 147, 16. Leena = Fulg. 85. — *L. 16.* Agezylausz = Er. 9, 16. Galenus = Er. 492, 4. — *L. 17.* Alfons = Fulg. 136. Tymokleon = Fulg. 138.—*L. 18.* Pesceniusz = Er. 483, 1.—*L. 19.* Dyonizyusz = Er. 199, 49. — *L. 20.* Zygmunt = Er. 698, 50. Aleksander = Er. 266, 11. — *L. 21.* Baldwin = Fulg. 143. Alfons = Fulg. 184.— *L. 22.* Antygon = Er. 281, 6. Tenże= Er. 281, 8. Tenże = Er. 282, 9. — *L. 23.* Tenże = Er. 285, 23. Tenże = Er. 287, 30. Amazys = Fulg. 213. August = Er. 289, 6. Tenże = Er. 291, 13. — *L. 24.* Tenże = Er. 292, 17. Tenże = Er. 299, 40. Kakanus = Fulg. 222. — *L. 25.* Pirrus = Er. 379, 20. Tenże Er. 379, 21. Tenże = Er. 380, 26. Tenże = Er. 379, 22 = Fulg. 213. — *L. 26.* Eudamidas = Er. 60, 82. Antygon = Er. 286, 27. *L. 27.* Tenże = Er. 282, 10. Sulpicyusz = Er. 521, 26. Metellus = Er. 446, 1. —

dopatrzyć się w „Zwierzyńcu" metody systematycznéj: obok przykładów waleczności, wiary małżeńskiéj, sprawiedliwości, umieszcza autor przykłady zmienności fortuny, nieśmiertelnéj sławy i t. p. Można wprawdzie zauważyć pewne dążenie Reja do zaprowadzenia jakiego takiego ładu wśród mnóstwa anegdot, a to pod tym względem, że opowieści o téj saméj postaci historycznéj, jako to o Filipie, Aleksandrze Wielkim, Antygonie, Auguście, Cezarze i innych, umieszcza jedną po drugiéj; ale i to nie zawsze, czasem bowiem są te anegdoty odgrodzone od siebie sporą liczbą kart; tak np. o Aleksandrze mówi autor na listach 4, 5 i 6, a potém jeszcze 20 i 41, o Adryanie — na karcie 9 i 30, o Likurgu na liście 1, a ciąg dalszy mamy dopiéro na listach 40 i 41.

Ten brak metody i systematyczności mniéj zresztą zapewne razi czytelnika, niż cały szereg błędów historycznych i anachronizmów, jakie znajdzie w pierwszym rozdziale „Zwierzyńca", a jakie są również w „Wizerunku", wydanym o cztery lata wcześniéj; widocznie autor nie wiele skorzystał z historyi w czasie tego czterolecia. W „Zwierzyńcu" nie odróżnia on króla epirskiego, Pirrusa, od króla indyjskiego, Porusa, a wskutek tego powstaje poważny anachronizm, że Aleksander Macedoński prowadzi wojnę z władcą Epiru. Podobieństwo zewnętrzne dwu imion własnych wywołało prawdopodobnie tę

L. 28. Lakon = Er. 109, 13. Sylla = Er. 451, 24 = Fulg. 72. Popiliusz = Er. 448, 11. — *L. 29.* Krassus = Er. 455, 8 = Fulg. 158. Antoniusz = Er. 453, 4. Tenże = Er. 452, 1. Aurelian = Er. 493, 4. Oton = 471, 4. — *L. 30.* Tyberyusz = Er. 460, 7. Klaudyusz = Er. 464, 16. Adryan = Er. 476, 3 = Fulg. 105. Tenże = Er. 477, 8. Romulus = Er. 513, 96. — *L. 31.* Cezar = Er. 307, 1. Tenże = Er. 312, 27. Tenże = Er. 313, 32. — *L. 32.* Kokcejusz (Nerwa) = Er. 476, 8. Pompejusz = Er. 316, 6. Tenże = Er. 314, 3. Pesceniusz = Er. 483, 3 = Fulg. 60. Fabrycyusz = Er. 523, 35. — *L. 33.* Tamerlan = Fulg. 90. Kserkses = Er, 352, 12. Psamenit = Er. 539, 9. — *L. 34*, Pelopidas = Er. 410, 4—5. Epaminondas = Er. 403, 8. Tenże = Er. 408, 31. — *L. 36.* Gelon = Er. 360, 45—47. Focyon = Er. 322, 4. Tenże = Er. 322, 5. Tenże = Er. 323, 8. — *L. 37.* Tenże = Er. 324, 10. Kleomenes = Er. 70, 13. Tenże = Er. 71, 14. — *L. 38.* Arcezylaus = Er. 128, 82. Agis = Er. 36, 94. — *L. 39.* Lizymach = Fulg. 77. Jamuzyusz = Fulg. 90. Hanibal = Fulg. 225. Tenże = Er. 416, 31. Tenże = Er. 417. 34. — *L. 40.* Tenże = Fulg. 261. Emiliusz = Er. 424, 13. — *L. 41.* Tenże = Er. 81, 58. Anaksymenes = Er. 538, 5. — *L. 42.* Nikostrates = Er. 401, 36. — *L. 43.* Dawid — porówn. Fulg. 73. Gedeon — tamże. — *L. 44.* Judyta = Fulg. 266. Porcya = Er. 457, 5. Lukrecya = Er. 514, 100. — *L. 45.* Frydegunda = Fulg. 226. Artemizya = Fulg. 228, Olimpia = Er. 580, 96. Taż = Er. 580, 98. — *L. 46.* Taż. = Er. 702, 45. Asferya = Fulg. 189. Talancya = Fulg. 155. Matka Hirkanowa = Fulg. 84. — *L. 47.* Arrya = Fulg. 123. — Numeracya listów jakoteż wszelkie cytaty ze „Zwierzyńca" — według wydania pierwszego.

omyłkę. W ten sam sposób tłómaczyć sobie należy, że Rej nie odróżnia Pirrusa od Cyrusa, który rozprawia w „Zwierzyńcu“ z filozofem Cyneasem. Szczupłość wiadomości historycznych Reja sprawiła, że Agatoklesa, Peryklesa, Pelopidasa tytułuje królami, a Krassusa, Pompejusza, Antoniusza — cesarzami. Autor nie wié nawet, że Kleon był Ateńczykiem i nazywa go „królem lacedemońskim“. Rej, który „z granice polskiey milę nigdzie nie wyiechał“, wystawiał sobie może, że w obcych krajach, pomimo innych zwyczajów i obyczajów, urządzenia państwowe są zupełnie te same, co w jego ojczyznie, że i tam są hetmani, starostowie, „panowie“ i t. d.; a więc Gedeon był, według niego, „hetmanem żydowskim“, hetmanami byli również Fabrycyusz i Nikostrates; Metellus i Celezynus — to „panowie“, a Gelorych otrzymuje zaszczytne miano „starosty hiszpańskiego“. W tym względzie zapatruje się Rej na historyą wprost przeciwnie, niż większość innych autorów polskich wieku XVI, a zwłaszcza historyków, którzy, przesiąkłszy ideami humanistycznemi, wyobrażali sobie, że państwo polskie jest jakoby kopią rzeczypospolitéj rzymskiéj, a stąd, na wzór historyków-humanistów włoskich, tytułują urzędników i dygnitarzy polskich konsulami, trybunami i t. p. Ściśle biorąc, są to nie mniejsze i równie rażące anachronizmy, bynajmniéj nie zgadzające się z prawdą historyczną, jak anachronizmy których Rej się dopuszcza.

Z imionami własnemi obchodzi się Rej niemiłosiernie: Spartańczyka Pedareta nazywa „Pedardem, panem lacedemońskim”, cesarza rzymskiego Galiena — „Galenem, królem sycylijskim”, cesarza Pesceniusza Czarnego—„Pesceniuszem, hetmanem rzymskim”, Psamenita—„Psaumechusem” i t. d.

Nie poczytujemy jednak Rejowi tych błędów historycznych za zbyt wielką winę, gdyż dalekim był on od zamiaru kształcenia swych czytelników w historyi powszechnéj. Przecież już we wstępnéj przemowie zapowiedział, że chodzi mu o zbudowanie czytelników za pomocą różnych chwalebnych przykładów; a tę samę myśl wypowiedział i przy końcu rozdziału pierwszego, — po anegdotach o walecznych i cnotliwych czynach niewiast historycznych:

Przetomci ten paniami koniec zahartował,
Byś lepiey myśl y serce na ocel [1]) ukował;
Bo gdy w tym słabym stanie wżdy takie bywały,
Które, więcey niż gardła, sławy swey strzegały,

---

[1]) na ocel—mocno, silnie.

A cóż tobie przystoi, gdyżeś ty ich głową,
A ieszcze ktemu pięknie Rycerzem cię zową,
Żeś powinnieyszy baczyć na swe powinności,
A obaczay marny świat w dziwney omylności.

Ale i w poszczególnych anegdotach ten pierwiastek dydaktyczny przebija się bardzo wyraźnie: a to w postaci nauki lub sentencyi moralnéj, którą się kończy ta lub owa anegdota; sentencye zaś te są zupełnie w tym samym rodzaju i duchu głoszone, w jakie obfituje „Wizerunk". Niektóre nauki moralne Rej zapożyczył z „Zodyaku" Palingena, lecz przyswoił je sobie tak gruntownie, uwierzył w ich prawdę tak bezwarunkowo, że stały się one częścią jego własnéj duszy, a dowodem—„Żywot człowieka poczciwego", w którém to dziele wyznaje autor te same zasady etyczne. Przypatrzmy się téj dydaktyce Reja w rozdziale pierwszym „Zwierzyńca" w porównaniu z dydaktyką, zawartą w „Wizerunku". W obu dziełach autor jest zdania, że prawdziwa cnota nie potrzebuje by najmniejszej ozdoby, będąc sama przez się ozdobą najświetniejszą:

Takżeć y cnotliwego mało zdobić trzeba,
Albowiem iego sława leci aż do nieba [1]).

Podobnież w „Wizerunku" powiada o cnocie:

. . . . blasku nie potrzeba przydawać, gdzye złoto:
Samo się zawżdy błyszczy, a czyrni się błoto [2]).

To też człowiek rozumny nie powinien dbać o swą postać zewnętrzną, nie powinien zdobić swéj twarzy: oto Filip Macedoński oddalił pewnego urzędnika za to jedynie, że farbował sobie brodę, bo i cóż to pomoże, jeśli cnoty nie masz:

Niech farbuie każdego z przyrodzeniem cnota,
Bo odmieniać urodę szpetna to robota [3]).

To samo mniéj więcéj wygłasza Rej w „Wizerunku":

Bo acz iest rzecz osobna, kiedy przyrodzenie
Pięknie więc y kształt komu y urodę mieni....
Lecz to przedsię bez cnoty—na głogu iagody [4]).

---

[1]) Lizander, list 2.

[2]) VII, 645 nast. (według przedruku Ptaszyckiego, Petersburg—Warszawa, 1881 — 1888).

[3]) Filip, list 2.

[4]) I, 169 nast.

W inném znów miejscu powiada:

Ale gdy się kto cnotą nadobnie przystroi,
Za każdym sława woła, iż tak chodzą moi,
Bo wierę do tey żadne nie pomogą bramy,
Ni perły, ni łańcuchy, ani żadne kramy [1]).

Myśl, tak często wypowiadaną w „Wizerunku", że człowiek powinien walczyć ze swemi namiętnościami [2]), aby nie wpaść w ponętne sidła występku, powtarza autor w „Zwierzyńcu":

Samson to dziwny mocarz był za czasu swego,
Że paszczęki roździerał u Lwa okrutnego;
A potym go niewiasta marna okróciła:
Prze swą wszeteczną sprawę o śmierć przyprawiła.
Pomnisz też ty, Samsonie, każdy wieku swego,
Iż masz na się zawżdy Lwa, srodze ryczącego;
Strzeżże się wszeteczeństwa świata obłudnego,
Pewnie zgromisz tego Lwa w imię Pana swego.

Jedną z najgłówniejszych zasad etyki Reja jest ta, że człowiek powinien być zawsze zadowolony ze swego stanu, nie pożądając nigdy niczego, co przechodzi jego możność i siły; w „Zwierzyńcu", opowiedziawszy nieszczęśliwą przygodę Faetona, formułuje autor tę zasadę w sposób następujący:

Takżeć się z każdym dzieie, kto się w wielkie rzeczy
Wdawa, a co przystoi, nie miewa na pieczy:
Wóz złamie, sam się stłucze y szkody naczyni,
Bo perłami hawtować nie przystoi świni.

Oprócz dydaktyki dostrzega czytelnik w rozdziale pierwszym „Zwierzyńca" pierwiastku satyrycznego. Tak np. w anegdocie o bohaterskim czynie Scewoli ze smutkiem autor powiada, że Polacy nie dbają o dobro publiczne:

Ale za naszych czasów gdzie taki Scewola!
Bo trudno o myśliwca do takiego pola.

A w anegdocie o Kurcyuszu woła:

Wieleżby Kurciusów takich dzisia znalazł!
Snadźby, niżby tam wskoczyć miał, radszey by gi oblazł,
A snadź drudzy na urząd ty doły kopaią,
S których wielkim uciskiem ludzi zarażaią.

---

[1]) II, 217 nast.; porów. także I, 370 n., V, 325 n., XII, 1035 n. i *passim*.
[2]) Porów np. XII, 827 nast.

Przeciwko uciskowi włościan przez szlachtę wymierzone są wyraźnie ostatnie wiersze opowieści o Herkulesie:

Równie tak Herkulesi dzisieyszego świata
 Rychley sobie uczyni wnet złoczyńcę brata,
A nędznika, gdzie może, iako myszkę dłaży [1]),
 Bowiem więcey na skórę, niż na mięso waży [2]).

I czemuż to tak źle dzieje się w kraju? dla tego, że brak tu należytego prawodawstwa i sprawiedliwych, bezstronnych sądów, któreby ujmowały się za biednymi i uciśnionymi. Minęły czasy, gdy sprawiedliwość królowała na świecie, — a dawniéj byli na ziemi sprawiedliwi sędziowie: oto np. cesarz Trajan nie przebaczył nawet rodzonemu synowi, który roztratował dziecko biednéj kobiécie! U nas inaczéj:

Ach! gdzyesz tego statutu do Polski dostali,
 Nie takby nędzni ludzye w uciskach płakali!
Ale dziś nie o syna, lecz snadź y o Kozę
 Znaydzyesz wnet Wilczy dekret, a Zaieczą grozę!

V.

Rozdział drugi „Zwierzyńca“ mieści w sobie epigramaty na całe rody i familie szlacheckie w Polsce, tudzież na znakomitych mężów rzeczypospolitéj.

Poezya epigramatyczna została wskrzeszoną przez humanistów włoskich, a z Włoch rozpowszechniła się szybko po całéj Europie zachodniéj, tak że nie było prawie poety w epoce odrodzenia, któryby się nie ćwiczył w tym gatunku. Rzec można, że wysilano się w wynajdywaniu coraz to nowych i dziwacznych pomysłów i motywów: pisywano epigramaty na cnoty i występki, na przeróżne postaci i figury alegoryczne, na zwierzęta, rośliny, planety; na miasta, góry, rzeki, źródła; na rozmaite zajęcia ludzkie, jako to: myśliwstwo, żeglugę; na narzędzia gospodarskie, na rzeczy do ubrania służące, jak np. na lusterko lub perfumy; słowem—nie było prawie rzeczy, któraby się nie wkradła do poezyi epigramatycznéj. Nie wszystkie te przedmioty nadają się do poezyi wogóle, a do poezyi epigramatycznéj w szczególności; nie wszystkie więc epigramaty XV i XVI wieku zasługują na to miano, jednak wydawano je zwykle pod tą,

---

[1]) dusi, dławi.
[2]) ważyć na co = godzić na co.

a nie inną nazwą [1]). Ale największą wziętością cieszyły się epigramaty na ludzi—na królów, na dostojników świeckich i duchownych, na autorów i t. p.; koloryt ich bywa to ironiczny, to panegiryczny, lecz nie brak także „epigramatów", w których przeważa pierwiastek dydaktyczny. Z Włoch dostał się epigramat do Polski; Krzycki i Dantyszek chętnie tę niwę uprawiali, pisząc np. krótkie wierszyki na cześć króla Zygmunta. Niewątpliwie i naszemu Rejowi wpadły w ręce zbiory epigramatów, nic więc dziwnego, że i jemu przyszło na myśl spisać „poczciwe przypadki" „stanów y domów niektórych zacnego narodu Polskiego."

Jak Arat od Zeusa, tak Rej zaczyna od „onego zacnego Zygmunta sławnego Króla Polskiego" (Zygmunta Starego), którego, podobnie jak Krzycki [2]), porównywa z Jowiszem:

Iupiter był zacny król za wieku złotego,
Y dziś na wieczną pamięć sławna gwiazda iego
Imieniem iest przezwana, gdyż swym przyrodzeniem
Łaskawie się obchodzi z ludzkim pokoleniem:
Właśnie też nasz Iupiter Zygmunt polski prawy
Może być zwan, kto wspomni iego święte sprawy,
Że mało się ściągały na własne pożytki.
Zawżdy się więcey starał o poddane wszytki.

Po Zygmuncie Starym następują Zygmunt August, królowe Bona i Katarzyna, następnie dygnitarze świeccy i duchowni, a potém już inni panowie i szlachta — krakowska, wielkopolska, podgórska, sandomierska, ruska, lubelska, podolska, przemyska, wreszcie „Stany Księstwa Litewskiego". Nadto pomieścił Rej w „Zwierzyńcu" jednego cudzoziemca, który, długie lata w Polsce mieszkając, spolszczył się zupełnie: jest nim Piotr Royzyusz, Hiszpan. Wszystkich epigramatów liczy wydanie pierwsze 177, drugie — nieco więcéj. Wobec téj dość pokaźnéj liczby zdawać by się mogło, że czytanie drugiego rozdziału „Zwierzyńca" monotonne sprawiać będzie wrażenie „gdyż wszystkie epigramaty mają właściwie ten sam temat, — cnoty i przymioty, — a takich epigramatów bez powtarzania się łatwo napisać dziesięć, trzydzieści, lecz trudno—prawie dwie setki. Tak jednak nie jest, raz dla tego, że autor dostrzegał w swych współobywatelach coraz to innych przymiotów, a powtóre — że

---

[1]) Ob. wypisy z poetów łacińskich, wydane w kilkunastu tomach we Frankfurcie, r. 1612: „Delitiae poëtarum italorum", „Delitiae poëtarum gallorum", „Delitiaë poëtarum germanorum", „Delitiae poëtarum belgicorum."

[2]) II, 29 str. 79, wyd. Morawskiego.

umiał wyszukiwać coraz to inne motywy poetyczne. I tak np. w Zbigniewie Sienieńskim podnosi Rej wielką rozwagę i rozum, „co się tu w tym łbie wierci“, wypowiadając swe uznanie w słowach następujących:

Pewnie na nim przytraci, gdy go kto za głupca
Kupi, bo nierychło nań zasię znaydzye kupca.

Za te same przymioty wychwala kasztelana Żarnowskiego i dom Cikowskich, ale już w inny sposób, choć nie mniéj dobitny; ród ten, powiada, pewnie „się nie za piecem u cieląt ćwiczył“, lecz na pańskich dworach do rycerskiéj zaprawiał się sprawy. O Stanisławie Zamojskim znów mówi, iż, chociaż „domowego ćwiczenia“, a jednak tak jest mądry, że i „miły Włoszek“ go nie oszuka, Charakterystyczne są słowa o rozumie królowéj Bony:

Rozum miała, że y dziś ta niewieścia główka
Sławna w Polszcze, y długo pamiętne iey słówka;
Włoszka była — z narodu, *gdzye się rozum rodzi*,
Naślachetnieyszy klenot, *lecz, co nazbyt, szkodzi.*

Bo téż Rej zawsze pytał więcéj o moralną wartość, niż o wykształcenie umysłowe człowieka, więcéj o to co w sercu, niż co w głowie, nie dziw przeto, że najchętniéj chwali w „Zwierzyńcu“ tych, których cnota i prawość charakteru zdobi. A więc Katarzyna, żona Zygmunta Augusta, nie przeto na uwielbienie zasługuje, że „cesarza Oyca miała, a Striya drugiego“, lecz że pilnuje „cnoty s poczciwością“, bo cnota — oto „nazacnieyszy przodek“; więc i Bolestraszycki, choć ród jego ani jednym nie szczyci się filozofem, jednak wart pochwały, jako „dobry człek cnotliwy“, a to — „wielki tytuł“; więc i gniazdo Komorowskich jest nieskalane i „by śkło przeźroczyste“:

Nigdy się nie staraią, aby mędrowali,
Iedno aby poczciwie swóy stan zachowali.

Rozumie się, że, jeżeli kto cnotę z rozumem pogodzić potrafi, to jeszcze lepiéj [1]), a i takich ludzi nie brak, według Reja, w Polsce, bo oto np. u Łukasza z Górki, wojewody łęczyckiego,

. . . cnotę tam z rozumem dobrym funtem mierzą,
A dworstwa z uczynnością tak y na borg ważą.

Chełmscy — także nie „prostacy“, ale to nie przeszkadza, że

---

[1]) Porów. sentencye Reja w rozdziale I „Wizerunku“: „Rozum s cnotą zmięszany nalepszy“, „Cznota zacnyeysza nauką ozdobiona“ i t. p.

,,w tym, co przystoynego, zawżdy się ćwiczyli". Na wielkie uznanie zasługują także ci, co wolni wszelkiéj obłudy i fałszu, nie kłamstwem, nie podstępem, lecz prawdą do celu zmierzają; wojewoda bełski i jego ród

. . . . prostą idą drogą,
Nie płyną przeciw wodzye, brzegu się chwytaią,
A co iest poczciwego, o tym się pytaią.

Tak samo postępuje podkomorzy chełmski, Jan Orzechowski:

Każdemu w oczy powie, co mu się nie widzi,
Bo o prawdę poczciwą nikt się nie zawstydzi.

Nie zbywa Polsce i na takich, co, choć obsypani i zaszczytami lub cieszący się względami fortuny, jednak wzbraniają pysze przystępu do swego serca, zawsze pokorą się sprawując; dowodem—Andrzej Bzicki, kasztelan chełmski: ,,u niego szczęście ma gospodę" i ,,prawie, by Słowik, gniazdo sobie zwiło", on zaś to wszystko ,,skromnie niesie". Bóg nie zapomina o pokornych, przeciwnie — opiekuje się i ,,strzela nimi wysoko": w nagrodę za pokorę ,,spełnił się Magnifikat" nad Przerębskim, — został arcybiskupem.

W niektórych mężach widzi autor kilka naraz pięknych zalet, tak że jest w kłopocie, czy zdoła je godnie ocenić; tak np. o Janie Ocieskim, kanclerzu koronnym, te słowa powiada:

To iuż tu nie móy rozum tę głowę szacować,
Bo by tu namędrszemu trzeba rozumować:
Ano wszytkiego pełno, aż się usypuie,
A któż może zrozumieć, co się tam sprawuie?

Podobnież wprawia go w kłopot ,,szacowanie" Jana Mielęckiego, wojewody poznańskiego:

Na tę główkę trzebaby długo rozumować,
Ktoby tam chciał porządnie wszystko zreyestrować,
Bo rozum, dworstwo, dzielność — wszystko się zmięszało,
A trudnoby szacować, czego nie dostało.

Jeżeli zaś każden wogóle cnotliwy i zacny człowiek znajduje łaskę w oczach Boga, a miłość u ludzi, to tém więcéj człowiek, który, mimo młodych lat, zajaśniał już cnotami, — ponieważ młodość jest krewka i raczéj do występku, niż do cnoty, skłonna:

Augustin między dziwy przednieyszymi świata
Pisze: młodego człeka — dziw nawiętszy — lata,
Które, iako Marcowe dni, każdey godziny
Mięszaią się, a zawżdy złe o nich nowiny.

Tedyć ieszcze więtszy dziw, kto swoiey młodości
Umie znaleść wędzidło na ty odmienności.
Patrzże na to cne panię, tego Tęczyńskiego, —
Stare cnoty y sprawy znaydzyesz w leciech iego.

Taka sama pochwała spotyka Polanowskiego: „młody człek, lecz się o to stara, co staremu należy“. I z Mikołaja Łaskiego, starosty w Krasnym Stawie, „młodzi ludzie pewnie mogliby przykład brać“, — mimo lat młodych, potrafił zjednać sobie szacunek w kraju i za granicą, a to dzięki „dworstwu, kstałtom, postawam, cnotam, obyczaiom.“

Kto więc chce stać się z czasem poczciwym człowiekiem, niechaj już w młodości ćwiczy się w cnocie, gdyż tylko zamłodu „przirodzenye, iako witka roście“ i „kędy ią chcesz nachylić, tędy roście“ [1]), niechże zatém człowiek jeszcze w młodości „farbuje“ przyrodzenie „poczciwém ćwiczeniem“. Tak właśnie postępuje Jan Krzyżtoporski, tak Jan Tarnowski; tak postępował Jan z Czarnolasu, i praca jego piękne téż wydała owoce.

Znany jest pogląd Reja, że w życiu publiczném, piastując różne urzędy, niełatwo cnotę zachować; Trzycieski powiada o nim, że „urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać, powiedał, iż w zatrudnionym żywocie dwa co naślachetnieysze klenoty ociążone być muszą — wolność a sumnienie, które, powiedał, iż w zabawionym żywocie nigdy bespiecznie być nie może“. Nie zmienia autor swego zdania w „Zwierzyńcu“, jeżeli np. chwali Jana Włodzisławskiego, że porzucił „trudności“, jakich pełno w „dworskich i rycerskich sprawach“ a natomiast „iął się miłej swobody, by rodzonéj ciotki“ i „cnocie posługuje“.

Zobaczmy teraz, jakiemi to motywami, posługuje się Rej w swoich epigramatach. Często bardzo znajduje już w nazwisku temat do napisania wierszyka; i tak np. nazwisko „Kościeleccy“ wyprowadza od słowa „kościół“, a więc temat już gotowy:

Ci nie chcieli Striymi być prawie leda komu,
Woleli s Panem Bogiem idź z iednego domu,
Bo się piszą z Kościelca, a starszy s kościoła

Nazwisko „Balowie“ przypomniało Rejowi bożka pogańskiego „Baala“, któremu kłaniano się za dawnych czasów; wprawdzie „naszy Balowie“ nie są bogami, lecz niemniéj przeto „pewnie godni sławy“. Ród Ostrorogów słusznie nosi to miano, bo:

---

1) Wizerunk, I, 266.

Ostro na swą powinność baczą w każdey rzeczy,
Ostro y Boiaźń pańską miewaią na pieczy, —

słowem „wszytko około nich ostro zakowano“. Podobnież starosta międzyrzecki, Stanisław Lwowski, słusznie tak się nazywa,

Bo chłop chodzi, iako lew, y z zawiłą głową,
A choć nie ma paznokciów, zda mi się by ścisnął,
Pewnie, kogoby dopadł, w garści by mu pisnął.

Ale nie zawsze nazwisko odpowiada przymiotom serca i umysłu; np. nazwisko „Wołowicz“ najzupelniej nie godzi się z wartością moralną człowieka, który je nosi, „bo stoi ten Wołowicz iście za Jelenia“, jako téż i Bojanowskiego raczéj „Śmiałowskim“ należałoby nazwać,

Bowiem śmiele każdemu bez pochlebstwa wszego
Namówił szczyrey prawdy, aż szło do żywego.

Słusznie i niesłusznie zarazem nosi pewien ród polski nazwisko „Wilczkowie“: słusznie—, ponieważ podobnie jak wilkom, nie zbywa im na śmiałości; niesłusznie—, gdyż „z drugiey strony z Wilczki tym się nie zgodzili, iż nie drapią cudzego, na swym przestawaią“.

Raz jeden nie w nazwisku, lecz w imieniu znalazł Rej treść dla epigramatu: Jazłowieckiemu z Buczaca na imię Jerzy, i wnet przypomniał sobie autor zapewne, że widział gdzieś na obrazie, jak święty Jerzy „Smoka gromił, a o iakąś królewnę drzewo oń swe złomił“: tak i Jazłowiecki bije smoka, ale „nie onego, co skrzydły maluią“:

Lecz ten nasz Polski Jerzy stada Buczackiego
Gromił y gromić będzye smoka pogańskiego,
Służąc oney Królewnie, Pospolitey rzeczy.
A maiąc zacne sprawy iey zawżdy na pieczy.

Te przykłady pokazują, jak szybko odbywał się w głowie Reja proces asocyacyi pojęć, i w jaki sposób umiał z tego korzystać. A oto jeszcze jeden przykład: Leśniowolskiego przezywano gołębiem, gołąb' zaś jest symbolem Ducha Świętego, a że Leśniowolski jest człowiekiem zacnym, można więc napisać, że mu Duch Święty

. . . . przezwiska dał urywek swego,
Bo go nadchnął, że baczy, co iest poczciwego.

Następnie mamy w „Zwierzyńcu“ epigramaty, w których motywami poetycznemi są herby rodów polskich. W tym względzie naśladował Rej zapewne humanistów, rodzaj to bowiem epigramatu, nadzwyczajnie rozpowszechniony w poezyi humanistycznéj, a i poezyi polskiéj bardzo wcześnie przyswojony; w jednéj z najstarszych

książek polskich „Ekklezyastes“ z r. 1522 czytamy wiersz na herb „Łoś“, którym pieczętował się Mikołaj Wolski. Do tego samego motywu uciekają się nasi humaniści, jak Krzycki, Nidecki, Trzycieski i inni. Rej, dedykując swój „Wizerunk“ Janowi Tarnowskiemu, pisze „Wirsze na Herb“ jego, a w „Zwierzyńcu“, wychwalając zasługi Tworowskich z Buczaca, którzy mieli w herbie „Pilawę“, wyobrażającą krzyż, powiada:

Krzyżmi się pieczętuią, a nie bez przyczyny:
Znać, że dufaią temu, co starł wszech nas winy. [1])

Stanisława Szafrańca z Pieskowej Skały herbu „Stary Koń“ nazywa autor „źrzobkiem“, którzy, „chociaż nie bywał na paszach kraiu postronnego“, mimo to „sobie sam sprawił twardy munsztuk s cnoty“, a do tego ostróg mu nie potrzeba, „bo się sam sprawuie“.

Innym znów motywem epigramatów Reja jest postać zewnętrzna lub uroda człowieka: są w Polsce mężowie, którzy, acz zbywa im na urodzie fizycznéj, jednak świecą innym swą wartością moralną. Służowski, wojewoda włocławski, ma wprawdzie „krzywą nogę“, ale za to „prostą cnotę“; tak samo Royzyusz, „choć ma krzywe oczy, ale rozum — ten, wierz mi, iż mu prosto kroczy“. Ciekawym jest koniec epigramatu na Royzyusza, [2]) świadczący, że szlachta polska za czasów Reja nie zapomniała jeszcze o znakomitym humaniście, Filipie Buonacorsi, doradcy króla Olbrachta:

Mieliciechmy téż kiedyś owe Kalimachy,
Lecz, gdy ie wspominaią, y dziś ony strachy.

Nareszcie ucieka się czasem Rej do porównania znakomitych mężów polskich z bohaterami starożytnymi lub z postaciami biblijnemi. Andrzej hrabia z Górki, starosta gnieźnieński, swą piękną postawą podobien Parysowi, ale za to męstwem — Hektorowi: jak bowiem Hektor bronił „oney zacney Troiyey“ tak i ten, gdyby jakie nieszczęście spotkało ojczyznę, walczyłby za nią z równém męstwem:

Stałby nam za drugiego ten cny pan Hektora,
Bo tam takich potrzebniey bywa, niż Doktora.

W Janie Tarnowskim widzi Rej Herkulesa polskiego:

On się s Smoki, s Hidrami, s srogimi Lwy gonił,
Ten Wołochy, Tatary, Turki, Moskwę gromił.

Bernard Pretwic, starosta trębowelski, o którym nawet „Ka-

---

[1]) List 87, wydanie drugie; w pierwszém nie ma tego epigramatu.
[2]) List 77, wydanie drugie.

tony Tatarskie" piosnki śpiewają, „wspomniawszy zbite męże",— to „drugi Hannibal Kartagiński". Stanisława Lasockiego porównywa autor z prorokiem Elizeuszem, ponieważ „mieszka w Pańskiej boiaźni s swą poczciwą żoną".

VI.

I tak wszędzie podnosi Rej zalety współczesnych sobie mężów, wychwala ich cnoty, — może więc mają jego epigramaty charakter panegiryczny? Zapewne, co do treści są te wierszyki poniekąd panegirykami, lecz co do celu, intencyi autora, są one raczéj *carmina adhortatiwa*; że Rej nie z pochlebstwa, nie z chęci pozyskania sobie względów chwali „stany i domy niektóre ~~domu~~ zacnego narodu polskiego", dowodzi epigramat na kasztelana sandomierskiego, Stanisława Maciejowskiego, w którym autor bardzo wyraźnie zastrzega się przeciwko tym, którzy chcieliby mu może zarzucić pochlebstwo względem dostojników rzeczypospolitej albo możnych rodów:

> Patrząc na tę osobę w tym mi możesz wierzyć,
> Że tu cnotę, uprzeymość może korcem mierzyć.
> Iuż ostatek przypuszczam twemu rozeznaniu.
> Abych nie był w pochlebstwie u ciebie w mniemaniu.

Jak pierwszy rozdział „Zwierzyńca", tak i drugi miał pouczyć czytelnika, wskazać mu, jakiemi to rzeczami powinien „się parać", innemi słowy jest tu autor znów poetą dydaktycznym i w tym względzie różni się wielce od humanistów, którzy (z małemi wyjątkami), pisząc epigramaty na cześć znakomitych lub wpływowych ludzi swego czasu, chcieli w ten sposób pozyskać ich łaskę albo zapewnić sobie poparcie w otrzymaniu jakiéj korzystnéj posady, z drugiéj zaś strony pragnęli unieśmiertelnić ich imię; epigramat panegiryczny bowiem był w epoce odrodzenia, według nadzwyczaj trafnego wyrażenia Burckhardta, [1]) niczém inném, jak „skoncentrowaną formą sławy",— jednego z najwyższych ideałów, do którego humaniści, za przykładem Petrarki, dążyli.

Że Rej miał na celu przedewszystkiém pouczanie swych współbraci, na to, prócz przytoczonéj przemowy „Do tego, co czyść ma", wskazują liczne moralizacye, któremi kończą się często epigramaty

[1]) Ob. jego znakomite dzieło „Die Cultur der Renaissance in Italien" (Dritte Auflage, Leipzig, 1887), tom I, str. 308.

na mężów polskich. Jak np. epigramat na Stanisława Odrowąża, wojewodę ruskiego, kończy się następującą sentencyą:

A takżećby snadź miał być każdy stan poczciwy
Pomnieć na swą powinność, póki iedno żywy,
Bo rychleyby ze cnoty każdemu służyli,
Niż z muszoney niewoley łaiąc czołem bili.

W epigramacie na Suchodolskich powiada autor:

Takież naszemu bratu, kiedy zblednie cnota,
Nie pomoże, byś na nim nawieszał y złota.

Czasem nawet sentencya moralna zajmuje większą część epigramatu:

Chełmscy w Krakowskiey ziemi nie prostacy byli,
Bo w tym, co przystoynego, zawżdy się ćwiczyli.
Bowiem się ten każdy stan pięknie poleruje,
Gdy cnocie bez wykrętów na wszem przysługuje.
Bo acz mogą do czasu ozdobić wykrętki,
Ale to na niecnotę barzo iest szpieg prętki.
Ale ty prostym torem, Ślachcicze nieboże,
Idź, boć się Wąż zataić pod trawą nie może.

A ileż to razy kładzie Rej nacisk na to, że cnota już na tym świecie zapłatę odbiera, że na człowieka prawego spływa widome błogosławieństwo Boże! Przemowa zaś do Polaków, zamykająca „stany y domy narodu polskiego" najwyraźniej świadczy, że przewodnią myślą autora było pouczanie rodaków:

Otóż macie swe przodki, macie y pogany,
A co iest sława, cnota, rozeznaycie sami.
Prze Bóg! mili Polacy, ostrzegayciesz tego,
Byście ni w czym nie lżyli rodu tak sławnego,
Bo to szczęśliwym woyskiem y postronni zwali,
Gdzye Polacy z inemi narody bywali.
Widzicie, żeć też ludzye, iedno iż ich cnota
Zawżdy sławnieysza była, niźli innych złota.

Satyry nie ma prawie wcale w rozdziale drugim „Zwierzyńca": widzimy jéj tu mniéj jeszcze, niż w pierwszym. Dwa razy zaledwie potrąca autor o tę strunę, — raz w epigramacie na Jana Włodzisławskiego, gdzie powiada, że, gdyby więcéj było w Polsce takich zacnych ludzi, „siłaby pamiętnego Sędzyemu ubyło," drugi raz — w epigramacie na Słupeckiego, gdy mówi o zamiłowaniu Polaków do strojów cudzoziemskich.

Wreszcie zaznaczyć wypada, że mamy tu jeden wierszyk treści

politycznéj, poruszający kwestyą ostatecznego połączenia się Litwy z Polską; była to wówczas sprawa na czasie, stanowiła ona jednę z części składowych wielkiego programu naprawy rzeczypospolitéj, a jako taka długo i szeroko w kołach politycznych i na sejmach była omawiana. Zabrał więc w niéj głos i Rej, wzywając Litwinów do zgody z Polakami w widokach ich własnego dobra:

To się państwo nie czuje, iż na spasi [1]) siedzi,
A źli z nim tuż o miedzę ze wszech stron sąsiedzi,
A przedsię się z motyką y na słońce miece,
A kto sordyt i nie duż, baczyć tego nie chce.
Ano więc wrzeszczy Kokosz, kiedy dwa iastrząbi,
Ieden rano, a drugi z wieczora ią gnąbi.
Radziłbych, by Poznania, Lwowa a Krakowa
Dzyerżeli się, bo by im gładsza była głowa.

Co do wartości wierszyków drugiego rozdziału „Zwierzyńca", bardzo trafnie ocenił je p. Bełcikowski w słowach następujących: „Są to wprawdzie drobne obrazki pańskich i szlacheckich rodów, jakby miniatury, ale odznaczające się wielkiém wykończeniem i (o ile nas może historya w tém oświecić) najzupełniejszém podobieństwem. Rej nakréślił je z całą bystrością swego postrzegawczego umysłu i ze znajomością nawskroś serca i natury szlacheckiéj. Zdaje się, że każdy z tych obrazków odskakuje od tła; tyle Rej umiał w nie wlać życia i tak odróżnić je od siebie. Widzimy w nich tę szlachtę, jakby ruszającą się i żyjącą, z jéj odrębnemi charakterami rodowemi, z jéj osobistemi przymiotami i wadami, wiemy prawie, jak który wyglądał, — czyli celował męstwem, dwornością lub nauką, czy lubiał zaglądać do kufla lub rwał się łatwo do korda. Poeta, któryby umiał rozszerzyć te obrazy swą fantazyą, znajdzie w nich gotowe szkice figur do powieści lub epopei szlacheckiéj, a ci, którzy lubią zaglądać do herbarzów, podobniejsze tu ujrzą wizerunki swych przodków, niż u wszystkich heraldyków" [2]).

Wśród tych wizerunków pomieścił Rej i swój własny, podobnież jak humaniści, którzy pomiędzy epigramatami, pisanemi na cześć różnych osób, nie zapominali o sobie. W „Zwierzyńcu" pięćdziesięciosiedmioletni autor powiada, że nie pragnie już uciech świata tego, przekładając nad nie spokój zacisza domowego:

---

[1]) w miejscu, otwartém na napady nieprzyjacielskie (dosłownie „spas" znaczy tyle, co łąka wypasiona).

[2]) Ze studyów nad literaturą polską. Warszawa, 1886, str. 24.

Iuż ty kołac, iako chcesz, bótem podkowanym,
    Iuż się więc tam przypatruy ścianam malowanym,
Biegay za nastołkami, a polewki chwatay,
    A iako, kędy możesz, tak swe szczęście łataj;
Iam, iuż tak doma siedząc, obrał sobie pokóy,
    Bogum wszystko poruczył, ty tam s kim chcesz rokuy.
Bo tak słyszę, iż ten Pan przed wszytkimi płuży,
    A nikt na żadnym Królu więcey nie wysłuży [1]).

D. n. *Ignacy Chrzanowski.*



[1]) Źródło tego wierszyka podaje sam autor w „Żywocie człowieka poczciwego“: „Nadobne wierszyki łacińskie ieden także spokoyny pan nad łószkiem był sobie kazał napisać:

Stet quicunque vult sublimi lubricus in aula,
    Me tamen nil faciat at sola dulcis quies.

„Co po polsku tak może właśnie wyłożyć:

Niech się kto chce dziwuie ścianam malowanym,
    Niech też kto chce kołace bótem podkowanym,
Mnie iuż nic nie smakuie, iedno wdzięczny pokóy,
    A ty iuż tam u dwora wierę co chcesz rokuy“. (Wyd. Gałęzowskiego, część III, str. 158).



KOŁYSANKA.



Matce poświęcam.

Cicho, cicho te bieguny
Kołyseczki się kołyszą,
Palą się zachodu łuny,
Świat oddycha ciszą.

Wolno, wolno kołyseczka
W obie strony się zachwieje,
Na główinę dzieciąteczka
Zachód blaski leje.

I przyroda — taka cicha
W téj zachodu melancholii,
Mały przez sen się uśmiécha
W zorzy aureoli.

Kołysz, kołysz go, matuchno,
Niech stukają w takt bieguny,
Nim westchnienia nocy zdmuchną
Te zachodu łuny...

. . . .

Pociemniało już powietrze,
Szarym zmierzchem się nalewa,
Krwawe zorze są już bledsze,
Cicho szumią drzewa.

Tęskne szumy, jak westchnienia,
Zmierzchem cicho, cicho płyną,
Mrok izdebkę już ocienia
Tą szarą godziną...

. . . .

Zblakły już zachodu łuny,
Przędza zmierzchu świat osnuwa,
W takt kołyszą się bieguny,
A matuchna czuwa.

Jakieś tęskne zamyślenie
Zawisnęło nad jéj czołem,
Jakby miała hen! w przestrzenie
Ulecićć — aniołem...

Na anielskich białych skrzydłach
Wzbiłaby się na wyżyny,
Gdyby nie plątała w sidłach
Miłość do dzieciny.

Miłość wielkim głosem woła
I zwycięża w téj rozterce,
O, bo w piersi téj anioła
Bije matki serce!

. . . .

Wolno, wolno na główeczkę
Syna spuszcza się jéj ręka,
Nogą rusza kołyszeczkę,
Z ust płynie piosenka.

Ale piosnka cicha, cicha,
Któréj dźwięki w mroku giną,
Mały przez sen lekko wzdycha
Tą szarą godziną...

. . . .

„Śpij dziecino, już...“ Bieguny
W takt, miarowo się kołyszą,
Zgasły już zachodu łuny,
Świat oddycha ciszą...

„Czarne oczka zmruż...“ W izdebce
Płyną cichych dźwięków fale,
Matka nuci przy kolebce,
Drzewa szumią żale.

Księżycowy żagiel złoty
Wzdął się na tém wklęsłém morzu,
Płynie, bo weń dmą tęsknoty
W bezmierném przestworzu...

„W bramie dziad wyciąga rękę...“
W takt kołyszą się bieguny,
„Pies rozerwał mu sukienkę...“
Drgają żalu struny.

I w izdebce cicho płynie
Tych łagodnych dźwięków fala,
Noc w bezsennéj téj głębinie
Milion gwiazd zapala.

I melodya ta słabiuchna
W księżycowéj płynie ciszy,
Rozśpiéwała się matuchna,
Bóg ją w niebie słyszy...

Wacław Wolski.





Syndykaty przemysłowe.

(Dokończenie). *)

VI.

Jakkolwiek syndykaty przemysłowe w żadném z państw Europy i Ameryki nie rozwinęły się w tym stopniu, jak w cesarstwie niemieckiém i Stanach Zjednoczonych, nie możemy jednak pominąć milczeniem syndykatów w pozostałych państwach. Spotkamy się tam bowiem z innemi stosunkami prawnemi, i z innemi dążeniami społecznemi i z inną organizacyą syndykatów.

„*Chambres Syndicales*,“ izby syndykalne francuskie, nie są syndykatami przemysłowemi, w ścisłém tego słowa znaczeniu. W sferze rzemiosł i przemysłu są one rodzajem wolnych cechów (jak niemiecki „*Innung*,“ ale bez żadnych przywilejów) pod opieką i kontrolą rządu. Członkami izby są bądź sami przedsiębiorcy, bądź sami robotnicy, bądź jedni i drudzy razem; w sferze znów rolnictwa izby syndykalne łączą w sobie charakter prowincyonalnych towarzystw rolniczych (kółek rolniczych) z charakterem stowarzyszeń kredytowych i spożywczych [1]).

*) Zob. „Ateneum,“ zeszyt czerwcowy r. b., str. 597.

[1]) Bliższe szczegóły o syndykatach rolnych we Francyi, pomieściło „Ateneum“ w r. 1890, tom IV, str. 421.

Artykuły 419 i 420 kodeksu kryminalnego francuskiego nakładają karę na każdą zmowę, dążącą do podniesienia lub obniżenia ceny jakiegobądź towaru; kara ta (art. 420) dochodzi do 2 lat w wypadku, gdyby przedmiotem zmowy było zboże, mąka, chléb, wino, lub inne napoje. Syndykat przemysłowy jest zatém we Francyi przestępstwem ulegającém karze, tém niemniéj praktykowaném bezkarnie, gdyż dowieść istnienia karygodnéj zmowy dokumentami i świadkami w praktyce jest trudno.

W każdym razie, zmowa, syndykat dla podniesienia cen jest we Franyi niebezpieczną. Dobrze poinformowany Steinmann-Bucher twierdzi, że mimo to istnieją cztery wielkie syndykaty w sferze produkcyi: cukru, surowca, walcowanego żelaza i maszyn. H. Babled dodaje jeszcze: syndykaty salin wschodnich, towarzystw asekuracyjnych, przędzalni wełny w Ardennach, przędzalni lnu północnych fabrykantów zégarów, produktów chemicznych i rafineryi nafty [1]).

Małych, ograniczonych pewną miejscowością lub okolicą jest daleko więcéj. Z chwilą, gdy stowarzyszenie producentów w pewnéj gałęzi przemysłu jest zawiązane, z jakimkolwiek celem, dążenie stowarzyszonych do wywołania zwyżki cen jest rzeczą nieuniknioną i od czasu do czasu, zmowa taka, o ile przekroczy miarę, dostaje się do wiadomości publicznéj: w r. 1892 zmówili się piekarze w Issaudun, aby zmusić municypalność do podniesienia taksy na chléb, walka niewiadomo jak by się była skończyła, bo kodeks franc. nie przewidział kary na producenta, który zamiast podnieść cenę, zamyka warsztat — gdyby nie założenie piekarni kooperacyjnéj, w obec któréj piekarze musieli wypiek rozpocząć i taksę magistratu przyjąć [2]).

Jeśli zważymy, że ostatnie sprawozdanie roczne izb syndykalnych wykazuje we Francyi 1126 syndykatów przemysłowych, wyłącznie przedsiębiorców, obok 1,250 syndykatów robotniczych — 126 mieszanych (przedsiębiorców i robotników razem) i 750 izb syndykalnych rolnych — to musimy przypuścić, że zmowy przedsiębiorców muszą zdarzać się we Francyi, ale ze względu na art. 419 i 420, w tajemnicy są trzymane.

Wymienione wyżéj 750 związków rolnych posiada 269,000 członków. W r. 1886 założono „unię syndykatów“ i „syndykat centralny,“ które jednoczą w sobie interesa francuskiego rolnictwa a między innemi, starają się o uregulowanie handlu płodami rolniczemi. Izba syndykalna rolników departamentu Dolnéj Szaranty zorganizowała

---

[1]) H. Babled „Les Syndicats.“ str. 16—44.

[2]) Economiste français, r. 1893, Nr. 13.

wysyłkę kartofli do Londynu. Syndykat centralny zaopiekował się sprzedażą bydła na targu Vilette w Paryżu i ustanowił na nim swojego stałego inspektora.

Uorganizowanie zbytu produktów ma na celu utrzymanie cen możliwie wysokich, nie zaś podniesienie ich; w téj drobnéj różnicy leży wedle prawa francuskiego granica karygodności, a granica ta prawnie bardzo delikatna, pod względem ekonomicznym jest żadna. Gdyby syndykat centralny na targu Vilette rozporządzał całością lub większą częścią dostawianego na ten targ bydła, mógłby bez zmowy podnieść cenę wołów, i bez „*maneouvres frauduleuses*“ wywołać zwyżkę cen. Nie ulega wątpliwości, że gdy warunek się ziści, fakt sam z siebie wyniknie. Między uregulowaniem sprzedaży i dążeniem do podtrzymania cen a dążeniem do zwyżki ceny istnieje tylko teoretyczna granica, która w praktyce niknie [1]).

Scentralizowanie związków rolnych ma jeszcze poważne skutki jako związek konsumentów. 300,000 rolników francuskich stanowi wielką ilość odbiorców maszyn i nawozów. Działając wspólnie i solidarnie na fabrykantów maszyn i nawozów, syndykaty zrywają naturalne warunki konkurencyi nie podpadają pod artykuł 419 k. kr., bo w epoce ustanowienia tego artykułu, związki konsumentów nie istniały. A jednak ze stanowiska fabrykanta maszyn i nawozów rolniczych, liga rolna fermerów Ameryki, centralne towarzystwo rolnicze pruskie i syndykat centralny francuski są siłą, która go może do muru przycisnąć i postawić w położeniu bardzo trudném. Wobec tego nie można przemysłowcowi odmówić prawa zsyndykowania się i wspólnéj obrony.

* *
*

W Anglii, według Steinmann-Buchera, istnieją 33 znaczne syndykaty. „Times“ (22 stycznia 1893) znany organ wolnohandlowców,

---

[1]) W jednym z ostatnich numerów „Gazety Handlowo-Przemysłowéj,“ (wydawanéj przez ministeryum finansów w Petersburgu) znajdujemy wzmiankę, że „gdy mimo spadku cen na bydło rogate we Francyi, ceny mięsa w jatkach utrzymywały się na dawnym poziomie, syndykat rolny departamentu Wyższéj Saône założył w Vésoul własną jatkę, do któréj wszyscy członkowie syndykatu mają prawo swe woły przypędzić i (po zaszlachtowaniu w miejskim szlachtuzie) w téj jatce mięso sprzedawać. Samo ogłoszenie o otwarciu jatki obniżyło ceny o 20 centymów na kilogramie.“ Nie mając danych odpowiednich, nie możemy powiedzieć, ile w téj jatce na cenie zyskują rolnicy — przytaczamy ten fakt dlatego, aby pokazać, jak łatwo syndykaty rolne francuskie zamieniają się w syndykaty przemysłowe, jak delikatną jest różnica między regulowaniem handlu a podniesieniem cen.

nazywa je chorobą ogólną, gorszą niż protekcyonizm. Syndykaty angielskie istnieją mimo zupełnéj wolności handlu, obejmują koleje żelazne, transporta morskie, sól, surowiec, węgiel kamienny, chemikalia, przędzalnie, tkalnie, i możemy powiedzieć, prawie wszystkie ważniejsze gałęzi przemysłu. Pobudkę do ich zawiązywania dało tworzenie się związków roboczych (*Trades Unionów*) wobec których fabrykanci zmuszeni byli działać solidarnie.

Na specyalną wzmiankę zasługuje zmowa syndykatu właścicieli kopalni węgla (*Coal Owners association*) i górników, pracujących w kopalniach syndykatu, która w r. 1892 zawiesiła produkcyę węgla dla podniesienia jego ceny i zarobków określonych zależnie od cen, według tak zwanéj skali ruchoméj. Celem zmowy było zawieszenie robót na dni 15 i zmniejszenie produkcyi o 7,000,000 tonn. Samo zawieszenie robót wywołało zwyżkę ceny węgla o 100%. Projekt jednak w całości wykonany nie został: po kilku dniach roboty rozpoczęto, czy to obawiając się dowozu węgla zagranicznego, czy téż dlatego, że wykonanie zmowy narażało interesa całego przemysłu angielskiego i całéj klasy roboczéj. W każdym razie było to pierwsze ograniczenie produkcyi, wykonane ze zgodą robotników.

Syndykaty angielskie są, co do organizacyi, bardziéj zbliżone do karteli niemieckich, aniżeli do trustów amerykańskich. Wolny przywóz wyrobów przemysłu nie dozwala na silną zwyżkę cen, a tém samém nie pozwala wkładać kapitału w scentralizowanie przemysłu, w jego zmonopolizowanie. Za to kapitały angielskie, szukające wyższego oprocentowania, biorą czynny udział w organizowaniu trustów amerykańskich i syndykatów międzynarodowych, których zarządy zwykle mają siedlisko prawne w Anglii. Do takich syndykatów międzynarodowych należą, oprócz wspomnianego syndykatu dynamitowo-prochowego, następujące: cynkowy, relsowy, jodu, saletry chilijskiéj, szkła taflowego, kopalni rtęci i t. d.

* *
*

W r. 1885 w Szwajcaryi powstał syndykat koronkarski (haftów), liczył on w tym roku 110 sekcyi 5,066 członków i 12,299 maszyn. Obejmował przedsiębiorców i robotników nietylko w Szwajcaryi ale i w Tyrolu zamieszkałych, ograniczył liczbę godzin, oznaczył stały rabat dla handlujących, *minimum* zarobków, ustanowił zgromadzenie ogólne i komitet z 21 członków złożony, z pewną władzą nad członkami stowarzyszenia. Ceny podniosły się i przesilenie w téj gałęzi przemysłu zażegnano. Na nieszczęście postawiono sobie za zadanie zmusić do przystąpienia do związku wszystkich bezwarunkowo hafciarzy prośbą, groźbą i „boykotowaniem.“ Wywołało to w r. 1892 bunt

tyrolskich członków syndykatu (z Voralbergu) rozpadnięcie się związku na tyrolski i szwajcarski i nowe przesilenie. W tym stanie sprawy, syndykat zwrócił się do rządu związkowego z żądaniem, aby uznano syndykat za obowiązkowy, t. j. aby powzięte przezeń decyzye obowiązywały i mniejszość pozostałą poza syndykatem. Sprawa dotąd nie jest rozstrzygnięta [1]).

VII.

Obowiązujący w kraju naszym kodeks kar głównych i poprawczych, w artykule 913, naznacza karę na zmowę kupców, celem podniesienia ceny środków żywności; w art. zaś 1180 stanowi:

„W razie zmowy handlujących lub przemysłowców celem podniesienia cen, nietylko środków żywności, ale i innych niezbędnych do życia (pierwszéj potrzeby) towarów, albo téż celem nadmiernego obniżenia téj ceny z zamiarem wywołania w ten sposób trudności przywożącym i dostawiającym te towary, a to dla zatamowania przywozu ich w wielkich ilościach — główni sprawcy tych przeciwnych prawu zmów, ulegną zamknięciu w więzieniu na czas od 4 do 8 miesięcy, inni zaś uczestnicy zmowy, skazani będą, stosownie do stopnia tego uczestnictwa, na areszt od 3 tygodni do 3 miesięcy; albo téż na karę pieniężną, nie wyższą od 200 rubli; w wypadku zaś, gdyby wskutek takiéj zmowy wynikł rzeczywisty brak towarów, niezbędnych do życia, a to stało się powodem zakłócenia porządku publicznego, sprawcy główni skazani będą, na pozbawienie niektórych praw i przywilejów osobistych, stosownie do art. 50 kodeksu i zamknięcie w więzieniu na czas od roku 1 i miesięcy 4, do lat 2-ch, inni zaś winni, na zamknięcie w więzieniu na czas od 4 do 8 miesięcy.“

Ocenienie zasadniczego pojęcia „towaru pierwszéj potrzeby“ pozostawiono opinii sądu; faktycznie więc, u nas, zmowa producentów, o ile nie dotyczy przedmiotów zbytku, może sprowadzić na zsyndykowanych karę rs. 200, areszt od 3 tygodni do 3 miesięcy, a nawet więzienie od 4 do 8 miesięcy. Charakterystyczną cechą tego artykułu są dwa punkta: zupełne zrównanie przemysłowca z kupcem i uznanie za karygodną zmowę, mającą na celu obniżenie ceny z zamiarem powstrzymania dalszego dowozu towaru.

Niewątpliwym skutkiem tego przepisu prawa, jest nie brak

---

[1]) W r. 1887 podobny projekt wniesiono do parlamentu państwa niemieckiego; proponowano, aby związki zawodowe, ustanowione dla ubezpieczenia robotników w razie wypadku, otrzymały prawo ograniczenia produkcyi, ustanawiania biur sprzedaży i określania ceny.

zmów — ale istnienie zmów tajemnych, unikających światła dziennego.

Nikt u nas ze sprawami przemysłu obeznany nie wątpi, że prawie cały przemysł żelazny jest zsyndykowany. Za urzędowy wyraz tego przekonania uważać możemy okoliczność, że w ustawie stałego biura doradczego przemysłu żelaznego przy ministerym dóbr państwa (zatwierdzona 7 czerwca 1892), w § 7, określającym cel biura, powiedziano wyraźnie, iż kwestya normowania produkcyi i ustanowienia związków dla jéj ograniczenia ze sfery zajęć biura stanowczo się wyłącza.

Zsyndykowanie przemysłu naftowego jest od lat kilku, a mianowicie od czasu, gdy znana firma braci Nobel wzięła udział w tym przemyśle, celem nieustannych zabiegów. Od lat paru, obok Noblów, operuje na Kaukazie firma Rotszyldów wiedeńskich. Do firmy téj przyłączyli się prawie wszyscy drobniejsi przemysłowcy, tak, że obecnie, oprócz Noblów i Rotszylda, na Kaukazie działają tylko trzy większe firmy: Ruskie towarzystwo, Maniewicz i Rabinowicz (Gazeta Handl. i Przemysł. 1893 r., Nr. 43).

Porozumienie się grupy Noblów z grupą Rotszylda jest w najbliższéj przyszłości przewidywane, jak również przewidywane jest i to, że umowa dojdzie do skutku na podstawie oddania całego rynku wewnętrznego ruskiego grupie Noblów, całego zaś zagranicznego grupie Rotszyldów. Nie pozostanie wtedy już do zrobienia nic więcéj, jak porozumienie się grupy Rotszyldów z M-em Rockfellerem, aby cenę nafty na całéj kuli ziemskiéj ustanowić. Już dziś ceny nafty w Carycynie ulegają wahaniom pod wpływem plotek o większych lub mniejszych widokach ostatecznego porozumienia się i przez cały r. 1892 handel nafty pozostawał w wyczekującéj pozycyi na ostateczny rezultat tego porozumienia (Goniec Finans. r. 1893, Nr. 6, str. 376 w. 9).

Nie mogąc bliżéj rozpatrywać ani celów, ani środków działania, ani téż organizacyi syndykatów żelaznych i naftowego, tém staranniéj zbierzemy szczegóły dotyczące syndykatu cukrowniczego, którego działalność zupełnie jawna i publiczna takie zebranie wysoce ułatwia.

Niezwyczajna zwyżka cen cukru spowodowna nieurodzajem buraków w latach 1882, 1883 i 1884, podtrzymywana przez spekulacyę, wywołała gwałtowne powiększenie produkcyi cukru w całém państwie. Na to, ile kraj rocznie konsumuje, jakie są coroczne zapasy, nie zwracano uwagi; rozszerzano gwałtownie plantacye, wprowadzono pospiesznie dyffuzyę (zwiększającą wydajność buraków o 25 do 30%

i osmozę wyzyskującą cukier z melasy. Nadprodukcya i przesilenie były koniecznym rezultatem téj „anarchicznéj" produkcyi, a raczéj nieopatrzności producentów i spekulantów.

Podukcya roczna stanowiąca w kampanii

1881/2	. . . .	16,235,000 pudów
wzrosła w 1882/3 do	. . . .	17,478,000 „
„ 1883/4 „	. . . .	18,937,000 „
„ 1884/5 „	. . . .	21,171,000 „
„ 1885/6 „	. . . .	29,402,000 „

Zapasy wrześniowe, przed rozpoczęciem nowéj kampanii wynoszące w r. 1885-ym 3,086,000 pudów, w r. 1886 wyniosły 4,578,000 pudów (3,283,000 rafinady i 1,294,000 mączki), to jest prawie ⅙ rocznéj produkcyi. Ceny cukru, dochodzące w latach poprzednich do 7 rs., spadły w r. 1885 do rs. 4 kop. 80, a w r. 1886 do rs. 2 kop. 85 z akcyzą, a rubli srebrem 2 bez akcyzy, to jest do ceny niższéj od kosztów produkcyi.

Dla uratowania przemysłu, którego upadek mógł pozbawić państwo poważnego źródła dochodów, a w wielu okolicach cofnąć kulturę rolnictwa, rząd w nadziei, że z ustaniem nadprodukcyi i z likwidacyą grzechów spekulacyi, ceny wrócą do normalnego stanu, postanowił wydawać tytułem awansu (z obowiązkiem zwrotu w ciągu lat 2-ch) premie wywozowe początkowo po rs. 1, a potém po kopiejek 80 od każdego wywiezionego puda, a prócz tego wyznaczył 5,000,000 rs. na kredyty fabrykom cukru. Komitetowi giełdowemu w Kijowie polecono utworzenie syndykatu fabryk dla rozdzielenia tego kredytu między pojedyncze fabryki. Ceny mączki podniosły się do 3 rs. 65 kop., a jednocześnie przekonano się, że nadprodukcya nie jest chwilową, że zwyżka cen cukru bez ograniczenia jego produkcyi, lub bez stałego wywozu za granicę ilości produkowanych ponad istotną potrzebę ludności państwa, osiągnąć się nie da. Z drugiéj strony, wywóz cukru był stanowczo połączony ze stratą, gdyż cukrownictwo niemieckie, francuskie i austryackie, opłacając podatek od ilości użytych do przerobu buraków, przy wywozie cukru za granicę otrzymuje zwrot tego podatku od ilości wywiezionego cukru, obliczony w taki sposób, że korzysta z ukrytych w tym zwrocie premii. Nasze cukrownictwo płacąc podatek od ilości wyrobionego cukru i otrzymując przy wywozie zwrot podatku od takiéjże saméj ilości, żadnéj ukrytéj za wywóz premii nie ma. Nie możemy tutaj wykazywać szczegółowo rachunkiem, jak tworzy się ta premia w państwach zagranicznych; rachunek ten jest dość zawiły, i wobec częstych zmian w metodzie i skali opodatkowania, ciągłym zmianom ulega. Dla stwierdzenia, że

przy obecnych różnicach w systemie opodatkowania, wywóz naszego cukru bez straty możliwym nie jest, przytoczymy następujące dane:

We Francyi w r. 1886/7 premia wywozowa stanowiła 5 fran. 65 cent. na centnar metryczny, a ogół wypłaconéj premii obliczono na 40,000,000 fr.

W Niemczech premia w latach 1886/7 wynosiła 25—30 kop. na pud, a przy ogólnéj sumie akcyzy 141,000,000 marek, pobranéj przy produkcyi 1,023 tys. tonn cukru, zwrócono za wywóz 661 tys. tonn 122,000,000 m., to jest zwrócono 86,6% pobranéj sumy przy wywozie 64,6% cukru, — zatém premium wywozowe stanowiło około 22%, to jest około 30,000,000 m.

W Austryi w r. 1879/80 rząd wypłacił więcéj premii od wywozu cukru, niż pobrał podatków. Od 1 sierpnia premia wynosi od 1 fl. 50 c. do 2 fl. 30 c. za 100 klgr., stosownie do polaryzacyi (czystości) cukru.

Do strat, wynikających z różnic w systemie opodatkowania, przybywają jeszcze dla naszych cukrowni różnice w kosztach transportu i dodatkowych kosztach handlowych, a nakoniec ryzyko strat ze zmian kursu rubla za granicą. Dodatek cukrowniczy do „Przeglądu technicznego“ (N. 17, z 15 marca r. b.) zawiera bardzo szczegółowe zestawienie całego rachunku, z którego wynika, że przy kursie 240 mrk za 100 rs. cukrownik podolski, w porównaniu z cukrownikiem okolic Magdeburga, przy dostawie cukru żółtego na rynek londyński ponosi, prócz premii, koszta większe o 38 kop. Przy premiach wywozowych niemieckich w latach 1886/7 — 30,56 i 25,28 kopiejek na pudzie, stanowiło to 68½—63¼ kopiejek straty, a dziś przy obniżeniu premii do 14,5 kop. stanowi jeszcze 52,5 kopiejki na pudzie, to jest 1,3 kop. na funcie.

Nie można także pominąć milczeniem i téj okoliczności, że lata 1886/7 były latami najgorszych cen na cukier w całéj Europie. Riecke (Schönberga „*Handbuch der Vol. Oek.*“) oblicza średnie ceny cukru za rafinadę w Magdeburgu za 1 ctr. metr.

w latach	1822	1853	1879	1881	1883	1887
na marek	204	103,20	77,2	81,8	74,6	53,9

Nie było więc w r. 1887 r. wątpliwości, że wywóz naszego cukru za granicę nie będzie pokrywał kosztów produkcyi, że stanowić będzie stałą stratę; i chodziło o to, w jaki sposób strata ta rozłożoną być ma na producentów cukru. Rząd nie chciał brać na siebie inicyatywy w kwestyi regulowania produkcyi i ograniczenia ceny, poruszył więc sam myśl ustanowienia syndydatu, któryby zajął się uregulowaniem

wywozu cukru zagranicę, oznaczeniem normy przyszłéj produkcyi, i dopilnowaniem, aby każda fabryka wyprodukowany przez siebie ponad tę normę cukier za granicę wywiozła i sprzedała. Wchodząc w porozumienie dobrowolne, cukrownie brały w swe ręce własny interes i mogły spodziewać się korzystniejszéj sprzedaży cukru za granicą, aniżeli drogą urzędową. Same mogły oznaczyć ilość cukru, mającego być wyprodukowanym i wywiezionym, i przeprowadzić te zarządzenia w taki sposób, aby one stanowczy skutek wywarły.

Agitacya rozwinięta w tym kierunku w lutym 1887 r., wywołała w czasie kontraktów kijowskich uformowanie komitetu, który zredagował projekt umowy, z zastrzeżeniem wprowadzenia jéj w wykonanie o tyle, o ile weźmie w niéj udział 85% fabryk istniejących z produkcyą 17,000,000 pudów. Projekt opierał się na zobowiązaniu fabryk, w syndykacie udział biorących, do wywiezienia przed rozpoczęciem następnéj kampanii 1887/8 r. 25% produkcyi roku 1886/7 i na dobrowolném ograniczeniu produkcyi dwóch następnych kampanii 1887/8 i 1888/9 roku.

W d. 28 kwietnia 1887 r. reprezentanci 168 cukrowni produkujących 16,725,000 pudów cukru, podpisali umowę, do któréj w krótkim czasie przystąpiło jeszcze 15 fabryk z produkcyą 1,200,000 pud.; ogół z syndykowanych fabryk na kampanię 1887/8 r. stanowiło 183 fabryki z produkcyą roczną prawie 18,000,000 p.

Po za syndykatem pozostało fabryk 68 z produkcyą 4,346,000 p., z których 20 (z produkcyą 978,000 p.) nieczynnych, tak, że produkcya po za syndykatem mogła wynosić około 3,400,000 p. Przeważną ilość fabryk do syndykatu nie należących, stanowiły cukrownie gubernii Charkowskiéj. Wywóz 25% produkcyi 1886/7 miał nastąpić w terminach określonych.

Co do dwóch następnych kampanii: 1887/8 i 1888/9, umowa zobowiązywała fabryki do ograniczenia produkcyi do norm obliczonych na następnych zasadach: za normę dla każdéj fabryki przyjęto ilości cukru produkowane średnio w kampaniach od 1881/2 — 1885/6 po potrąceniu 5%, albo téż ilość najwyższéj rocznéj produkcyi w jednéj z kampanii 1881/2 — 1885/6 po potrąceniu z niéj 33%. Od woli fabryki zależało wybrać ten, lub drugi sposób obliczenia.

Nie od rzeczy tu będzie nadmienić, że określenie rzeczywistéj produkcyi fabryki, od któréj zwykle zależy przyznana fabryce norma, stanowi szkopuł dla wielu syndykatów; wobec istniejącego podatku, który się pobiera u nas od cukru istotnie wyprodukowanego, dane urzędowe, dotyczące rzeczywistéj produkcyi nie ulegały wątpliwości, dla-

tego sprawiedliwe obliczenie normy dla każdéj fabryki było wysoce ułatwione i bez sporów przyjęte.

Normy tak ustanowione uznano za ostateczne dla fabryk cukru Królestwa Polskiego i gubernii południowo-zachodnich. Dla gubernii Charkowskiéj, Połtawskiéj i Kurskiéj, podniesiono je o 15%, dla pozostałych gubernii Cesarstwa o 30% [1]).

Fabryki, któreby w kampaniach 1887/8 i 1888/9 wyprodukowały ilości cukru wyższe od określonych przez normę, obowiązały się wywieść nadprodukcyę za granicę w terminie do 1 sierpnia roku ukończenia kampanii. Obowiązek wywozu trwa dopóty tylko, dopóki cena cukru (mączki) w Kijowie nie dosięgnie 4,50 kop. za pud, co przy ówczesnéj akcyzie 85 kopiejek od puda, stanowiło cenę 3,65 kop. za pud cukru bez akcyzy. Komitet syndykalny ma prawo zmniejszyć ilości przeznaczone na wywóz, ale zmniejszenie to nastąpi w odsetkach od normy, równych dla każdéj fabryki. Po uskutecznieniu wywozu, nie późniéj jak w dni 15, każda fabryka obowiązana jest zawiadomić o tém biuro syndykatu w Kijowie, i złożyć odpowiednie dowody celne. Wolno jest fabryce nabywać od innéj fabryki świadectwa wywiezienia cukru. Dla prowadzenia interesów syndykatu wybrano komitet z 6 osób złożony; na koszta prowadzenia biura wyznaznaczono składkę po 1 kop. od puda normy. Za opóźnienie w wywozie, niewywiezienie i wycofanie się z umowy ustanowiono kary (*maximum* 5,000 rubli). W § 18-ym podpisujący umowę przyrzekli warunków jéj dotrzymać święcie i rzetelnie.

Skutek umowy był niezwłoczny: w czerwcu 1887 r. cena cukru podniosła się do 3 rs. 80 k. i 3 rs. 85 k. za pud mączki. W lipcu złożono syndykatowi świadectwa wywozowe na 1,672,000 pudów; wogóle wywieziono z kampanii 1886/7 r. 3,130,000 pudów. Po dokładném obliczeniu zapasów pozostałych z poprzedniéj kampanii i przybliżoném obliczeniu produkcyi bieżącéj, zaproponowano wywiezienie jeszcze 2,000,000 pud. (to jest 12% normy), a gdy w styczniu 1888 r. ceny jeszcze spadły, postanowienie to wprowadzono w wykonanie drogą dobrowolnego wywozu 2,000,000 pud. przez niektóre (większe) fabryki. W lutym 1888 r. odbyło się walne zebranie przedstawicieli zsyndykowanych fabryk. Wśród rozpraw o ewentualne odnowienie i przedłużenie umowy, która za rok już skończyć się miała, dotychczasowy sposób obliczania norm szczegółowych uległ krytyce: zarzucano mu, iż biorąc za podstawę, czy to maksymalny przerób jednego

---

[1]) Gubernia Woroneżska, Ekaterynosławska, Samarska, Orłowska, Penzeńska, Tambowska, Tulska i Czernichowska.

roku, czy też średni przerób w ciągu lat ostatnich pięciu, opiéra się na momentach przypadkowych i już minionych, nie uwzględnia zaś momentu realnego i mającego związek z przyszłością: siły produkcyjnéj fabryki. Sądzono jednocześnie, że wobec wzrastającéj ludności państwa i rosnącéj konsumcyi cukru, normy nie powinny zostawać bez zmiany, że powinny się stale powiększać i że już obecnie należałoby je podnieść o 750,000 do 1,300,000 pud.; że ta dodatkowa norma powinna być podzielona na fabryki Cesarstwa—80%, na fabryki Królestwa—20%. Twierdzono, że niebezpieczeństwo obniżki cen przez powiększenie norm da się ograniczyć uznaniem tych nowych dodatkowych norm za warunkowe, to jest za obowiązujące, stosownie do rezultatów kampanii 1888/9 r., z pozostawieniem do uznania komitetu syndykalnego decyzyi, czy ilości cukru wyprodukowane w granicach tych nowych norm, mają być w kraju pozostawione, czy też zagranicę wywiezione.

Ogół obrotów cukru za ostatnie kampanie przedstawia następujące cyfry:

Zapasy wrześniowe 1886 r.		4,578,000 pud.
Produkcya 1886/7:		
fabryk zsyndykowanych	23,561,000	
„ po za syndykatem	2,612,000	26,173,000 „
	Razem	30,751,000 pud.
konsumcya krajowa	22,785.000	
wywóz	3,130.000	25,915,000 „
Zapasy we wrześniu 1887-go roku		4,836,000 pud.
Produkcya kampanii 1887/8:		
fabryk zsyndykowanych	22,095,000	
„ po za syndykatem	1.796.000	23,891,000 „
	Razem	28,727,000 pud.
konsumcya krajowa	21,324,000	
wywóz	4,232,000	25,556,000 „
Zapasy we wrześniu 1888-go roku		3,171,000 pud.

Cyfry te, obecnie wiadome, na wiosnę 1888 r. były już przewidywane. Pod tym wpływem przyszło do skutku 14/26 kwietnia odnowienie umowy i przedłużenie jéj na nowe dwie kampanie 1889/90 i 1890/1. Ogólne warunki i podstawy umowy: obowiązek wywiezienia nadprodukcyi, ograniczenie działania umowy osiągnięciem ceny za pud 4 rs. 50 kop. (przy 85 k. akcyzy), kary, władza komitetu, pozostały te same: — powiększono tylko warunkowo normy z uwzględnieniem siły produkcyjnéj fabryk. Najważniejszym jednak wypadkiem było przyłączenie się do umowy grupy fabryk zadnieprzańskich Charitonienki

(2,500,000 pud. produkcyi), przez co ilość fabryk, należących do umowy, znacznie wzrosła. Po odnowieniu umowy jeszcze inne fabryki do niéj się przyłączyły, tak, że na jesieni 1888 r. obliczano, że z ogólnéj produkcyi średniéj 22,300,000 pud., 88%, to jest 19,660,000 pud. produkują fabryki do umowy należące, a tylko 12%, to jest 2,970,000 fabryki do umowy nie należące.

Na zjeździe odbytym 11/23 paźdz. 1888 r. wobec dążenia cen do nowéj obniżki, postanowiono całą nadnormową produkcyę z kampanii 1888/9, wywieść w terminach: 80%, przed 1 stycznia 1889, — 20% do 1 maja 1889 r. W połowie grudnia ceny mączki w Kijowie stały niżéj rs. 4.

Zebranie odbyte 15 lutego 1889 r. nic nowego do organizacyi syndykatu nie wniosło. Po jego rozejściu w kwietniu i maju 1889 r. nastąpiło, wskutek nieurodzaju w plantacyach egzotycznych, gwałtowne podniesienie się cen cukru w Londynie, dochodzące do 60% cen lutowych. Ponieważ chwilowo wywóz zagranicę przedstawiał zyski, niektóre cukrownie wywiozły nietylko produkcyę swą nad normę, ale i część unormowanéj produkcyi, licząc na korzystną w następstwie sprzedaż świadectw wywozowych. Cena mączki w Kijowie podniosła się do 4 rs. 80 kop. za pud, a komitet syndykalny wobec rozwijającéj się spekulacyi, postanowił ewentualnie, jeżeliby ceny rosły daléj, wypuścić na rynki wewnętrzne całą nie wywiezioną z kraju nadprodukcyę, to jest zawiesić chwilowo obowiązek wywozu za granicę nadprodukcyi z kampanii 1888/9 r. Wywóz obliczony na sprzedaż świadectw wywozowych od razu ustał, ceny obniżyły się natychmiast do 4 rs. 75 k., a gdy spekulacya w Londynie upadła, ceny zniżyły się znowu do 4 rs. 40 k. i 4 rs. 20 k. (sierpień, wrzesień) za pud mączki w Kijowie.

20-go października zebranie przedstawicieli postanowiło dokonać wywozu nadnormowéj produkcyi, a 12 stycznia wobec stałéj obniżki postanowiono wywóz tak zwanéj normy warunkowéj.

20-go lutego 1890 r. biuro przedstawicieli ogłosiło swój raport reasumujący dotychczasową działalność syndykatu.

Cyfry produkcyi i wywozu cukru za lata 1886—1889 podaliśmy już poprzednio, tutaj dodamy, że do remanentu wrześniowego 1888 r. w ilości 3,171,000 pud. przybyła produkcya 1888/9 r.:

fabryk zsyndykowanych	26,507,000	
„ po za syndykatem	2,087,000	28,594,000 pud.
Razem		31,765,000 pud.
Zużyto wewnątrz państwa	22.145,000	
wywieziono	6,798,000	28,943,000 pud.
We wrześniu 1889 r. pozostało		2,822,000 pud.

Trzy te kampanie 1886/7, 1887/8 i 1888/9 stanowią pierwszy okres istnienia syndykatów. Za granicę państwa wywieziono na zasadzie umowy 14,160,000 pudów cukru, co razem z wywiezionemi poprzednio (przy premii rządowéj) 7,815,000 pud. stanowiło prawie 22,000,000 pudów. Gdyby ilości te pozostały na rynku krajowym, to dla utrzymania normalnéj ceny, albo wszystkie fabryki przez cały rok produkcyę cukru zawiesićby musiały, albo téż z fabryk słabszych (technicznie lub finansowo) zamknięciu uległoby ich tyle, ile potrzeba było do doprowadzenia zapasów do normalnego stanu. Obliczono, że 1/3 fabryk losowi temuby uległa, gdyż przy spadku cen poniżéj kosztu produkcyi, fabryki technicznie i finansowo silniejsze byłyby szukały ratunku w rozszerzeniu fabrykacyi zmniejszającém zawsze koszta ogólne. Z pomiędzy fabryk Królestwa ledwie połowa byłaby przy życiu pozostała.

Kampania 1888/9 roku o mało co nie stała się przyczyną nowych klęsk dla cukrownictwa: produkcya cukru zmniejszająca się od r. 1885/6 z 29,4 na 26,2 i 23,9 miliony pudów, wzrosła mimo warunków umowy do 28,6, i byłaby przy wywozie za granicę na duże straty cukrownictwo naraziła, gdyby nie zwyżka cen w Londynie, która pozwoliła wywieść za granicę stosunkowo, bardzo znaczną ilość, bo 7,000,000 pud. ze stosunkowo małemi stratami. To nieprzewidziane, niepożądane zwiększenie produkcyi było rezultatem nadzwyczajnego urodzaju buraków w r. 1888-ym, i niemożliwości ścisłego zastosowania umów o plantacye buraczane do przyjętego przez fabrykę obowiązku nieprodukowania nad normę. Zmniejszenie się—mimo niebezpieczeństwa wynikłego z kampanii 1888/9 — zapasów cukru z 4,8 milionów do 2,8 milionów pudów stanowiło dla rynku cukrowego znakomity postęp, i wobec tego komitet zaproponował puszczenie na rynek wewnętrzny tak zwanych norm warunkowych w ilości 1,000,000 pud. Co do dalszych kampanii, komitet sądził, że coroczny wzrost konsumcyi w kraju wskutek przyrostu ludności (na 2 do 2 1/2 milionów głów) wynosi około 500,000 pud., tak, że konsumcyą roczną w państwie obliczyć należy na:

22,600,000	pudów	w roku 1888/9
23,100,000	„	„ 1889/90
23,600,000	„	„ 1890/1

Obliczając następne lata w tym samym stosunku określono normę: 1891/2 na 24,1, 1892/3 na 24,6, 1893/4 na 25,1, 1894/5 na 25,6 mil. pud.

Ogólne zebranie podzieliło pogląd biura i wyraziło gotowość przystąpienia do nowéj umowy z ograniczeniem ceny cukru do 4 rs.

65 kop. za pud mączki w Kijowie (z powodu podwyższenia akcyzy o 15 kop. do 1 rs. z puda) i z przyjęciem za podstawę norm szczegółowych siły wytwórczéj fabryk. Po ukończeniu kampanii 1888/9 r. ceny znów spadły z 4 rs. 50 kop. w lipcu 1890 r. do 4 rs. 30 kop., w sierpniu do 4 rs. 20 kop., a w grudniu do 4 rs. 10 kop. — 27 września 1889 r. postanowiono wywieść cukier wyprodukowany ponad normę z terminem 15 stycznia dla 75% i 1 maja dla 25%.

17-go maja *v. st.* 1890 odnowiono rejentalnie umowę na 4 lata następne (1891/2 do 1894/5). Normy produkcyi określone kontraktem z 14 kwietnia 1888 r. przyjęto za podstawę, zamieniając przytém tak zwane normy warunkowe na ostateczne. Ustanowiono prócz tego odpowiednio do obliczeń o wzroście konsumcyi nowe normy warunkowe na 2,000,000 pudów, które między pojedyńcze fabryki rozdzielono. Za granicę ceny, do któréj ogranicza się działanie umowy, ustanowiono 4 rs. 65 kop., przy opłacie akcyzy 1 rs. od puda mączki. Określono, że postanowienie komitetu o wywozie za granicę cukru wyprodukowanego w granicach norm, obowiązuje wszystkie fabryki w odsetkach do ustanowionych norm i w ilości nie większéj, jak $7^1/_2$% w ciągu lat 4. Wywóz lub wypuszczenie na rynek wewnętrzny norm warunkowych zależy od uznania komitetu. Świadectwa wywozowe mają być składane komitetowi nie późniéj, jak w 15 dni po terminach do wywozu określonych. Świadectwa na cukier wywieziony z premią na Wschód nie będą przyjmowane. W § 13 zabezpieczono każdéj fabryce na wypadek pożaru, prawo odstąpienia swéj normy fabryce sąsiedniéj, a także dozwolono fabrykom sąsiednim wchodzić między sobą w porozumienie co do norm wspólnych. Na pokrycie wydatków biura, fabryki zobowiązały się płacić po $1^1/_2$ kop. od puda normy. Komitetowi przyznano prawo przyjmowania do umowy nowych fabryk. W umowie wzięło udział 196 fabryk.

Po wypuszczeniu na rynek norm warunkowych, ceny cukru do maja 1890 r. utrzymywały się na 4 rs. 50 kop. i dopiéro podwyżka kursu rubla ceny te obniżyła. Podniesienie akcyzy do 1 rs. od puda weszło w wykonanie. Rezultaty dwóch kampanii 1889/90 i 1890/1 wyraziły się w następujących cyfrach:

Remanent wrześniowy 1889 roku		2,822,000 pud.
Wyprodukowanie w kampanii 1889/90 r.:		
w fabrykach zsyndykowanych	22,929,000	
„ po za syndykatem	1,895,000	24,824,000 „
razem		27,646,000 pud.
Zakupiono na konsumcyę krajową	22,791,000	
wywieziono	1,920,000	24,711,000 „
pozostało we wrześniu 1890 roku		2,935,000 pud.

W kampanii 1890/1 wyrobiono cukru:

w fabrykach zsyndykowanych	25,626,000	
„ po za syndykatem	3,480,000	29,106,000 pud.
razem		32,041,000 pud.
zakupiono na zużycie wewnętrzne około	23,500,000	
wywieziono	5,276,000	28,776,000 „
pozostało w kraju około		3,265,000 pud.

Powiększenie produkcyi fabryk do syndykatu nie należących (z 1,9 miliona pudów do 3,5 mil.), o 1,6 mil i powiększenie produkcyi fabryk zsyndykowanych o 3,000,000 pudów, wpłynęło na powiększenie wywozu z 1,9 milonów pudów na 5,3 mil. pud. Ceny utrzymały się wyżéj rs. 4 tylko dzięki temu, że fabryki zsyndykowane poniosły za siebie i za drugich znaczne straty na wywozie zagranicznym.

Mimo zarządzonego przez komitet wywozu całéj nadprodukcyi norm warunkowych i wszystkich zaległości wywozowych do 1 stycznia 1892 r., ceny nie poprawiły się i w październiku 1891 r. wynosiły rs. 4, w listopadzie 3 rs. 85 kop. za pud mączki w Kijowie. Przypuszczając, że spadek ten ma związek z ogólnym nieurodzajem w państwie, komitet polecił wywieść 3% od norm zwykłych, tém więcéj, iż z kampanii 1891/2 spodziewano się produkcyi wyższéj, niż w kampanii ubiegłéj. Ostateczne rezultaty kampanii 1891/2 dały następujące rezultaty:

Remanent we wrześniu		3,265,000 pud.
Wyprodukowano w r. 1891/2:		
w fabrykach zsyndykowanych	26,590,000	
„ po za syndykatem	2,470,000	29,060,000 „
razem		32,325,000 pud.
zakup. na konsumcyę wewnętrzną około	23,500,000	
wywieziono około	4,930,000	28,430,000 „
pozostało w przybliżeniu zasobów na wrzesień 1892 r.		3,895,000 pud.

Zapasy w ciągu lat trzech powiększyły się prawie o 1 milion pudów i ceny znów okazywały tendencyę zniżkową. Przytém od 2 lipca 1892 r. zniesiono premię za wywóz cukru do Azyi, a 1 września podniesioną została akcyza od rafinady do 1 rs. 40 kop.

Dopiéro nieurodzaj buraków w lecie 1892 r. zmienił postać rzeczy. Już w lipcu w przewidywaniu nieurodzaju, ceny cukru podniosły się i komitet syndykalny postanowił zawiesić wykonanie wywozu 3% norm warunkowych, a w październiku zawiesił działanie umowy syndykalnéj, upoważniając fabryki do wypuszczenia na rynek wewnętrzny całéj ilości cukru wyprodukowanéj w kampanii 1892/3 r. Ceny

tymczasem tak gwałtownie szły w górę, że zjawiła się możliwość wypadku, przewidzianego w r. 1886, obniżenia cła na cukier zagraniczny. Prawo bowiem z 12 kwietnia 1886 r., ustanawiające cło od cukru na rs. 2, jednocześnie stanowiło, że w razie podniesienia się cen rafinady w Petersburgu do 6 rs. 60 kop., a w Kijowie do 5 rs. 50 kop., minister finansów będzie miał prawo obniżyć cło do 1 rs. 50 kop. od puda. Gdy w październiku ceny doszły 5 rs. 25 kop. i 5 rs. 40 kop., obniżenie cła było bardzo możliwe i zjawiła się obawa, że spekulacya rzuci na rynek wewnętrzny takie ilości cukru, które, nawet po powróceniu cła do dawnéj normy, obniżą cenę mączki o całego rubla i wywołają nowe nagromadzenie zapasów cukru.

Dla uniknięcia nowego zawalenia rynku i wynikających stąd strat zwołaną była konferencya z przedstawicieli ministeryów: dóbr państwa, spraw wewnętrznych i finansów, któréj opinia (Najwyżéj zatwierdzona 6 listopada 1892 r.) upoważniła ministra finansów, w razie podniesienia się cen cukru ponad 5 rs. 10 kop. za pud mączki na stacyach dróg żelaznych południowo-zachodnich, do sprzedawania na rachunek rządu cukru (mączki), sprowadzanego z zagranicy za opłatą cła. W wykonaniu tego rozporządzenia minister finansów 22 listopada (4 grudnia) 1892 r. upoważnił bank międzynarodowy do sprzedaży cukru na jego rachunek po cenie Zmerinka-Winnica 5 rs. 10 kop., Odesa 5 rs. 30 kop., Kijów 5 rs. 23 kop., Moskwa 5 rs. 60 kop., Petersburg 5 rs. 65 kop. i rozporządzenie to do dziś dnia się wykonywa. Postanowienie to od razu zatamowało spekulacyę cukrem. Zbliżająca się nowa kampania 1892/3 ochłodziła także zapędy, dając możność dostawienia na październik nowego cukru. W kampanii téj wyprodukowano (w przybliżeniu):

w fabrykach Królestwa Polskiego	3,847,000
w gubernii Podolskiéj	5,105,000
„ Kijowskiéj	5,624,000
„ Wołyńskiéj	1,714,000
„ Charkowskiéj . . .	2,932,000
„ Połtawskiéj . . .	1,778,000
w innych guberniach	3,319,000
razem	24,319,000

To są najważniejsze dane i fakta, dotyczące syndykatu cukrowni w państwie ruskiém.

VIII.

„*Alles ist hier im Werden*“ mówi o syndykatach jeden z ekonomistów niemieckich. Cele, środki, organizacya, stanowisko prawne, są

różne w różnych krajach i zmienne w różnych syndykatach; wspólną ich cechą: solidarność działania, wyłączenie konkurencyi między członkami syndykatu. Jak banki państwowe i akcyjne, towarzystwa wzajemnego kredytu ruchomego i nieruchomego, bankierzy, lichwiarze i pokątne lombardy, zaliczają do instytucyi kredytowych, tak samo: niemieckie kartele i związki, nasz syndykat cukrowy i trusty amerykańskie podciągamy zwykle pod jedną nazwę: syndykatów przemysłowych, mimo wszelkich różnic w organizacyi, stanowisku prawném, celach i środkach działania.

Dotychczasowych prób klasyfikacyi syndykatów nie można uważać za szczęśliwe. Oprócz przytoczonéj na początku klasyfikacyi ewolucyjnéj Schönlanka na 4 gatunki, według jakoby naturalnych czterech stadyów rozwoju syndykatów i czysto amerykańskiéj klasyfikacyi, opartéj na rozwiązaniu pytania: czy dany syndykat opanował rynek przez umowę z drogami żelaznemi, czy też bez takiéj umowy, spotykamy jeszcze próbę klasyfikacyi u H. Babled'a, dzielącego syndykaty na: obronne i zaczepne.

Pierwsze mają na celu obronę interesów przemysłowych, zagrożonych nadmierną konkurencyą, drugie (trusty) opanowanie rynku z celem spekulacyjnym, wyzyskania monopolu przez podniesienie cen. Klasyfikacya ta ma podstawę realną, tém nie mniéj nie pewną: raz zawiązany syndykat z łatwością przechodzi od obrony do napaści, bez zmiany w organizacyi i środkach działania, i dlatego ta klasyfikacya, jako nie oparta na określeniu rzeczywistych, stałych cech syndykatów, nie może być uznana za prawidłową.

Klasyfikacya syndykatów jest obecnie przedwczesną, a jeśli weźmiemy na uwagę zmienność organizacyi i środków działania, można wątpić, czy przyszłość na lepszą się zdobędzie. Próby przeprowadzenia klasyfikacyi, mimo wyraźnych przeszkód logicznych, wynikają z dążności i poniekąd poczucia konieczności, przeprowadzenia wyraźnéj i stanowczéj granicy między syndykatami przemysłowemi europejskiemi i amerykańskiemi trustami. W nauce i w przekonaniu ogółu są to organizacye zupełnie różne, do których zupełnie inne środki prawodawcze zastosowane być powinny. Trudność zaś wyznaczenia granicy pomiędzy jednemi a drugiemi wynika, naszém zdaniem, stąd, że jeśli raz uznamy trusty za syndykaty — różnice w celach i środkach nie dają się wyraźnie określić. Prawdziwa bowiem i charakterystyczna różnica polega na tém, że trusty nie są syndykatami. Są one formą organizacyi produkcyi pośrednią między towarzystwem akcyjném a syndykatami, i łatwość, z jaką w Ameryce północnéj tru-

sty przy pierwszéj sposobności zamieniają się w towarzystwa akcyjne, dowodzi słuszności powyższego poglądu.

Zasadniczą cechą syndykatu przemysłowego jest dobrowolna umowa, ograniczająca konkurencyę między przystępującemi do syndykatu przemysłowcami na czas określony umową, przy któréj jednak każdy przemysłowiec pozostaje właścicielem swéj fabryki i jedynym w niéj gospodarzem. Zobowiązuje się on zapłacić pewną karę wadyalną w razie zerwania umowy; czy zerwawszy płaci czy nie, to zależy od przepisów prawa w danym kraju, ale zapłaciwszy karę, w każdéj chwili wraca do stanu *quo ante*: prawnego, wyłącznego i nieograniczonego właściciela fabryki: prawa własności nie wyzbywa się on ani na chwilę. W trustach amerykańskich rzecz się ma inaczéj: podstawą trustu jest zrzeczenie się praw własności przez pojedyńczych właścicieli na rzecz syndykatu, a z chwilą tego zrzeczenia się, nie ma już dobrowolnéj umowy pojedyńczych przemysłowców, syndykat traci charakterystyczną cechę syndykatu, a więc syndykatem być przestaje. Trust jest zatém organizacyą *sui generis* „nowotworem wyrosłym na gruncie syndykatów“, jak powiada Steinmann-Bucher. Zaliczenie trustu do szeregu ewolucyjnych przeobrażeń, jakim ulegać muszą syndykaty w naturalnym ich rozwoju, o tyle tylko może być zrozumiane, o ile po za tym stopniem ewolucyi, stawiamy jako stopień ostatni: konieczne upaństwowienie przemysłu. Teorya ewolucyjna syndykatów Schönlancka tłómaczy się tém tylko, że była robiona wstecz, że punktem wyjścia było dla niéj stadyum ostatnie upaństwowienia przemysłu, jako cel ostateczny, żadnéj nie ulegający wątpliwości. Z chwilą jednak, w któréj pozwalamy sobie wątpić o konieczności tego ostatniego stadyum, dlatego że w dalszym rozwoju społecznym przypuszczamy, czy to utrzymanie się indywidualnéj własności, czy téż własność korporacyi dobrowolnych, teorya Schönlancka upaść musi, a trusty, jako stopień ewolucyjny syndykatów, same przez się znikają.

Najwyższym stopniem organizacyi syndykalnéj pozostaje organizacya niemiecka wspólnych biur sprzedaży, w któréj przemysłowiec, zrzekając się zupełnie samodzielności w kwestyach dotyczących zbytu swego produktu, pozostaje jednak właścicielem i gospodarzem fabryki w sprawach wewnętrznych, a jeżeli w sprawach administracyjnych i technicznych korzysta ze wskazówek, jakich mu komitet syndykalny, czy biuro wspólne udziela, czyni to dobrowolnie, jako wykonanie prawa korzystania z wiadomości i wskazówek, zebranych przez biura dla dobra zsyndykowanych, nie zaś jako dopełnienie przyjętego obowiązku.

Wyłączenie trustów z naukowego pojęcia syndykatów przemysłowych nie uwalnia nas od bliższego wyjaśnienia przyczyn ich powstania w Ameryce. Przyczyny te są specyficznie anglo-amerykańskiego pochodzenia. Od dawna już Anglia jest krajem względnego przeludnienia ludności i przepełnienia kapitału, i od dawna emigracya ludzi i kapitałów z Anglii przybrała szerokie rozmiary. Zwraca się ona przeważnie ku koloniom angielskim, dokąd ciągnie ich jednakowe prawodawstwo cywilne, wspólność języka i obyczajów, a to bez względu na polityczną zależność, lub niezależność (jak w Stanach Zjednoczonych) od Anglii. Roczne oszczędności narodu angielskiego statystyka ocenia na 5,000,000,000 marek. Kapitaliści są w ciągłém poszukiwaniu najrentowniejszego ich pomieszczenia, a świeży zupełnie krach banków australskich, (który pochłania około 23,000,000 funt. sterl. kapitałów, przeważnie szkockich) dowodzi, jak silném jest w Anglii poszukiwanie lokacyi dla kapitałów. Dążenie do otrzymania dochodu wyższego niż przecięciowe procenta, wywołało w Anglii po r. 1880 tworzenie się specyalnych syndykatów kapitalistów, pod nazwą „*Investment Trust*“, których celem jest, lokowanie wspólnych kapitałów w akcyach i papierach publicznych. Stojący na czele tych „*investment trustów*“ finansiści, studyując ciągłe stosunki ekonomiczne i finansowe państw zagranicznych i zakładów przemysłowych, mogą operować powierzonemi im kapitałami lepiéj i szczęśliwiéj, niż pojedyńczy kapitalista, a rzeczywiste usługi, jakie te syndykaty oddały swoim uczestnikom, były tak dotykalne, że liczba ich z 18, z kapitałem 190,000,000 mrk. w 1888 r., wzrosła w ciągu pierwszych 4 miesięcy 1889 r. do liczby 52, rozporządzających kapitałem 1,700,000,000 mrk. w połowie własnym, a w połowie zapożyczonym [1]).

Jednocześnie syndykaty te rzuciły się na grę giełdową i na eksploatacyę stosunków przemysłowych w krajach obcych. Protekcyonistyczna gorączka, która opanowała Stany Zjednoczone, nadawała się przedziwnie do wyciągnięcia zysków drogą zakładania trustów, zmonopolizowania przemysłu i spekulacyi giełdowéj udziałami trustów. W tym zbiegu dwóch momentów finansowéj natury, scentralizowania kapitału w Anglii i polityki celnéj amerykańskiéj, na gruncie gry giełdowéj szukać należy przyczyny powstania i początkowego powodzenia trustów amerykańskich. Próby zmonopolizowania przemysłu przez kapitał angielski były robione i w innych krajach (w Szwecyi skupiono fabryki zapałek i browary; w Wiedniu fabryki papieru, dru-

---

[1]) Steinmann-Bucher: „Wesen und Bedeutung der gewerblichen Kartelle“ w Schmoller'a „Jahrbuch für Gesetzgebung etc.“ str. 468 i nast.

karnie i gazety; w Czechach browary), ale nigdzie zmonopolizowanie przemysłu nie dawało się przeprowadzać z taką pewnością i łatwością, jak w Stanach Zjednoczonych Am. płnc., raz ze względu na wysoce scentralizowany charakter przemysłu amerykańskiego (ułatwiający porozumienie się z kilkoma właścicielami fabryk), powtóre ze względu na szał protekcyonistyczny, który opanował yankes'ów w epoce słynnego billu Mac-Kinleya.

Trusty amerykańskie są raczéj dziećmi giełdy niż przemysłu, wydatki poniesione na skup, wynajem, zamknięcie fabryk i zniszczenie konkurentów, są kapitałem straconym na marne, który czerpie źródło swego oprocentowania nie w istotnym rezultacie produkcyi, ale w przewyżce cen nad istotne koszta produkcyi i normalne ceny. Nowo powstające, a racyonalnie urządzone zakłady, są wiecznym postrachem trustu; skup ich pociąga nowe ofiary, zmusza trust do nowego wyśrubowania cen, wyradza jeszcze silniejszą dążność do otwierania nowych fabryk, a tak utworzone koło błędne musi prowadzić do bankructwa trustu. Zmniejszenie cła i nowe prawa karne przyśpieszają rozwiązanie: trust kończy bankructwem, albo ratuje resztki, przekształcając się w towarzystwo akcyjne założycieli; kierowników trustu nie martwi to wiele; giełda pozwala im wycofać się z interesu o wiele wcześniéj, o tém wycofaniu się świat dowiaduje się wtedy dopiero, kiedy sytuacya jest oddawna stracona. W początkach maja r. b. giełda new-yorska pochowała tak zwany *Cordage trust* (syndykat lin i sznurów), akcye 100 dolarowe już i tak nisko stojące, spadły do 12 doll., obligacye do 41 doll.; podniosły się one następnego dnia do 21 i 57 doll., ale straciły w ciągu dwóch dni 15 i 21% wartości nominalnéj.

Taki sam los spotkać powinien i inne syndykaty, z wyjątkiem może *Standard-Oil Trust*'u, którego zarząd odznaczał się zawsze stosunkowém umiarkowaniem i którego produkt z natury swojéj, jest zmonopolizowany geograficznie. Ostatnie jednak wiadomości o tym truście nie są pomyślne: powstało parę nowych towarzystw niezależnych (Crescent, rafinerye francuskie Mellon), które już dziś zatruwają słodycze życia Mistera Rockfellera, a zmuszając go do obniżki choćby ⅛ centa na gallonie, mogą przepołowić te piękne pensye i dywidendy zdobyte „dzięki wyjątkowéj jego energii“ w... porozumiewaniu się z dyrekcyami dróg żelaznych.

Giełda, która się lepiéj zna na spekulacyi, niż teoretyczni ekonomiści, nie miała nigdy prawdziwego zaufania do trustów. Że gra na udziałach syndykatów, cenę ich podnosi, to dowodzi nie zaufania do trustów, ale przekonania, iż udziały te jeszcze wyżéj podnieść się mają jutro, bez względu na to co nastąpi pojutrze; w udzielaniu kre-

dytu trustom była i jest o wiele ostrożniejsza niż w udzielaniu kredytu osobom i towarzystwom akcyjnym. O kredyt zawsze im było trudno, wypuszczone przez nie obligacye przynoszą 6—7—7½ procentu, co na stosunki amerykańskie jest oprocentowaniem wysokiém. Obligacye te mimo zapewnionego pierwszeństwa co do dochodu i kapitału w chwilach, gdy z pod trustu grunt się usuwa, spadają na giełdzie tak gwałtownie jak same udziały. Spadek ich dowodzi przekonania, że w razie likwidacyi interesów trustu, istotna wartość fabryk nie pokryje nawet wartości kapitału pożyczonego w formie obligacyi.

* * *

Syndykatem więc przemysłowym w naukowém znaczeniu jest taka organizacya ekonomiczna, w któréj właściciele zakładów przemysłowych, zrzekają się możliwych korzyści wynikających ze swobody konkurencyi, ze swobody rozporządzania produktem swego zakładu, ale pozostają pełnymi właścicielami samego zakładu, w najobszerniejszém tego wyrazu znaczeniu. Organizacye, w których ich prawo własności ustaje lub ulega ograniczeniom są trustami—*quasi* syndykatami i w dalszym ciągu, mówiąc o syndykatach przemysłowych, tylko pierwsze będziemy mieli na uwadze.

IX.

Swoboda pracy i umów jest niezawodnie najcenniejszym nabytkiem cywilizacyi w sferze ekonomicznéj organizacyi społeczeństw. Aby jednak dowodzić, że swoboda ta nie pociągą za sobą żadnych złych skutków, należałoby przedewszystkiem zapomnieć, że bywają, i to nie rzadko, przesilenia przemysłowe, i zamknąć oczy na całe morze nędzy ludzkiéj, bezpośrednio i pośrednio z przesileń przemysłowych wynikające. Daléj należałoby zaprzeczyć, że istnieje jakikolwiek związek między kwestyą roboczą a swobodą pracy, że konkurencya nie wywołuje nadużyć, nie jest ekonomiczną formą walki o byt, nie rozbudza instynktów dzikich, tkwiących w naturze ludzkiéj.

Jeśli zaś mimo to wszystko, społeczeństwa cywilizowane XIX wieku dotąd wcale nie zdradzają zamiaru pójścia za radą niektórych teoretyków ekonomicznych i nie usuwają swobody pracy i umów z podstaw swéj organizacyi, to tém większy interes budzić w nich musi pytanie: w jaki sposób możnaby usunąć lub ograniczyć złe skutki nadmiernéj konkurencyi, rezultaty tak zwanéj „produkcyi anarchicznéj“! Syndykaty przemysłowe są właśnie jednym z tych środków. Są one jakby automatycznym narządem, regulującym produkcyę,

a różniącym się od projektowanego gdzieindziéj regulowania produkcyi przez władze państwowe têm właśnie, że regulacyę tę pozostawiają swobodnéj umowie jednostek najbardziéj zainteresowanych, to jest przedsiębiorców produkcyi, przemysłowców. W téj ostatniéj okoliczności w têm „największém zainteresowaniu“ przemysłowca leży jednocześnie całe niebezpieczeństwo, z organizacyi syndykatu wynikające.

Sam przez się, bez względu na możliwe skutki, syndykat jest naturalnym wynikiem obecnéj organizacyi ekonomicznéj przemysłu. System celny, cła protekcyjne ułatwiają rozwój syndykatów, czasami zapewniają im z góry powodzenie, ale nie są istotną przyczyną sprawczą syndykatów. Gdyby cła były przyczyną wywołującą syndykaty przemysłowe, syndykaty angielskie i międzynarodowe istniećby nie powinny; istnienie ich najkategoryczniéj obala twierdzenie, że cła i tylko cła wywołały istnienie syndykatów, i że usunięcie systemu protekcyjnego usunie i syndykaty przemysłowe. Że w razie zniesienia ceł protekcyjnych wiele syndykatów upadłoby natychmiast, to wątpliwości nie ulega, ale część ich upadłaby po to, aby powstać na nowo w formie syndykatów międzynarodowych. Cła protekcyjne ułatwiają zorganizowanie syndykatów, pozwalają ograniczyć je przestrzenią danego państwa, lub danego związku celnego, i w têm leży źródło błędnego pojęcia, iż cła protekcyjne są przyczyną syndykatów.

Wyłączenie konkurencyi zagranicznéj, możliwość obliczenia minimalnéj ceny za jaką towar zagraniczny, po opłacie cła, może być w kraju sprzedany, a więc pewność, że do tego *minimum* można cenę towaru podnieść, są nie raz ostatnią pobudką i zachętą do zorganizowania syndykatu, są ogromném ułatwieniem dla organizatorów; ale istotna przyczyna leży w zamiarze ograniczenia konkurencyi drogą dobrowolnéj umowy między producentami. To co osiągały dawne cechy drogą prawnego przymusu, to samo ma być osiągnięte drogą dobrowolnéj, na umowie opartéj organizacyi, tam w sferze rzemiosł, tu w sferze przemysłu.

Aby dobrze pojąć znaczenie tego dążenia producentów do dobrowolnéj organizacyi, ograniczającéj konkurencyę, należy uprzytomnić sobie, że na zachodzie Europy, producent stoi dziś między co raz silniéj organizującemi się: klasą roboczą i spożywcami produktu. Związki robocze (*Trades union*) i stowarzyszenia spożywcze, są dziś potęgami z któremi walka dla pojedyńczego przemysłowca jest niemożliwa.

Bojkotowanie zarządzone przez związek roboczy może zmusić

przemysłowca do zamknięcia fabryki. Stowarzyszenia spożywcze mogą jeśli nie zawiesić, to ograniczyć zbyt jego towarów. W tych warunkach odmówić przemysłowcom prawa obrony drogą samopomocy, uznać za karygodną wszelką bez wyjątku organizacyę, mającą na celu obronę interesów fabrykantów, pozostać na stanowisku francuskiego konwentu, który w r. 1793 nałożył karę na wszelkie związki rzemieślników i przemysłowców jednego fachu, byłoby upośledzeniem pewnéj klasy społecznéj bez należytego motywu racyonalnego.

Nieprzyjaciele syndykatów tę racyonalną podstawę odnajdują w niebezpieczeństwie grożącém społeczeństwu w skutek możliwości zmonopolizowania przemysłu i eksploatowania konsumenta przez nadmierną zwyżkę cen. Ale jest to dopiero możliwość nie zaś konieczność, któréj usunięcie jest także możliwém. Twierdzenie zaś, że syndykaty istnieć nie powinny, bo mogą sprowadzić skutki, którym można zapobiedz, opiera się na takich samych logicznie argumentach, na których opiera się żądanie usunięcia swobody pracy i umów, dla tego, że wywołują one produkcyę anarchiczną, któréj możliwe złe skutki są możliwemi do usunięcia. Nawet w metodach dowodzenia „ostateczności graniczą ze sobą“.

Jakkolwiek ograniczenie przesileń przemysłowych i obrona wspólnych interesów są dostateczném uprawnieniem dla syndykatów, i w obec tego, kwestya możliwych złych i dobrych skutków, może być na drugim planie postawiona, bliższy jednak rozbiór tych nie koniecznych ale możliwych złych skutków zsyndykowania się producentów, pominiętym być nie może.

Między złemi skutkami, wynikającemi z organizacyi syndykatów, najpoważniejszemi są niebezpieczeństwa wyzyskania konsumenta i robotnika.

Wyzysk konsumenta wynika z ograniczenia, zmonopolizowania produkcyi i podniesienia ceny i to niebezpieczeństwo jest istotne, chociaż w ocenieniu jego wielkości często znajdujemy przesadę, wynikającą z przypuszczenia, że syndykaty mogą ogarnąć wszystkie gałęzi przemysłu bez wyjątku i że możliwe jest utrzymanie wszelkiéj ceny. Ojcem tego fałszywego przekonania, co do powszechności syndykatów, jest życzenie przyjaciół syndykatu, aby scentralizowana przez syndykaty produkcya roztopiła się w państwowéj organizacyi przemysłu. Tak jak niedawno jeszcze głoszono zasadę, że wielki przemysł pochłania wszystkie gałęzi pracy, tak samo Schönlanck i jego towarzysze ulegają złudzeniu, iż syndykaty mogą ogarnąć wszystko.

Są gałęzie pracy, w których przewaga wielkiego kapitału nad małemi jest tak wielka, iż powolne usunięcie rzemiosł i małych fabryk

jest kwestyą czasu, obecności kapitału i odpowiednich indywidualnych zdolności organizatorskich. Są jednak inne gałęzie produkcyi, w których wielki przemysł i dziś nawet żadnych nie robi postępów, bo gatunek produkcyi nie nadaje się całkiem do masowéj fabrykacyi, bo z natury swéj produkt, aby być poszukiwanym, musi posiadać pewne cechy indywidualne, do osoby konsumenta zastosowane, a wytworzenie téj indywidualności wyłącza z góry wszelką myśl masowego produkowania. Daléj, najbardziéj zdolny do masowego wyrobu przemysł, nie może być bez ograniczenia koncentrowany w olbrzymie zakłady, produkujące nieskończenie wielkie ilości jednego produktu. Naturalny zakres sił i zdolności ludzkich, mogących kierować olbrzymiemi zakładami, stawia pierwszą granicę koncentracyi fabryk, drugą zaś granicę znajdujemy w kosztach transportu, które wywołują zawsze dążenie do produkowania w jak najmniejszéj odległości od źródeł materyału surowego i konsumenta.

Schönlanck i jego koledzy wnieśli podobną jednostronność do kwestyi syndykatów. W danych, jakie przytoczyliśmy o istniejących syndykatach niemieckich, zwraca uwagę to, że w przemyśle tkackim syndykaty nie rozwijają się prawie zupełnie. O ile jeszcze spotykamy się z syndykatami przędzalni, o tyle we właściwém tkactwie są one i dziś rzadkością; przyczyna leży w tém, że ani dobroć, ani rysunek, ani kolory tkanin, z różnych fabryk wychodzących nie dają się podciągnąć pod pewne normy, oszacować, w cenie oznaczyć; konsument ceni je różnie, stosownie do swoich indywidualnych upodobań. Syndykaty mają pole działania otwarte tylko tam, gdzie produkt fabrykacyi wyłącza wszelką indywidualność, gdzie produktem jest masa, miliony cetnarów, metrów, litrów towaru, a gatunek i dobroć ich oznaczają się ze ścisłością matematyczną, czy to drogą analizy chemicznéj (jak cukier, spirytus, nawozy sztuczne, przetwory chemiczne), czy téż drogą ekspertyzy fizycznéj (szyny, cegła, wapno, cement, żelazo, blacha), czy téż nakoniec tam, gdzie produkt sam wykonany wedle wzoru (rysunku) z góry oznaczonego i z materyału z góry umówionego, ma charakter tak ściśle określony (maszyny, szkło, wagony), że jednostki produkowane, po sprawdzeniu wymiaru rysunku i jakości materyału, z trudnością jedna do drugiéj odróżnione być mogą.

W ten sposób różne gałęzie produkcyi w różny sposób do zsyndykowania się nadają i najbujniejsza fantazya ekonomiczna, jeśli tylko nie ma zamiaru zerwać wszystkich węzłów łączących ją z logiką, nie może sobie wystawić przyszłéj organizacyi produkcyi (rozumié się przed obiecywaném jéj upaństwowieniem) inaczéj, jak w formie organizacyi wielkich, małych i średnich przedsiębiorstw, należących do je-

dnostek i korporacyi, zsyndykowanych i niezsyndykowanych, stosownie do natury przemysłu. Natura produkcyi jest pierwszym i kardynalnym warunkiem, do którego zastosowane być musi wszystko, co stanowi administracyjno-prawną, społeczną stronę produkcyi. Rozwój techniki i ulepszenie maszyn nie są w stanie znieść indywidualności produktu, a rozwój zmysłu estetycznego i wzrost dobrobytu mas stawia i stawiać będzie masowéj fabrykacyi wielu produktów granice, nie dające się przełamać; tak samo indywidualność wyrobów, ich gatunek i odmiany, uniemożliwiając podciągnięcie cen do jednego mianownika, stanowią tamę dla zsyndykowania wielu gałęzi przemysłu. Ograniczywszy w ten sposób zakres niebezpieczeństwa zsyndykowania i możliwego zmonopolizowania wszystkich gałęzi przemysłu, przypatrzmy się bliżéj niebezpieczeństwu podniesienia ceny.

Że celem syndykatów jest podniesienie cen produktów przez ograniczenie czy to produkcyi, czy téż konkurencyi między producentami, na tym punkcie nie może być dwóch zdań, i wszelkie twierdzenie przeciwne jest rzucaniem piasku w oczy. Mr. Rockffeller utrzymuje, że *Standard Oil Trust* nigdy nie dążył do podniesienia cen, owszem, starał się drogą oszczędności zaprowadzonych w technice produkcyi i w technice administracyi obniżyć cenę nafty rafinowanéj, a zyskami, z téjże oszczędności wynikłemi, dzielił się z konsumentami. Kwestya dzielenia się zyskami z konsumentem przez *Standard Oil Trust* była rozbierana w prasie amerykańskiéj i daje nam mały przykład traktowania tych kwestyi w publicystyce.

Ashrott w *„Archiv für Socialgesetzgebung und Statistik“* przytaczał szeregi cen nafty surowéj i rafinowanéj, dowodząc, że od czasu założenia trustu aż do r. 1887 cena nafty rafinowanéj w stosunku do nafty surowéj spadała ciągle, a różnica między temi cenami, reprezentująca koszt rafinowania łącznie z zyskami trustu, zmniejszyła się od $13,_{72}$ centów w 1871 i do $5,_{16}$ cts. w 1887 za gallon. Te same jednak dane posłużyły p. Andrews (*Quarterly Journal of Economics*) do dowodzenia twierdzenia przeciwnego, a mianowicie, że *Standard Oil Trust*, cenę nafty podnosi, bo opóźnia naturalne obniżenie cen, wynikające z ulepszeń techniki, że kiedy ulepszenia techniczne zrobione w latach 1861 — 1872 wyrażają się spadkiem kosztów rafinowania o $10,_{132}$ cts., a od 1872—1881 o $7,_{389}$ cts., to od czasu sformowania się trustu, spadek stanowi już tylko $2,_{879}$ cts. na gallonie. W dowodzeniu tém zapomniano o jednem: gdyby koszta produkcyi zmniejszały się ciągle w arytmetycznéj proporcyi, producent musiałby w końcu darmo swój towar oddawać i *Standard Oil Trust* dla utrzymania spadku cen rafinowania co lat 10 o $10,_{13}$ cts. na gallonie, jak to miało miejsce

w latach 1861 — 1872, albo spadku $7,_{3897}$ cts., jak się to zdarzyło w 1872—1881, musiałby dając naftę, rafinować ją darmo. Żądanie więc, aby cena spadała co dziesięć lat na tę samą ilość centów, jest po prostu absurdem. Nie dowodzi to jednak, aby *Standard Oil Trust* istotnie ceny obniżał. Przeciwnie, twierdzenie jego o dzieleniu się zyskami z konsumentami bardzo stanowczo odpierają ceny za całe lat 20, które dowodzą, że od r. 1881, to jest od czasu, w którym trust stanowczo opanował rynek, różnica cen między naftą surową i rafinowaną, a więc wynagrodzenie za rafinowanie nafty nie zmiejszyło się, że spadek ceny rafinowania trwał dopóty, dopóki Mr. Rochefeller wojował z konkurentami.

Zresztą wyjaśnienie stanowcze kwestyi cen odnośnie pewnéj gałęzi przemysłu wymaga wiarogodnych (a o to bardzo trudno) obliczeń kosztów własnych fabrykacyjnych zsyndykowanego produktu i dopiéro przez porównanie ruchu ceny sprzedażnéj, z ruchem cen materyałów surowych i dodatkowych, cen najmu robotnika i zmian w kosztach produkcyi można rozwiązać ostatecznie pytanie: czy dany syndykat dążył do obniżenia cen, do ich podniesienia, czy téż do powstrzymania ich spadku?

Zdrowy rozsądek wskazuje, że celem syndykatów nie może być zmniejszenie zysków przedsiębiorcy. Byłoby to ofiarnością bez motywu. Nie przeczymy bynajmniéj, że syndykaty dają nie raz przemysłowcom sposobność powiększenia zysków bez podniesienia ceny; pozwalają im zmniejszać naprzykład koszta handlowo-administracyjne, ograniczyć zyski pośredników i przez szersze zastosowanie najnowszych wynalazków, osiągnąć duże oszczędności na właściwych kosztach produkcyi; ale wszystko to razem, czyni się z zamiarem zatrzymania wynikłych ztąd zysków w całości lub w części dla siebie, nie zaś z zamiarem odstąpienia ich w całości konsumentowi.

Celem syndykatu odnośnie do tych wypadków jest powstrzymanie oddania konsumentowi całości lub części zysków.

Zasadniczym celem syndykatu jest zahamowanie spadku cen, wywołanego nadmierną konkurencyą i dążącego do ustanowienia ceny bieżącéj, niżéj kosztów produkcyi; jest odwrócenie grożącego, lub usunięcie już egzystującego przesilenia przemysłowego. Zakładane w tym celu syndykaty są jakby stowarzyszeniami wzajemnego ubezpieczenia zysków, i z tego punktu widzenia najlepiéj można zrozumieć ich naturę i warunki powodzenia. Główną podstawą ich istnienia musi być takie ustosunkowanie strat i zysków, wynikających z ograniczenia konkurencyi, aby one w ostatecznym rezultacie dawały przeciętny normalny zysk w kraju, aby fabrykant, otrzymując w wyż-

széj nieco cenie produktu wynagrodzenie za zrzeczenie się ewentualnych zysków ze swobodnéj sprzedaży towaru i z możliwego rozszerzenia produkcyi wynikających, sam w formie tego zrzeczenia się płacił premię ubezpieczenia, aby nie usiłował przenieść go na konsumenta przez nadmierne podniesienie ceny. Przechodząca normalne zyski zwyżka cen jest już wprost wynagrodzeniem za ograniczenie produkcyi, a podwyższenie zysków przeniesieniem premii, to jest strat, na konsumenta przez zwyżkę cen, zachęca do konkurencyi po za syndykatem, musi wywołać jego upadek i rozwiązanie. Syndykat traci charakter stowarzyszenia ubezpieczenia zysków zawsze, jak tylko nadmierne ograniczenie produkcyi wywołuje nie naturalną różnicę między ceną a kosztami produkcyi, jak tylko zsyndykowani, każąc ponosić konsumentom ciężary ubezpieczenia, sami w umowie syndykalnéj strat unikają. Z tego téż powodu w krajach i epokach wykazujących skłonność przemysłu do zsyndykowania się, wysokie cła ochronne stanowią jawne niebezpieczeństwo, bo są zachętą do podniesienia ceny na całą wysokość cen zagranicznych *plus* cło, a ciała i władze prawodawcze zmuszone są do obniżania ceł ochronnych w każdym wypadku, gdy nadmierne zyski syndykatów wymagają obrony interesów spożywców.

Steinmann-Bucher twierdzi, że obrona konsumentów jako pewnéj klasy społecznéj jest teoretycznym dziwolągiem, konsument bowiem czysty, istota ludzka, tylko konsumująca a nie produkująca, jest sennémi widziadłem (*ein Phantom*), nie zaś rzeczywistością. Wynika stąd, że ograniczenia prawne syndykatów w interesie konsumentów są nielogiczne, że jeśli szkodliwość syndykatów wynika w skutek podniesienia cen, na korzyść producenta, przemysłowca i robotnika, a na niekorzyść tylko nieprodukującego konsumenta, kapitalisty, rentiera, to taka walka jest albo obroną klas próżnujących, albo obroną interesów osób nie istniejących, obroną interesów ekonomicznego sennego widziadła.

Opinia Steinmann-Buchera opiera się na przeteoretyzowaniu kwestyi. Czy istnieje „*ein reiner Consument*“, o to się spierać nie będziemy; że „interesa konsumentów“ istnieją, że są wielkie i silne, tego dowodzą najlepiej, stowarzyszenia spożywcze, broniące interesów wszelkich klas „j a k o k l a s y k o n s u m e n t ó w“. Tak samo powiedzieć by można, że i czysty producent nie istnieje, że każdy przemysłowiec, jako konsument, zainteresowany jest w możliwie wielkiém obniżeniu cen, i że z tego punktu widzenia zawiązując syndykaty, sam sobie szkodzi, bo przy ogólném podniesieniu cen zarobek jego zginie w powiększonych wydatkach na utrzymanie rodziny. Przemysłowiec

jednak nie jest tak naiwnym, żeby w to rozumowanie uwierzyć; on wié, że jeśli by nawet podniesienie cen jego produktu w „n a s t ę p s t w i e c z a s u“ wywołać musiało podniesienie się wszystkich cen, to owo „n a s t ę p s t w o c z a s u“ jest dość długie, aby pozwolić mu na zrealizowanie odpowiednich zysków, po zrealizowaniu których, reszta nic go już nie wzrusza. Czysty i nie czysty konsument nie jest złudzeniem ale rzeczywistością, potrzebującą: mąki, mięsa, cukru, odzieży i wielu innych drobnych rzeczy; nie może on obojętnie patrzéć na drożenie tych rzeczy, wskutek umów syndykalnych i cieszy się z każdéj obniżki cen, która pozwala mu czy to żyć wygodniéj, czy prędzéj starość zabezpieczyć. Jeśli zaś przy tém jest on i producentem i za zdrożenie towarów otrzymuje prawo do szukania wynagrodzenia w zwyżce cen swego produktu „w n a s t ę p s t w i e c z a s u“, to obietnica ta mało go uszczęśliwi, bo urzeczywistnienie téj zwyżki wymaga współistnienia kilku warunków, o których teorya zapomniała, a o których on pamięta i nim one nastąpią, przemysłowiec musi, albo wyrzec się tego co już posiadał, albo stracić te korzyści jakich się w skutek obniżki cen spodziewał. Dla tego téż czy to podniesienie cen istniejących, czy téż wstrzymanie spadku cen, wywołanego technicznemi ulepszeniami, jest dla konsumentów, a tém samém i dla ogółu szkodliwe, i jako takie może być usprawiedliwione tylko wtedy, gdy zjawia się jako złe mniejsze, złe chroniące od innego większego złego.

Takiém złem innném, większém, jest przesilenie przemysłowe, z jego nadmiernym spadkiem cen, niżéj kosztów produkcyi. Korzyści jakie ogół konsumentów osiąga z przesilenia przemysłowego, z cen wyjątkowo nizkich, niższych od kosztów produkcyi, są prawie żadne. Wyjątkowo nizka cena zachęca do nadmiernego i nie ekonomicznego zużycia produktu i to jeśli zniżka dotarła do handlu detalicznego. Najczęściéj jednak, jeśli przesilenie długo nie trwa, zyski te, różnica cen, więzną w rękach spekulacyi i pośredników, a czysty konsument na przesileniu albo mało, albo nic nie zyskuje. Wiemy, jak ciężkie przesilenie i od jak dawna trapi nasze rolnictwo, czy jednak w detalicznéj sprzedaży ceny produktów spożywczych staniały? czy chléb, bułki i mięso są tańsze? Za to kiedy przesilenie się skończy, kiedy zmniejszona przez zniknięcie wielu fabryk, produkcya gwałtownemu ograniczeniu uległa, a w skutek tego producent może ceny podnieść, podnosi je tak, aby pokryć koszta produkcyi, zyski normalne i straty w czasie przesilenia poniesione, a wszystko to musi pokryć, jeśli ma istniéć daléj. O tém podniesieniu cen konsument dowiaduje się od detalicznego sprzedawcy natychmiast. Kieszeń jego odczuwa tę

zwyżkę nawet przed czasem, na parę miesięcy wprzódy nim nowy produkt do niego doszedł i płaci on często tę podwyższoną cenę za produkt sprzedany przez producenta po cenie przesileniowéj. W interesie konsumenta leży unikanie przesileń, płacenie cen stałych normalnych, możliwie nizkich, ale nie absolutnie najniższych. Wszystkie anormalne spadki cen, rzadko kiedy idą na jego korzyść, wszystkie zwyżki płaci on niezawodnie.

Ze stanowiska więc konsumenta, syndykaty przemysłowe są uprawnione, o ile dążą do zapobieżenia silnym i nagłym wahaniom cen, nie może on jednak patrzéć obojętnie na dążenie wyzyskania siebie przez zmowę, wskutek chwilowego opanowania rynku przez producentów.

Obrońcy syndykatów *quand-même* starają się dowieść, że albo konsument jest senném widziadłem, albo, że nigdy on nie traci i każą się nam domyślać, że na zwyżce cen, wywołanéj umową syndykalną, tracą tylko nieprodujący konsumenci; każą nam wierzyć w to, że na téj zwyżce traci rentier-kapitalista, a zyskuje robotnik. Jakkolwiek nie jest to ani logicznéi ani słusznéi wydawać wyrok w sprawach syndykatów ze stanowiska jednéj klasy społecznéj, i to pośrednio tylko zainteresowanéj (bezpośrednio bowiem interesowani są tu: bezpośredni konsument i bezpośredni producent, a zainteresowanie innych klas co do stopnia zależy od stopnia możliwego wpływu ceny produktu na te interesa), chyba że i to przypuszczenie dalekie jest od prawdy. Nam zdaje się, że kapitalista jest bliższym krewnym fabrykanta niż robotnik, że zwyżka średnich zysków w przemyśle bardziéj oddziaływa na średni procent w kraju, niż na zarobki, że kapitalista chętniéj się zgodzi na powiększenie zysków fabrykanta przez podniesienie cen wogóle, aniżeli robotnik.

Trusty wyszły ze sfer kapitału angielskiego; przedstawiciele związków roboczych na wystawie paryskiéj stawiali żądanie uznania syndykatów za szkodliwe, i ograniczenia ich drogą prawodawczą [1]). Obietnica zsyndykowanych fabrykantów i ich teoretycznych adwokatów, dzielenia się zyskami z robotnikami, nie zawsze bierze się przez sfery robocze na seryo. Dlaczego? wspomnieliśmy o tém, mówiąc o syndykatach amerykańskich i niemieckich.

Sądzenie syndykatów ze stanowiska wyłącznie klas roboczych, ma i tę logiczną wadę, iż jest tylko dopóty możliwém, dopóki nie przypuszczamy faktycznéj możliwości zorganizowania wielkich syndyka-

---

[1]) J. Jaunet: „Le capital, la speculation et la finance au XIX siècle", strona 333.

tów rolnych, mogących opanować cały rynek produktów żywnościowych.

Widzieliśmy, że w Ameryce związki fermerów coraz bardziéj potężnieją i że jak dotąd, mają inne cele i dążności niż *Standart Oil* albo *Sugar Trust*. Nie jest jednak niemożliwém, aby z czasem *Farmers-Union* nie pomyślała o uregulowaniu handlu zbożowego, i nie potrafiła go uregulować. W dziele, pod tytułem „*Die Nationale Production und Nationale Berufsgliederung*" (G. Losch, str. 221), spotkaliśmy się z myślą o skutkach, jakie może wywołać syndykat farmerów amerykańskich w porozumieniu się ze sferami rządzącemi w największém państwie starego lądu, które nie potrzebowałyby organizować syndykatów, ale mogłyby nałożyć cło wywozowe na zboże, i cło to regulować w porozumieniu się z syndykatem amerykańskim. Nam obecnie nie chodzi o wyjaśnienie skutków takiéj operacyi, dokonanéj na ciele zachodniéj Europy przez ów hypotetyczny sojusz, idzie nam o wyjaśnienie pytania: jaką miarą byłby mierzony ten syndykat przez socyalnych demokratów niemieckich — czy i tę formę organizacyi społecznéj uważaliby oni za stanowczo pożyteczną ze stanowiska robotników. Sądzimy, że ze względu na ciężką klęskę, jakąby taki związek i takie cła zadały przemysłowi i klasom roboczym zachodniéj Europy, uznaliby oni ten syndykat za bezwzględnie potępienia godny, i stwierdziliby tylko, że sądzenie o instytucyach społecznych, politycznych czy ekonomicznych ze stanowiska jednéj, choćby nawet bardzo licznéj klasy społecznéj, nie jest logicznie usprawiedliwione, i do wniosków prawdziwych nie prowadzi.

Jeśli chcemy sądzić o korzyściach, jakie syndykaty przynoszą klasie robotników, wróćmy do faktów przytoczonych w pierwszéj części naszéj pracy. W Niemczech nikt cyframi nie starał się dowieść, iż syndykaty wpłynęły dodatnio na los robotników, najżarliwsi obrońcy syndykatów nie kuszą się o dowiedzenie téj tezy cyframi, poprzestając na gołosłowném twierdzeniu. Ekonomiści amerykańscy, cyframi dowodzą tezy przeciwnéj: zamknięcie 80% gorzelni, zmniejszenie ilości robotników w rafineryach o połowę i obniżenie zarobków pozostałéj połowie, są to fakty, którym zaprzeczyć nie można. To, co nazywamy ulepszeniami technicznemi, korzyściami scentralizowania przemysłu, zastosowaniem wynalazków najnowszych, to wszystko nie zawsze dąży do podniesienia zarobków; są to korzyści, z których robotnicy może się cieszą jako konsumenci, z powodu których jednak często przymierają głodu jako producenci. Podział syndykalnych korzyści między fabrykantem a robotnikiem jest tylko możliwością — i to odległą teoryą, wywleczoną na pierwszy plan w Niemczech przez

adwokatów syndykatu gwoli powszechnéj modzie sądzenia kwestyi ekonomicznych ze stanowiska wyłącznie klas roboczych—teoryą, która na nieszczęście, gdzie jak gdzie, ale w Niemczech z wyżyn teoryi do praktyki nie schodzi.

W jednéj Anglii, skutkiem silnie zorganizowanych związków roboczych, istnieje w pewnych gałęziach przemysłu porozumienie się grup fabrykantów z klasą roboczą co do zależności zarobków od cen produktów, tak zwana „ruchoma skala zarobków;“ ale porozumienie to, nie ma związku z właściwemi syndykatami przemysłowemi — istniało przed niemi i w większéj części wypadków, dążenie do porozumienia ze związkami robotników wywołało istnienie syndykatów przemysłowych.

Korzyści, jakie robotnik osiągnąć może z organizacyi syndykatów przemysłowych, istnieją realnie, polegają one jednak na czémś inném, aniżeli na możliwości podziału zysków. Zasadzają się one na usunięciu i ograniczeniu przesileń przemysłowych, prowadzących do gwałtownych ograniczeń produkcyi, wyrzucania robotników na bruk i odjęcia im możności zarobkowania. Ta korzyść jest niewątpliwa i realna. Tę korzyść uznają wszyscy i w tych korzyściach uczestniczą zarówno producenci-przedsiębiorcy, jak robotnicy, jak i konsumenci. W tym głównym celu syndykatów: ograniczenia przesileń, wszystkie interesa wszystkich klas społecznych są ze sobą w zgodzie i dlatego nie może ulegać wątpliwości, że syndykaty przemysłowe, jako środek zabezpieczenia przemysłu od przesileń, lub środek ograniczenia skutków przesileń, na poparcie ze strony rządu, prawodawstwa, społeczeństwa i opinii publicznéj zasługują.

Ze stanowiska klas roboczych, syndykaty przynoszą jeszcze drugą korzyść, korzyść, że tak powiemy dodatkową, bo wynikają nie z cech głównych syndykatów przemysłowych, jako takich, ale z charakteru, który posiada każde ciało zbiorowe producentów, naprzykład tak zwane syndykaty francuskie. Wszelako ta druga korzyść nie jest konieczna, lecz tylko możliwa i ocenienie jéj tém jest trudniejsze, że przy pewnych warunkach zmienić się ona może w uszczerbek bardzo realny. Urzeczywistnienie jéj zależy od rozwiązania pytania: czy unormowanie zarobków zgodne z interesami ogólnie-społecznemi może nastąpić bez zorganizowania związków roboczych i związków fabrykantów, czy też jest bez takiéj organizacyi niemożliwém? Przykład Anglii, gdzie stosunki robotników do pracodawców regulują się w sposób względnie najlepszy, prowadzi do wniosku, że organizacya dobrowolnych związków fabrykantów i robotników jest dla pokojowego oznaczenia normalnéj wysokości zarobków pożą-

daną. Wszelkie izby pojednawcze i sądy arbitrów mogą się organizować tylko na gruncie już istniejącego, solidarnego działania przemysłowców z jednéj, a robotników z drugiéj strony, i to solidarne działanie, osiągnięte przez sformowanie związków, syndykatów, jest gruntem, na którym tak zwany spokój społeczny wzniesiony być może. Wyłącza ono wpływ osobistych nienawiści na przebieg porozumienia się przedsiębiorcy z robotnikiem i już têm samêm ułatwia porozumienie się. Wprawdzie syndykaty przemysłowców nie mają na celu uregulowania stosunków z robotnikami, ale zawiązanie ich ułatwia zsolidaryzowanie się sfer przemysłowych i stanowi grunt, na którym bardzo łatwo o porozumienie się i solidarne działanie w kwestyi normowania zarobków.

Stosunek ścisły między jednym i drugim rodzajem związków, zrozumiemy należycie wtedy dopiéro, jeśli uprzytomnimy sobie, że często niemożność podwyższenia zarobków wynika, z obawy konkurencyi sąsiada i że dla przemysłowca podniesienie zarobków, przy jednoczesném odpowiedniém podniesieniu ceny produktu, nie zmniejsza sumy jego zysków.

Ta jednak druga dodatkowa korzyść, płynąca dla robotników z syndykatów przemysłowych, jest korzyścią możliwą i na ten jéj charakter możliwości têm większy nacisk kłaść należy, że solidarne działanie przedsiębiorców, może miéć na celu i zmniejszenie zarobków.

W każdym razie zaprzeczyć nie można, iż syndykaty przemysłowe, o ile nie wykraczają po za cel swój główny stowarzyszenia ubezpieczeń od strat, wynikających z przesileń przemysłowych, są w stanie oddać zarówno producentom, przedsiębiorcom i robotnikom, jak i konsumentom a więc i całemu społeczeństwu rzeczywiste usługi; nie powinny więc w żadnym razie ulegać przepisom prawa karnego, ani téż bezwzględnemu potępieniu przez opinię publiczną. Nie należy jednak zapominać, że usługi te ustają z chwilą, w któréj syndykaty tracą charakter stowarzyszenia ubezpieczeń i przeradzają się w zmowę, mającą na celu wyzyskanie czy to spożywców, czy téż robotników.

X.

Łatwość, z jaką każdy syndykat, zawiązany dla koniecznéj i uprawnionéj obrony interesów zagrożonego przesileniem przemysłu, przejść może w syndykat, jak nazwał Babled, zaczepny, dążący do wyzyskania konsumenta, nie pozwala kwestyi syndykatów zakończyć stwierdzeniem możliwych korzyści, z istnienia syndykatów wynikają-

cych, i zapewnieniem lub dowiedzeniem, że tak zwane syndykaty zaczepne, jako zjawiska nieekonomiczne, chorobliwe, same upaść muszą, ale wymaga rozpatrzenia kwestyi czy są? i jakie środki? takiego unormowania organizacyi syndykatów, aby przejście od obrony własnéj do wyzysku innych, od zabezpieczenia się od przesileń, do monopolu, było jeśli nie zupełnie niemożliwém, to przynajmniéj w najwyższym stopniu utrudnioném.

Przedewszystkiém stwierdzić tu należy, że absolutny zakaz organizowania syndykatów i nałożenie kary kryminalnéj na ich uczestników są postanowieniami bezskutecznemi. Zakaz prawny nie przeszkadza istnieniu syndykatu żelaznego u nas, syndykatów górniczych we Francyi, i zakazy te, skoro zjawi się potrzeba zawiązania syndykatu, odnoszą zawsze i wszędzie, jeden i ten sam skutek: usuwają działanie syndykatów z przed oczów rządu i ogółu, zakrywają syndykat przed oczami opinii publicznéj i prawa. Zapewnić wymiaru kary nie są one w stanie, jeśli tylko kierający syndykatem przedsięwezmą z góry odpowiednie środki ostrożności, aby naprzykład dążyć nie do podniesienia cen, ale ich podtrzymania, nie do ograniczenia produkcyi, ale jéj określenia, nie do powiększenia zysków, ale ich unormowania. Co to jest cena normalna? zysk normalny? i produkcya normalna? można mówić w teoryi, ale nie w sali sądowéj. Żaden sąd nie jest w stanie określić gdzie się zaczyna obrona własna, a gdzie wyzysk; kiedy syndykat ceny podnosi, a kiedy je podtrzymuje. Przykład syndykatu miedzianego w Paryżu, dowodzi, że przy odpowiedniéj dozie prawnéj przezorności i dobréj, prawniczéj poradzie, kierownicy najniewątpliwszego syndykatu spekulacyjnego od odpowiedzialności sądowéj uwolnić się potrafią; kara spada na nieprzezornych i prawa nie znających.

Pierwszym warunkiem do zatamowania szkodliwości syndykatów jest ich publiczność i jawność. Z tego téż względu zakazy i kary są wprost swemu celowi przeciwne. Jawność połączona z obowiązkiem składania w sądzie umowy, pod nieważnością, i ogłaszania sprawozdań, jest to, czego się najwięcéj kierownicy amerykańskich trustów obawiali. Parlamentarne ankiety amerykańskie dowiodły, że komitety syndykatów amerykańskich unikały nawet spisywania protokółów swoich posiedzeń. Ogłoszania coroczne wypłacanych zysków i rachunków szczegółowych, wykazujących źródła tego zysku (przez porównanie z istotnemi kosztami produkcyi), są dla syndykatów, dążących do wyzysku, równie wstrętne; są one pobudką do zakładania nowych fabryk po za syndykatem, zwiększenia konkurencyi i osłabienia monopolu.

W kraju, obfitującym zarówno w kapitały jak w ludzi przedsiębiorczych a technicznie uzdolnionych, sprawozdania szczegółowe z finansowych rezultatów syndykatu byłyby wskazówką niezawodną dla kapitałów szukających najwyższego oprocentowania. W krajach ubogich zarówno w kapitały jak i odpowiednich ludzi, istniejące zakłady posiadają bez zmowy rzeczywisty monopol, a cła protekcyjne monopol ten gwarantują, zapewniając na cały szereg lat wyłączenie konkurencyi zagranicznéj.

Zniesienie kar, nakładanych na zmowy przedsiębiorców, usunięcie niebezpieczeństwa dochodzenia kryminalnego, miałoby jeszcze ten dobry skutek, że wniosłoby w sferę syndykatów nieco więcéj dobréj wiary. Dotąd w krajach, które umowę syndykalną kryminalnie karzą, umowy te, jako przeciwne prawu, nie są prawnie obowiązujące; dlatego każdy z członków ma możność samowolnego niedopełniania zobowiązań, a więc w danym momencie wyzyskania na swoją wyłączną korzyść konjunktur handlowych, których nie wyzyskiwać obowiązał się w umowie syndykalnéj. To położenie rzeczy, rozluźnia pojęcia etyczne zsyndykowanych i bardzo często staje się źródłem wyzysku sumiennych przez mniéj sumiennych, uczciwych przez nieuczciwych. Uznanie umów syndykalnych za umowy prawnie zawarte wpłynęłoby dodatnio na te stosunki, niebezpieczeństwo zaś, wynikające z tych zobowiązań, daje się usunąć krótkim terminem maksymalnym trwania umowy, określonym drogą prawodawczą. Określenie maksymalnéj ceny, do któréj trwa umowa, mogłoby być także włączone do koniecznych, pod nieważnością, warunków umów syndykalnych. Zbyt wysokie jéj określenie byłoby zachętą do konkurencyi pozasyndykalnéj i bezwątpienia możliwie niskie unormowanie tego *maximum* leżałoby w najistotniejszych interesach zsyndykowanych fabryk. Przy tych warunkach, błędy umyślne lub przypadkowe w oznaczeniu norm produkcyi pozostaną bez szkodliwego wpływu, bo zbyt niskie określenie konsumcyi wewnętrznéj wywoła niezawodnie w prędkim czasie, wskutek zwyżki cen, rozwiązanie syndykatu i pozasyndykalną konkurencyę.

Że takie prawodawcze ograniczenie umów syndykalnych jest możliwe, dowodzi nasz syndykat cukrowniczy. Powstanie jego uwarunkowane było wykonaniem niektórych wskazówek z góry danych i ten półurzędowy charakter syndykatu, mającego na celu usunięcie przesilenia, mogącego narazić na straty przemysł, rolnictwo i skarb państwa, tłómaczy nam, dlaczego umowa ta jest ze wszystkich umów w Europie istniejących najbliższą téj formy, jaką powinny w przyszłości przyjąć umowy syndykalne.

Z drugiéj strony prawodawstwo dbać powinno o zachowanie przez producenta najzupełniejszéj swobody należenia lub nienależenia do syndykatu i nie może dopuścić żadnych przepisów zobowiązujących przemysłowca do wstąpienia do zawiązanego syndykatu, albo do wykonania rozporządzeń wydanych przez syndykat, do którego nie należy, którego umowy dobrowolnie nie podpisał. Zapędy szwajcarskiego syndykatu koronkarskiego są niebezpieczne dla całości przemysłu i urzeczywistnienie ich wywołałoby skrępowanie całego życia ekonomicznego pętami średniowiecznych cechów. Spętanie to byłoby tém niebezpieczniejsze, im więcéj w porównaniu z dawném rzemiosłem, dzisiejszy przemysł potrzebuje swobody działania w sferze wewnętrznéj i zewnętrznéj. Najważniejszém niebezpieczeństwém, z syndykatów wynikającém, jest możliwość poza-syndykalnéj konkurencyi; zniesienie, uniemożliwienie jéj, byłoby zmonopolizowaniem przemysłu w najgorszem tego słowa znaczeniu. Monopol rządowy daje przynajmniéj ogółowi zyski. Monopol cechów przemysłowych grabiłby ogół na korzyść pewnéj części, pewnéj klasy narodu, a usprawiedliwienie tego stanu rzeczy następném możliwém stadyum ewolucyi przemysłu, jego upaństwowieniem, wymaga dowiedzenia naprzód, że to upaństwowienie jest koniecznéni, powtóre, że ta a nie inna droga do niego prowadzi.

* *
*

Aby wyczerpać rejestr zarzutów, jakie teorya i praktyka stawiają syndykatom, musimy wspomniéć o dwóch jeszcze zarzutach: obniżania cen produktów dla zagranicy w stosunku do cen w kraju praktykowanych i utrzymywania przy życiu organizacyi przemysłowych, do życia niezdolnych.

Fakty, że cukier ruski jest tańszy w Londynie niż w Petersburgu, że za żelazo wysłane do Rosyi, fabrykant niemiecki zgadza się wziąć niższą cenę niż w Niemczech, i wiele innych podobnych faktów zaprzeczyć się nie dają. Ale fakty te nie zawsze są skutkiem syndydatów. Pierwszy z przytoczonych faktów wynika z różnicy praw finansowych w różnych państwach Europy i z syndykatami żadnego związku nie ma. W Anglii cukier jest wolny od wszelkich ceł i podatków. Fakt drugi wynika ze zbiegu skutków syndykatów ze skutkami systemu protekcyjnego i z naturą wielkiego przemysłu, dla którego powiększenie produkcyi daje obniżenie kosztów ogólnych tak czasami znaczne, że przedaż niżéj kosztów produkcyi w szczególe, nie jest bez zysków na ogóle produkcyi. Rozwiązanie pytania polega nie na

tém, czy cena wzięta zagranicą jest za niska, ale na tém, czy cena za towar wewnątrz kraju sprzedany nie jest za wysoka, a rozwiązanie tego pytania — w teoryi niemożliwe — w praktyce sprowadza się do rozbiéranéj przez nas kwestyi niebezpieczeństwa grożącego z nadmiernego podwyższenia cen. Obniżenie ceł w kraju, gdzie one istnieją, pozasyndykalna konkurencya gdzie ta jest możliwą, są na to jedynemi środkami.

Nieprzejednani nieprzyjaciele syndykatów robią im zarzut, że sprzyjają one utrzymywaniu przy życiu zakładów przemysłowych słabych, źle urządzonych i źle prowadzonych; sądzą oni, że przesilenia ekonomiczne oddają przemysłowi usługę, usuwając z liczby żyjących te fabryki, które nie są do życia zdolne, a utrzymując przy życiu te tylko, które stoją na wysokości najnowszych ulepszeń technicznych. Pomijając kwestyę, o ile można rozszerzając prawo walki o byt, decydować z góry, kto, lub co, ma prawo do życia, — słabą stronę zarzutu widzieć musimy w tém, że opiéra się on na przekonaniu, iż techniczna strona zakładu jest wszystkiem, — nie uwzględnia zaś strony finansowéj, — która w zdolności życiowéj zakładu gra równie ważną a czasami większą nawet rolę, aniżeli strona techniczna; a także, że nie uwzględnia strony czysto indywidualnéj, zdolności osobistych kierowników i indywidualnych warunków miejscowych zakładów, które téż nie są bez wpływu na zdolność życiową fabryki. Tam gdzie przesilenie przybiéra szerokie rozmiary, tam walą się zakłady przemysłowe dobre i złe, nowe i stare, małe i duże i najczęściéj przetrzymują burzę zakłady finansowo dobrze stojące nie zaś technicznie najlepsze. Zarzut ten można analogicznie przyrównać do zarzutu, jakiby ktoś zrobił domom drewnianym, twierdząc, że w razie pożaru w mieście przedewszystkiém palą się domy drewniane, a po nich dopiéro murowane. Nakoniec tam, gdzie zachodzi wątpliwość, czy zakład jest, lub nie jest zdolny do życia, należy pamiętać, że w każdym razie, oprócz ruiny przedsiębiorcy, zamknięcie jednoczesne wielu fabryk pociąga za sobą nędzę robotników, i że z tego niebłahego punktu widzenia, wszystko to, co zapobiega przesileniom i ogranicza ich skutki, leży w interesie całego społeczeństwa. Powolne znikanie fabryk źle urządzonych nędzy nie sprowadzi, gwałtowne zamknięcie wielu dotknie klasę roboczą w całéj gałęzi przemysłu, dotknie tych, którzy pracowali na fabrykach zamkniętych jak i na fabrykach przy życiu pozostałych.

* * *

W literaturze ekonomicznéj angielskiéj, spotykamy się z opinią, że najlepszym środkiem ograniczenia niebezpieczeństw, wynikających

z organizacyi syndykatów przemysłowych są stowarzyszenia spożywcze. W przekonaniu szczerych stronników kooperacyi, stowarzyszenie wyrasta do wysokości jedynego i stanowczego środka [1]). Przekonanie to dość łatwo zrozumieć: jak w Niemczech epidemicznie grasuje teorya upaństwowienia przemysłu, tak w Anglii łatwo się spotkać ze zdaniem, że kooperacya dobrowolna jest *panaceum* na wszystkie ekonomiczne niedomagania ludzkości i celem ostatecznym, do którego ludzkość dąży.

Bezwątnienia kooperacya jest jedną z wielkich dźwigni społecznych XIX w., czy jest w stanie leczyć wszystkie społeczne choroby niewiadomo; że może nie raz skutecznie zatamować dążności monopolistyczne przemysłowców, to nie ulega wątpliwości. Przykład piekarzy w Issaudun bardzo wyraźnie tego dowodzi, nie ulega jednak wątpliwości, że nie jest to środek prędko działający. Konkurencya pozasyndykalna, którą każda nadmierna zwyżka cen wywołać musi, działa także skutecznie a daleko prędzéj, i dlatego nie odmawiając całkiem znaczenia i to dużego znaczenia stowarzyszeniom, w charakterze środka anti-syndykalnego, nie możemy go uznać za środek wyłączny i zupełnie skuteczny, zwłaszcza tam, gdzie najliczniejsze sfery społeczne do żadnego działania kooperacyjnego umysłowo przygotowane nie są, i mimo inicyatywy z zewnątrz, postępu w tym kierunku całkiem nie okazują.

* * *

Dla tych, którzy od nauki żądają natychmiastowego i ostatecznego rozstrzygnięcia pytania: czy zjawiająca się samorzutnie w życiu instytucya zasługuje na poparcie ze strony ogółu czy nie, odpowiadamy powołaniem się na związki robotnicze (*Trades-Unions*). Był czas, że związki te miały na celu podwyższenie zarobków przez organizowanie strejków, i nie można się było dziwić prawodawcom, którzy widząc w nich ten jeden praktyczny rezultat, zakazywali ich i karali. W miarę, jak członkowie związków zmienili swe zapatrywania i oprócz urządzania strejków postawili sobie zadanie: wzajemne wspieranie się, obronę przeciw zmowom fabrykantów i oprócz strejku, jako wyłącznego środka podniesienia zarobków, znaleźli inne środki prowadzące do tego celu, strejk zaś uznali za środek ostatni i najgorszy — w rzadkich wypadkach konieczny — jedném słowem jako *malum necessarium*, odtąd zmieniło się zdanie prawodawców,

---

[1]) W. Snell „Rings, Trust and Syndicates“ w Roczniku „the Cooperative Wholesale Societies“ za 1890 rok, strona 209.

Syndykat producentów jest organizacyą z naturalnych potrzeb produkcyi XIX wieku wynikłą i od razu, od chwili jéj powstania użytą w celach spekulacyi. Nauka więc i prawodawstwo nie powinny przez jednostronny punkt widzenia rzeczy zapominać o podwójnym charakterze téj organizacyi w realném życiu — nie powinny pod nazwą syndykatów łączyć tego, co celami swemi, środkami działania i źródłem powstania różni się, a zbliża się tylko w formach organizacyi i wobec trudności rozróżnienia złego i dobrego nie zapominać, że syndykaty są zjawiskiem dopiéro powstającém, szukającém dotąd najodpowiedniejszych dla siebie form organizacyi, że jedném słowem, jak mówi Steinmann-Bucher „*Alles ist hier im Verden!*"

Stanisław Piotrowski.





ŻYCZENIE.

NOWELLA *).



O to stoję przed najcięższą, najtrudniejszą częścią mego zadania. Od ośmiu dni skradam się do tych kartek i nie śmiem wziąć pióra do ręki. Zgroza mnie przejmuje na myśl: co mnie czeka.

A jednak, muszę przywołać na pamięć dzieje owych strasznych trzech dni i trzech nocy, — muszę, choćby dlatego, żeby się tém wspomnieniem bronić przeciw uczuciu, o którém nawet śnić mi nie wolno, a które coraz silniéj opanowywa moją całą duszę. Precz z niém! precz z każdą wabiącą myślą, co mnie szczęściem i spokojem nęci, na wieczną samotność jestem skazana! A jeżeli kiedy o tém zapomnę, niechaj mi historya owych trzech dni przywiedzie to na pamięć.

Kiedy przysunęłam krzesło do łoża siostry, aby zająć miejsce dozorczyni, — Marta spała, ale nie był to sen, który siły wzmacnia i prowadzi do wyzdrowienia, był to raczéj ciężar, co ją przygniatał i przemocą powieki zaciskał. Pierś podnosiła się i opadała ciężkim oddechem. Biała jak wosk, niebieskiemi żyłkami poprzecinana twarzyczka, leżała na wpół zagrzebana w poduszkach, wpadnięte oczy nie otwierały się ani na chwilę.

Zakryłam twarz rękami, nie mogłam znieść tego widoku.

*) Zob. „Ateneum," zeszyt kwietniowy str. 72, majowy str. 311, czerwcowy str. 529.

Godziny dnia mijały... Marta spała i spała.

Od czasu do czasu dochodziły do mnie tylko kroki dziewcząt ze dworu, zresztą cicho i pusto było w około.

Roberta ani słychu.

W południe nie mogłam się oprzéć chęci zapytania o niego. Widziano go rano wychodzącego z psami w pole. Od godzin więc kilku błąkał się w deszcz po dworze.

Zégar wybił trzecią. Robert wrócił przemokły, oczy miał jak błędne, a wilgotne potargane włosy, przylepiły mu się do czoła.

Widocznie cierpiał strasznie.

Chciałam się do niego zbliżyć, chciałam powiedziéć mu słowo pociechy, ale nie śmiałam. Lękliwe, ponure jego spojrzenie mówiło mi wyraźnie:

— Czego chcesz odemnie? zostaw mnie samego z moją boleścią.

Ująwszy za poręcz łóżka, stał i wpatrywał się w Martę, gryząc wargi. Poczém wyszedł, milcząc, tak jak przyszedł.

Znowu minęły dwie godziny w milczeniu i oczekiwaniu. Zapach karbolu, który się w powietrzu unosił, sprawiał mi dotkliwy ból głowy.

Oparłam czoło o chłodną szybę okna i bezmyślnie śledziłam za ruchem suchych liści, które całemi tumanami wznosiły się wysoko.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy w przedsionku rozległ się krzyk i lament kobiécego głosu, ale tak głośny, że nawet chora uniosła się z wyrazem boleści i przestrachu.

Gniéw mnie ogarnął. Chciałam wybiedz, wichrzycielkę spokoju wyrzucić, gdy w tém, w otwartych drzwiach, wpadłam na nią.

Poznałam ją odrazu, poznałam — tę czerwoną, obrzękłą twarz, te małe, chytre, złośliwe oczki... Któżby to mógł być inny, jeżeli nie ona—najlepsza z ciotek i matek.

— Nareszcie—pomyślałam—nareszcie stanę ci oko w oko.

— A więc, to ty jesteś Olga—zawołała w tym samym płaczliwie krzykliwym tonie, który w całym domu rozbrzmiewał. — Dzień dobry, duszko! Ach, co za nieszczęście! czyż to prawda? ja przytomność tracę!

— Proszę cię, kochana ciotko — powiedziałam, łamiąc w hamowanym gniewie ręce,—bądź tak dobrą, gdzieindziéj od przytomności odchodzić, ale tu, przy łożu choréj, proszę cię ciotko, głos umiarkować!

Zdumiała się. Do końca życia nie zapomnę zabójczego spoj-

rzenia, jakie mi rzuciła. Poznała odrazu z kim ma do czynienia. Podjęła téż wnet rzuconą jéj rękawicę.

— To bardzo poczciwie z twojéj strony, duszko—rzekła, a głos jéj brzmiał, jak trąba wojenna, — że się tak troszczysz o moją biedną chorą córkę, ale możesz teraz odejść, jesteś już nie potrzebna, ja sama tu zostanę.

Czekaj, zaraz poznasz, kto tu jest panem i prostując się w całéj wysokości, odpowiedziałam z najzimniejszym uśmiechem:

— Mylisz się, kochana ciotko, siostrze mojéj każde obce odwiedziny są najwyraźniéj zabronione. Muszę cię więc prosić, żebyś do sąsiedniego pokoju przeszła.

Jéj twarz aż posiniała, palce się zagięły, myślę, że radaby była na miejscu mnie udusić; ale poszła, a poczciwy niedołęga, jéj mąż, wujaszek, jak zwykle, podreptał o trzy kroki za nią.

Roześmiałam się z tryumfem. Czego wy tu chcecie, wy chciwe, bezlitośne dusze, tu, w téj świątyni cierpień! precz stąd!

* * *

Noc zapadła. Jak smuga ognia zawisł ostatni promień wieczornéj zorzy ponad miastem, którego wieżyce czarno i ostro odbijały się na tém tle.

Długo wpatrywałam się w te światła i cienie, aż ciemność wszystko swoim całunem okryła.

Zégar wybił dziewiątą. Przyjechał stary doktór. Przesiedział z godzinę milcząc na mojém krześle, na pożegnanie pogłaskał mnie po ręku i rzekł:

— Nic nie zmieniać... karbol... całą noc!

Na moje pytające, pełne obawy spojrzenie, za całą odpowiedź wzruszył tylko lekko ramionami.

Naraz nie wiadomo skąd, z drugiego czy trzeciego pokoju, dosłyszałam głos Roberta. Pierwszy znak, że i on był w blizkości choréj.

— Dlaczego tam się ukrywa?—myślałam.—Cóż to, czy wejście tutaj jest mu wzbronione.

Zégar wybił dziesiątą. Cicho wokoło, jakby cały dom udał się na spoczynek. Wiatr trząsł kratą przy ogrodzie, rzekłbyś, spóźniony gość się dobija.

Czy śmierć krąży wkoło domu? Czy rachowała już ziarnka piasku w szklanéj klepsydrze?

Rozpaczliwy strach mnie ogarnął. Nie wiedząc, co robię,

rzuciłam się do drzwi, jakbym chciała groźnemu widmu na drodze stanąć.

Nieszczęsna, nie przewidywałam, że inne widmo czyhało tam na progu.

W kilka minut potém wszedł Robert. Żadnego słowa, żadnego powitania, tylko znów owo krótkie, nieśmiałe spojrzenie, które już raz uderzyło mnie jak pchnięcie noża.

Ciężkiemi, chwiejnemi krokami podszedł do łóżka, chwycił chorėj rozpaloną, wychudłą rękę, którėj paznogcie miały niebieskawy odcień i wpatrywał się w nią.

Usiadł następnie w najciemniejszym kącie przy piecu i przesiedział tam dwie godziny.

Z bijącém sercem czekałam, żeby do mnie przemówił, ale milczał jak grób.

Wkrótce po północy opuścił pokój.

Długo słyszałam go jeszcze w korytarzu chodzącego tam i napowrót, a stłumiony odgłos jego kroków, przypomniał mi inną noc, kiedy niemniéj drżąca z obawy i nadziei przysłuchiwałam się tym samym krokom.

Całe światy leżały pomiędzy mną a młodém niebacznėm stworzeniem, które wtedy, palone żądzą niesienia pomocy i gotowością do poświęceń, wsłuchiwało się w te odgłosy, kroki brzmiały coraz ciszéj; poszedł do swego pokoju.

— Czy téż powróci — pytałam siebie, przykładając ucho do dziurki od klucza.—Spać przecie i tak nie będzie.

I radośnie zadrżałam, gdy się odgłos wzmógł na nowo.

W tém przyszła mi myśl: co cię to obchodzi, czy on tu wróci, lub nie? Czy dla niego tu jesteś? Czyż nie leży przed tobą całe twoje szczęście i życie i wszystko?

Upadłam przy łóżku i okrywając pocałunkami ręce Marty, błagałam ją, żeby się nademną ulitowała! pragnienie mówienia z nią rozsadzało mi piersi, dławiło za gardło, dusiło mnie. Ale nie przebudziła się. Skulona leżała w boleściach, nędzna garstka kości! Na policzki wybiegły dwie ogniste plamy. Oddech miała chrapliwy i poruszała raz wraz wargami, jakby chciała coś mówić, ale słowo zamierało w bezdźwięcznėm bełkotaniu.

Co za straszna cisza wokoło! Przerywał ją tylko jednostajny chód zégara i z pod okna żałosna skarga wiatru. Z oddalonego pokoju dochodziły od czasu do czasu kroki Roberta, zresztą cicho, wszystko cicho.

Nagle zdało mi się, że słyszę własną krew gotującą się i przebiegającą moje żyły.

Słucham. Tak, to moja krew tak gwałtownie burzy się i pędzi. Dlaczego nie bieży spokojnie, jak tego wymaga moje wielkie postanowienie? Czyż występne myśli nie zostały wyrwane z korzeniem? wypalone przez tysiące czyszczących ogni? Czyż nie stoję tu jako kapłanka bez pragnień, czysta, błogosławiąca?

I znów słucham. To halucynacye, mówię sobie, a jednak niepokój mnie ogarnia wobec tego chodzenia i szmerów, które się w téj chwili wzmagają. Widzę strumień, który mnie w swój wir porywa, strumień krwi. Skała podnosi się z niego zębata, na niéj stoi wypisane ognistemi zgłoskami jedno słowo, a to słowo: Zbrodnia.

Kroki zabrzmiały głośniéj. Zerwałam się.

Robert wszedł, usiadł przy Marcie na poduszkach, i obcierał jéj dłonią pot z czoła i bawił się bezmyślnie jéj włosami. Ukradkiem spojrzałam na niego. Zaledwie śmiałam oddychać. Zapadnięte oczy jego były krwią nabiegłe. Wargi zacisnęła gorzka skarga. Skamieniały w milczącym bólu siedział sam.

Pragnienie zbliżenia się do niego wstrząsało mną febrycznym dreszczem. Ale kiedy chciałam powstać, jakby dwie żelazne pięści oparły się na moich ramionach i przygniotły mnie napowrót.

Nakoniec wymówiłam jego imię i przeraziłam się, tak obcym, strasznym wydał mi się dźwięk własnego głosu.

Obrócił się i wpatrzył we mnie.

— Robercie — przemówiłam — dlaczego ty nie mówisz do mnie. Będzie ci lżéj...

Zerwał się, podszedł ku mnie i pochwycił moje obie ręce. Gorąco i zimno robiło mi się przy tém dotknięciu. Ale opanowałam się i patrzyłam Robertowi śmiało w oczy.

— Nareszcie! to pierwsze dobre słowo, którém mnie obdarzasz, Olgo — rzekł.

— Co ty mówisz, Robercie? — wyjąkałam. — Czyż byłam nieuprzejmą dla ciebie!

— Tylko nieuprzejma?—odpowiedział—jak obcego, jak natręta traktowałaś mnie, odstraszałaś mnie stąd, od łóżka żony.

— Bóg widzi!... — zawołałam i odsunęłam się od niego, bo czułam, iż chwila jeszcze, a na pierś mu upadnę.

On znów mówił:

— Olgo, jeżeli ci kiedykolwiek coś złego zrobiłem, choć nie wiem co? ale musi tak być, bo inaczéj twoje spojrzenie i całe twoje zachowanie się nie byłoby tak surowe i odpychające dla mnie, — je-

żeli więc coś złego ci uczyniłem, Olgo! to nie było z mojéj winy, zawsze ci jak najlepiéj życzyłem.—Ja... ty... byłabyś tu zawsze jak u siebie w domu, nie potrzebowałabyś się tułać pomiędzy obcymi... W obliczu téj, którą oboje kochamy...

Dlaczego wyrzekł jéj imię? Mnie unosiła już dzika radość, jakby mi skrzydła przyrosły, a imię jéj trafiło mnie jak uderzenie bicza. Wargi do krwi zagryzłam. I ja chciałam spokojną być! chciałam anioła opiekuńczego udawać!

— Robercie—wyrzekłam — jesteś w błędzie. Ja nigdy nic nie miałam przeciw tobie, tylko nieśmiałą i upartą stałam się na obczyźnie. Bądź cierpliwym dla mnie i ufaj mi, czy chcesz?

Jak jasny promień słońca zaświecił w jego oczach wyraz serdecznéj czułości.

— Ja przecie tobie tak wiele zawdzięczam, Olgo — odpowiedział—jakżebym ci i nadal nie ufał? Widzisz, od owego dnia, kiedyśmy to razem w las pojechali, pamiętasz? (o, czy ja pamiętałam?) od owego dnia pokochałem cię jak siostrę, więcéj jak wszystkie moje siostry razem. A jednocześnie ceniłem cię i stawiałem wysoko, jako mego opiekuńczego ducha. Bo téż byłaś nim, będziesz nim i nadal, prawda?

Skinęłam w milczeniu i przycisnęłam obie ręce do piersi, dopiéro gdy to spostrzegł opuściłam je. Potoczyłam się parę kroków w tył, cudem było, żem nie upadła. Zbliżył się do mnie przestraszony.

— Zmęczona jestem—powiedziałam i zmusiłam się do uśmiechu.

— Chodź, usiądźmy, noc długa.

Usiedliśmy w nogach łóżka, z rękami opartemi o poręcz i wpatrywaliśmy się w Marty oblicze, po którém przebiegało kurczowe drganie. Powieki miała przymknięte, głębokie cienie od rzęs padały na policzki, zbliska jednak widać było białko rogówki, świecące w ciemnych jamach. Robert to zauważył.

— Jakby już umarła--szepnął i ukrył głowę w rękach.

-- A jeżeli umrze — ciągnął — to umrze nie przez dziecko, nie przez tę przeklętą gorączkę, ale tylko przezemnie! Ja, Olgo, ja byłem jéj zgubą!

— Na miłość Boga, co mówisz?--wykrzyknęłam, wyciągając do niego ręce.

Kiwnął głową i uśmiechnął się gorzko.

— Ja dobrze wszystko widziałem, Olgo, przez te całe trzy lata; podwójną, potrójną dźwigam winę. Po pierwsze, pozwoliłem jéj tęsknić i czekać i wątpić przez siedm długich lat, wyssałem siły jéj ciała i duszy! Mój Boże! tak nie wiele ona ich miała! a potém przy-

wlokłem ją tutaj, z jéj wątłém ciałem i złamaną odwagą, gdzie jéj wszyscy byli nieprzyjaźni, a ci, którzy jéj najbliższymi stać się byli powinni, najnieprzyjaźniejsi. A ja sam! tak, gdybym był wesoły i lepszéj myśli, gdybym umiał strzedz, by jéj noga nie uderzała o kamień! gdybym promień słońca umiał na jéj głowę skierować, może wtedy rozwinęłaby się, wzmocniła. Ale szorstki i mrukliwy byłem zwykle, biegałem po domu i za domem i nie myślałem o tém, że ona drżała na każde głośniejsze słowo, że bladła, gdy zobaczyła zmarszczkę na mojém czole! Spójrz na tę odrobinę, która tu leży—i na mnie, niezgrabnego, nieobciosanego olbrzyma! Nieraz w nocy, gdy się obudziłem, bałem się, żebym jéj w mojém objęciu nie udusił. I rzeczywiście, zdusiłem ją! Mnie było potrzeba kobiéty silnéj... i...

Przerażony, zatrzymał się i rzucił spojrzenie na Marty oblicze, które jakby o litość prosiło; ja jednak w myśl dokończyłam przerwaną jego mowę...

Kiedy opuścił pokój, opanowała mnie dzika radość. W głowie mojéj huczała burza, mieszały mi się zmysły, moja duma, — upór, poszanowanie własnéj godności, wszystko zdawało się ginąć. Parne powietrze w pokoju choréj przytłaczało moją głowę. Mroczyło mi się w oczach od silnych wyziewów karbolu, w końcu zabrakło mi oddechu.

Pobiegłam do okna, przycisnęłam czoło do szyby i wciągałam chłodne powietrze nocy, które się przez szpary w oknie do pokoju wciskało.

Ranek przedzierał się już przez chmury, zimny, szary, mglisty... Słabo oświetlone obłoki kłębiły się wzdłuż horyzontu i rzucały blady cień na drzewa, jeszcze więcéj przez noc z liścia ogołocone.

Co za noc!

A ileż gorszych, niż ona, po niéj nastąpi? Jakie widma, z ciemności i strachu zrodzone, będą jeszcze pod jéj osłoną zmysły moje targać?

Zziębnięta, skuliłam się...

Bałam się siebie saméj...

Godziny ranka minęły, uspokoiłam się. Wspomnienia nocy z jéj gorączkowém majaczeniem i męczarniami sumienia zatarły się. Co przeżyłam i czułam, stało się snem. Ołowiana ociężałość spadła na mnie. Zamknęłam oczy i nie myślałam o niczém.

A potém wybiła szczęśliwa godzina.

Była to dziesiąta. Marta otworzyła nagle swoje słodkie, niebieskie oczy i spojrzała na mnie przytomnie i z miłością.

Zdawało mi się, jakby oko Boga pełne miłosierdzia i przebaczenia na mnie grzeszną się zwróciło.

Czysta, święta radość zbudziła się we mnie, osunęłam się przy siostrze na kolana, i ukryłam twarz przy jéj twarzy na poduszce.

Pomimo boleści uśmiechnęła się, położyła z trudem rękę na mojéj głowie i szepnęła cichuteńko:

— Pewnie narobiłam wam wiele strachu?

Tchnienie jéj słów wydało mi się pieśnią pokoju i przebaczenia.

— Jakże się czujesz?—zapytałam.

— Dobrze, zupełnie dobrze — odpowiedziała — tylko kołdra tak mnie uciska.

Była najlżejszą, jaką znaleść mogłam. Powiedziałam to Marcie, westchnęła i rzekła, że wié, jak jest grymaśną i prosiła: „bądźcie wyrozumiali dla mnie.“

I znów leżała cicho i patrzyła na mnie, jak we śnie. Nareszcie kiwnęła parę razy i rzekła:

— Dobrze, tak dobrze.

— Co jest dobrze?—zapytałam.

Uśmiechnęła się i milczała.

Potém przyszły znów boleści. Trzęsła się i zgrzytała zębami, ale nie wydała ani jednego jęku.

— Czy zawołać Roberta? — zapytałam, bo mnie na nowo strach ogarnął.

Skinęła.

— Przynieś téż i dziecko—szepnęła.

Uczyniłam, co chciała. Kazała położyć maleństwo przy sobie na łóżku i długo na nie patrzyła. Chciała pocałować je, ale była zbyt słabą. Zanim Robert przyszedł, nanowo w sen popadła.

Spojrzał na mnie z wyrzutem i rzekł:

— Dlaczego wcześniéj po mnie nie posłałaś?

— Wierz mi, że się tak lepiéj stało — odpowiedziałam. — Twój widok byłby ją za bardzo poruszył.

— Ty wszystko wiész najlepiéj—powiedział i wyszedł.

Szczęściem, że nie widział rumieńca, co mi przy jego pochwale na twarz uderzył.

Leżała znów bez przytomności, z policzkami w ogniu, a czołem oblaném potem. A do tego to straszne szczękanie zębami!

Około godziny 1-éj przybył doktór, zmierzył temperaturę i zaznaczył opadanie gorączki.

— Jeszcze nie raz wzniesie się i opadnie — przepowiadał. Naszéj radości przy obudzeniu się Marty nie podzielał wcale.

— Nie rozmawiajcie z nią, kiedy przytomność odzyska—upominał — i przedewszystkiém nie dajcie jéj mówić, potrzebuje oszczędzać swoje siły.

Zanim wyszedł, badawczo popatrzył na mnie i zamyślony potrząsnął głową.

Zdawało mi się, że mnie wskroś przejrzał. Po obiedzie przyniosłam sobie książkę z mego pokoju, pierwszą lepszą, którą pochwyciłam i próbowałam czytać, ale litery tańcowały mi przed oczami, a myśli ani chwilę w spokoju utrzymać nie mogłam. Trwało długo, zanim tytuł odcyfrowałam. Wyczytałam: Ifigenia! Przerażeniem zdjęta, rzuciłam książkę daleko od siebie, jakbym rozżarzony węgiel wzięła do ręki.

Pod wieczór boleści Marty zdawały się wzmagać. Parę razy krzyknęła głośno i wiła się w kurczach.

Podczas ataku zajęta nią, nie spostrzegłam jak nagle, stanęła przy mnie ciotka.

Patrząc na jéj jadowite spojrzenia, na wyuczone łamanie rąk i obłudne skrzywienie, przyszła mi naraz myśl:

— Ona pewnie na śmierć Marty czeka, ona pewnie jéj zgonu pragnie!

Jakby czerwona zasłona spadła mi przed oczy, zacisnęłam pięści, nie wiele brakowało, a byłabym ciotce wyrzut ten w oczy rzuciła.

Kiedy tak stałam przed nią, wzburzona tą myślą, ona chwyciła mnie za ramię i starała się na bok mnie usunąć, aby zająć miejsce przy wezgłowiu Marty. Może myślała tém szorstkiém postąpieniem onieśmielić mnie.

— Kochana ciotko — rzekłam oswobodzając moje ramię z jéj uścisku — już raz zwracałam na to twoją uwagę, że tu jest moje miejsce, i że nikomu go nie ustąpię; proszę usilnie, niech ciotka zadowoli się miejscem w innych pokojach.

— Tak? no to zobaczymy jeszcze moja duszko — zaskrzeczała ciotka — zapytamy się pana domu, kto tu ma więcéj do rozkazywania, jego stara, uczciwa matka, czy ta przybłęda?

Mrucząc coś pod nosem, wyszła.

Drżąca z gniewu, chodziłam po pokojn tam i napowrót. Że ja tę bolejącą matkę tak rychło w megerę przemienię, tego doprawdy się nie spodziewałam! Brakowało tylko, żeby głośno wypowiedziała swoje najskrytsze życzenie.

— O gdybyż to miało się sprawdzić — pomyślałam ze zgrozą — Marty śmierci pragnąć! Marto! słyszysz, twojéj śmierci pragnąć!

Komużeś ty dokuczała? Komużeś kiedykolwiek na drodze stanęła? Czy jest kto na świecie, ktoby od ciebie doznał czego innego prócz miłości i pobłażania? Gdyby to prawdą było, że taka przewrotna istota ludzka może żyć bezkarnie na tym świecie, doprawdy, trzebaby zwątpić o Bogu, sprawiedliwości i wszystkiém co dobre!

Tak myślałam i nie mogłam dosyć hańby i przekleństw znaleść, aby niemi głowę ciotki obrzucić.

Ulżyło mi to, odetchnęłam i kiedy spostrzegłam biedną, pokrzywdzoną Ifigenię, leżącą w kurzu, podeszłam i podniosłam ją.

— Cóżem ja zawiniła? — pytałam siebie — żebym aż potrzebowała chować się przed moim pierwowzorem. I cóż w tém złego, żem zrozpaczonego pocieszała?

Czy było zamienione między nami choćby jedno słowo, jedno spojrzenie, którego siostra nie powinna była słyszéć lub widziéć. Co tam wewnątrz szaleje i pali, cóż to kogo obchodzi, jeśli ja to dla siebie zachowam?

Tak mówiłam do siebie i prawie, że się usprawiedliwiłam przed własném sumieniem. Zaślepiona! szalona!..

. . . .

Znowu nadszedł zmierzch, znowu gorzało zachodzące słońce ponad miastem i rzucało czerwonawe światło przez okna.

Twarz Marty była purpurą oblana, w jéj włosach migotały światełka, a ręka, spoczywająca na kołdrze, była jakby na wskroś oświetlona.

Zasunęłam szczelniéj zasłonę nad jéj łóżkiem, żeby jéj światło nie raziło.

Dojrzałam wtedy na ścianie, wiszący, zwiędły wieniec z bluszczu, którego dotąd nie zauważyłam. Taki sam wieniec zwykłam była w dni uroczyste na grób rodziców posyłać. Może on stamtąd pochodził? W téj chwili wyglądał jak z płomyków uwity. I kiedy się w niego bardziéj wpatrywałam, zdawało mi się, że się w kółko kręcić zaczyna i strumień iskier z siebie sypie.

— No, zaczynam już strachy widziéć — pomyślałam i starałam się chodząc, nieco sił zaczerpnąć. Ale musiałam się trzymać poręczy krzeseł, byłam jak pijana. Oddychałam z trudnością. — Och! ten zapach karbolu, ten wstrętny, mdły zapach! Otumanił moje zmysły, przyćmiéwał myśli, roztaczał przeczucie śmierci i trwogę.

Przybył stary doktór, spojrzał mi ostro w oczy i kazał swoim ojcowskim, szorstkim tonem, żebym zaraz na powietrze wyszła, aby świeżego zaczerpnąć. On sam będzie czuwać, dopóki nie wrócę.

Pomimo oporu wypchnął mnie za drzwi. Gdybym była przeczuła co mnie czekało, żadna siła nie byłaby mnie przez ten próg przeniosła!

Ciężko oddychając, wyszłam na podwórze. Jak chłodna kąpiel, wieczorne powietrze oblało moje pałające skronie.

Ostatni promień dnia znikł, niebieskawa mgła jesienna opadała na ziemię. Obadwa kundle poskoczyły ku mnie, a potem pędziły wdłuż ruin.

Bezwiednie szłam po drodze, na wpół we śnie błądząc, bo zaduch pokoju chorėj jeszcze dotąd paraliżował mi zmysły.

Woń pleśni, stęchlizny ze zwiędłych traw i pył zwietrzałych kamieni, unosiła się od murów.

Stara brama zarzucała swe sklepienie nademną. Weszłam pod nie, wokoło mnie wznosiły się czarne mury, a niebo patrzyło niebieskawém światłem z góry.

Wtedy spostrzegłam niedaleko od siebie ciemną postać, siedzącą na gruzach.

— Robert! — zawołałam zdziwiona.

Zerwał się.

— Olga! Czy przynosisz złe wiadomości?

— Ależ nie — mówię, — wuj doktór mnie wypędził. Wtém nagle zdaje mi się, że mi się grunt usuwa pod nogami.

— Ostrożnie! słyszę głos Roberta, ale już staczam się w ciemność wraz z kruszącemi się kamieniami.

— Na miłość Boga, nie ruszaj się! — woła za mną — bo spadniesz jeszcze głębiéj.

Nawpół oszołomiona, opiéram się o ścianę jakiegoś lochu. Stoję na wąskim pasku ziemi, poza nim czarna, bezdenna głębia.

Obok dostrzegam schodzącego ku mnie Roberta, ostrożnie, pomału, jakby po stopniach schodów.

— Gdzie jesteś! — woła, a ja chwytam jego rękę, którą do mnie wyciągnął.

Wtedy rzucam się ku niemu i obejmuję go za szyję, jednocześnie czuję się uniesioną wysoko i w powietrzu na jego piersi zawisłam. Czułam jakieś rozkoszne osłabienie i jakby z moich żył ciepła krew uchodziła.

Gorący jego oddech muskał mnie po twarzy, na chwilę zdawało mi się, że lekkim pocałunkiem dotknął mego czoła.

Potém szliśmy w milczeniu do dworu.

Odsuwałam się od niego jak mogłam najdaléj, ale myślałam ciągle z radością: on trzymał mnie w objęciach!

Na progu pokoju choréj, wyszedł do nas stary lekarz, podał nam obie ręce i rzekł:

— Dzieci, ma się lepiéj niż oczekiwałem.

Moje serce biło radośnie: on trzymał mnie w objęciach...

. . . .

A teraz owa noc! Każda minuta stoi jak furya przedemną i wlepia we mnie ogniste oczy! Chcę wspomnienie téj nocy wywołać, jak się z grobu duchów wywołuje, aby swojém świadectwem, przedawnione zbrodnie na nowo uprzytomniały.

— Cóżem przewiniła? nic! Ręce moje czyste. A jeżeli nadejdzie wielki dzień, kiedy dzieła nasze będą ważone, mogłabym śmiało stanąć przed tronem Najwyższego i rzec: Ubierzcie mnie w najbielszą szatę, przymocujcie najbielsze skrzydła do moich ramion i każcie mnie usiąść w najprzedniejszym rzędzie, abym mogła chwałę Boga śpiéwać!

Ale są występki niedokonane, niewypowiedziane, które jak tchnienie zarazy do duszy się wciskają, zatruwają ją do głębi i stają się zgubą jéj i ciała.

Była to noc... prawie jak ta dzisiejsza. Wilgotny, jesienny wiatr, w krótkich podmuchach przeciągał ponad domem i kołysał napół ogołoconemi wierzchołkami topoli, które się z trzaskiem i szumem zginały. Ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie, a jednak było o tyle widno, że można było dojrzéć pędzące czarne masy chmur, jakby poszarpane w strzępy.

Nocna lampka źle się paliła, przy jéj migotliwém światełku, tańczyły nad łóżkiem Marty fantastyczne cienie. Naprzeciw mnie wisiał wianek z bluszczu, czarny, ościsty, rzekłbyś cierniowa korona.

Była może dziesiąta, Marta zaczęła majaczyć.

Usiadła na łóżku i odezwała się pełnym, donośnym głosem:

— Muszę naprawdę wstać, tego już za wiele.

Myśląc, że do przytomności wróciła, ucieszona poskoczyłam do niéj.

— Marto! — zawołałam i ujęłam ją za rękę.

— Ja przecie wszystko tak porządnie ułożyłam, koszule, pończochy i trzewiki. Ślepyby trafił, miary téż nie potrzebujecie brać, nie róbcie sobie kłopotu, żadnego kłopotu.

Bredziła i wpatrywała się we mnie osłupiałemi, szklannemi oczyma, jakby stracha widziała przed sobą; nagle krzyknęła przeraźliwie:

— Zrzućcie ze mnie te kamienie! zgniotą mnie! Dlaczegoście mnie pod kamieniami pochowali?

Zdjęłam z niéj kołdrę, wyjęłam najcieńsze prześcieradło i okryłam ją niém, ale i to nie przyniosło jéj żadnéj ulgi.

Krzyczała i skarżyła się ciągle, w rzadkich przerwach szeptała coś niewyraźnie, jakby się czegoś uczyła na pamięć.

Tak trwało pewnie z godzinę. Siedziałam przy stoliku i nie spuszczałam oka z siostry. We mnie rosła obawa, że z każdą chwilą musi jeszcze coś straszniejszego nastąpić. Od czasu do czasu, gdy się nieco uspakajała, czułam ogarniające mnie osłabienie, wtedy zamykałam oczy i osuwałam się na poręcz krzesła, a za każdym razem myślałam, że się w Roberta ramiona osuwam. Osłabienie było tak wielkie, że zaledwie miałam niewyraźne pojęcie, jak grzeszne są moje myśli.

W tym stanie nerwowego podniecenia, walczącą pomiędzy osłabieniem a ciągłym strachem, znalazł mnie Robert, kiedy około północy wszedł do pokoju. Chciał się trochę położyć, aby potém do końca nocy, czuwać wspólnie zemną, ale krzyki Marty wypędziły go z łóżka.

Kiedy go ujrzałam, znikło całe moje osłabienie, czułam jak mi nowy strumień krwi moje członki ożywił i zerwałam się żeby biedz do Roberta.

— Sprobuj odpocząć trochę — rzekł, patrząc na mnie zmęczonemi, obrzękłemi oczami — będzie jeszcze potrzebować twoich sił.

Potrząsnęłam głową i wskazałam na Martę, która właśnie w téj chwili rzucała rękami, jakby chciała coś od siebie odegnać.

— Masz racyę — rzekł — któżby mógł znaleść spokój do spania, z tym obrazem w myśli.

Ze złożonemi rękami stanął przy łóżku, pochylił się ku Marcie i pocałował lekko jéj woskowo-blade czoło.

— Tak i mnie pocałował! — zawołało coś we mnie.

Potém usiadł na łóżku w nogach, tak blizko mego krzesła, że ręka, którą oparł na stoliku, dotykała prawie mego ramienia.

W głuchéj rozpaczy wpatrywał się w żonę.

— Zapanuj nad sobą Robercie — szepnęłam — jeszcze wszystko może być dobrze!

Roześmiał się gorzko.

— Co ty rozumiész przez: dobrze? — zapytał — że przy życiu zostanie i będzie męczyć daléj, to wątłe ciało i chorą duszę? Czy ty nie wiész, że to jest albo — albo — w którém trudno wybiérać?

Zimny dreszcz przebiegł mi do szpiku kości, a przytém zdawało

mi się, że się ściana rozstąpiła i ukazał się moim oczom daleko... jasny promień światła...

— Czy nie chciałaś kapłanką być w tym domu? — zabrzmiał ostrzegający głos, ale zamarł, szumem mojéj krwi przygłuszony.

— Na co się tu spór przyda? — ciągnął Robert daléj — jużem się oddawna przyzwyczaił, w milczeniu znosić wszystko, co we mnie raz po raz uderza. Oj nędzny ze mnie i słaby człowiek! Dałem się losowi związać za ręce i nogi i choć się teraz wykręcam, aż mi krew z pięści tryska, nic mi już nie pomoże! Obezwładniony jestem i takim pozostanę i basta! Ale nie powinienem unosić się gniéwem. Taki bezsilny gniéw jest bardziéj pogardy godzien, niż obłudna pokora.

Ach! jakże pragnęłam upaść przed nim na kolana i zawołać do niego:

— Zrób ze mną co zechcesz, poświęć mnie, zdepcz! każ mi dla siebie umrzéć, ale bądź odważny i wierz jeszcze w swoje szczęście!

Gdy wtém doszedł mego ucha jęk Marty, ale tak bolesny, tak żałobny, żem się zerwała, jakby uderzona biczem.

Chciałam krzyknąć, ale strach zacisnął mi gardło, tylko westchnienie wydobyło się z mojéj piersi i to gwałtem stłumiłam, bo zauważyłam, że Robert z niepokojem patrzył w moje oczy.

— Nie lękaj się o mnie — rzekłam, zmuszając się do uśmiéchu — aby jéj tylko mogło być lepiéj.

Skrzyżował ręce na kolanach i kiwnął smutnie parę razy głową.

Jęczenie ustało. Opuściła głowę na piersi i przymknęła oczy. Gdyby nie bezustanne, ciche majaczenie, możnaby myśléć, że usnęła.

Cicho zupełnie było w nawpół ciemnym pokoju. Tylko wiatr z lekka szumiał pod oknem a pomiędzy belkami pułapu szmerały myszy.

Robert ukrył głowę w rękach i przysłuchiwał się strasznemu majaczeniu Marty. Zwolna uspakajał się, oddech jego stawał się równiejszy, powolniejszy, od czasu do czasu pochylał głowę na bok i szybkim ruchem podrywał ją znów do góry.

Senność go ogarniała. Chciałam go namówić, żeby poszedł spocząć, ale bałam się usłyszéć dźwięk własnego głosu.

Coraz częściéj pochylał się na bok, niekiedy włosy jego muskały mnie po twarzy, nieświadomie szukał w około siebie jakiéj podpory.

Nagle, głowa jego opadła na moje ramię, i tu spoczęła.

Drżałam całém ciałem, czułam się niewypowiedzianie szczęśliwą.

Nieprzezwyciężona brała mnie ochota pogłaskać te gęste włosy, które na moją twarz opadały. Blisko przy skroniach dostrzegłam parę srebrzących się nitek.

— Zaczyna już siwiéć — pomyślałam — czas byłby, żeby zakosztował trochę szczęścia. I wtedy pogłaskałam go.

Westchnął we śnie i próbował głowę wygodniéj ułożyć.

— Niewygodnie mu — pomyślałam — muszę się bliżéj do niego przysunąć.

Przysunęłam się, ramię jego oparło się o moje, a jego głowa opadła mi na piersi.

— Obejmij go, wtedy mu będzie dobrze — szeptało mi coś do ucha.

Dwa razy wyciągałam rękę i za każdym razem cofałam ją.

Gdyby się Marta nagle przebudziła! Ale wszak jéj oczy nie widziały nic, jéj uszy nic nie słyszały!

I objęłam go.

Wtedy ogarnęła mnie dzika radość, ukradkiem przycisnęłam go do siebie i myślałam:

— O jakżebym ja chciała strzedz cię i bronić, jakbym ja te złe zmarszczki umiała zcałować z twego czoła i troski wypędzić z twojéj duszy!

— Jakżebym dla ciebie walczyła ze wszystkich sił moich, i nie spoczęłabym, ażby twoje oko jaśniało weselem, a twoje serce było pełne słońca i radości!

— Ale do tego....

Spojrzałam na Martę. Tak, ona żyła, żyła jeszcze, pierś jéj podnosiła się, opadała, krótkim, urywanym oddechem.

Wydała mi się bardziéj żywą, niż chwilę przedtém.

I nagle zapłonęło coś przed memi oczami, zdawało mi się, że czytam wyraźnie tam, na ścianie wypisane słowa:

O, żeby ona umarła!

Tak, to było to, — to było to:

„O, żeby ona umarła!"

VII.

Głęboko odetchnąwszy, przerwał doktór czytanie i zmęczony obtarł pot z czoła.

Robert zerwał się z miejsca. Przez chwilę, jak oślepiony błyskawicą, patrzył osłupiałym wzrokiem w krąg światła, padający na stół, od lampy i nagle rzucił się na starca jakby mu chciał wydrzéć papiér z ręki.

— Ona to napisała? — wyjąkał.

— Czytaj sam — odrzekł starzec.

Nastąpiło długie milczenie.

Spokojnie, jasno, paliła się lampka, jakby przyświécała niezamąconéj pracy pogodnego umysłu, cicho, pieszczotliwie muskał wiatr po szybach. Na dole uciszyło się znacznie. W coraz rzadszych przerwach dochodziły stłumione śmiéchy. Gwar głosów zamienił się w jednostajny, niewyraźny szmer.

Zmęczono się, trawiono...

Lekarz spojrzał na Roberta. Ten usiadł na brzegu pustego łóżka, ukrył głowę w rękach i nie ruszał się. Tylko chrapliwy, urywany oddech, który się z jego piersi jak ciężkie westchnienie wyrywał, świadczył o wewnętrzném wzburzeniu.

— Opamiętaj się, chłopcze, zapanuj nad sobą — przemówił starzec, kładąc rękę na ramieniu Roberta.

— Wuju, wszak samo przez się, się rozumié, że pisząc to ona, była nie przy zdrowych zmysłach.

— Nigdy nie była zdrowszą na umyśle jak w owéj chwili!

— Jak śmiész to mówić, wuju! nie oskarżaj zmarłéj, nie znieważaj jéj!

— Nic nie jest mi bardziéj dalekiém w téj chwili, jak myśl znieważenia pamięci zmarłéj. Któż się ośmieli pierwszy kamieniem na nią rzucić? Gdybyś był słuchał spokojnie, byłbyś zrozumiał, że całe jéj życie, nie było niczém inném, jak tylko dojrzewaniem téj jednéj, strasznéj chwili. Zarodki występnego życzenia, ukryte jeszcze w dziewczęcych snach biédnéj Olgi, wystrzeliły w bujną roślinę, na owym kamieniu w lesie, a rozkwitły tejże saméj godziny, kiedy weszła do twego pokoju, aby cię namówić do pozostania i zaślubienia Marty.

— Dlaczegóż namawiała mnie... pragnęła tego, kiedy sama chciała zająć miejsce siostry?

— Ona wcale nie wiedziała czego wtedy pragnęła. Wszystkie jéj usiłowania, żeby ciebie z Martą uszczęśliwić, były tylko skrytą walką, jaką jéj czysta, uczciwa natura, toczyła z uczuciem wzrastającém w niéj od dnia, w którym ciebie, dziewczątkiem jeszcze będąc, ponownie ujrzała. Ale ona nie rozumiała tego. Nawet co do miłości dla ciebie, jasną jéj się ona dopiéro stała, w dzień jéj przybycia

do twego domu. Jakżeż więc mogła przeczuć to, co jako wynik téj miłości, w najtajniejszéj głębi jéj duszy drzemało?

— A jednak walczyła z tém...

— Całkiem bezświadomie. Myśli jéj pozostały czyste, aż do owéj strasznéj godziny nocnéj. Jéj zmysły jedynie walczyły z tą trucizną. Zdrowa, silna natura Olgi, czerpała w sobie saméj odżywcze soki, żeby truciznę tę zniszczyć, a przynajmniéj uczynić nieszkodliwą. Z tego powodu skazała się na wygnanie pomiędzy obcych, z tego powodu jeszcze i w twoim domu myślała o ucieczce. Jak mało była świadomą całego procesu, jaki się przez lata długie w niéj odgrywał, widzisz z tonu i porządku jéj wspomnień. Wiele jest postronnych, które nie mają nic wspólnego z postępem opowiadania, a które są jednak pełne wartości, dla historyi rozwoju jéj uczuć i dojrzewania występnego życzenia. Dlaczego je przytacza? Subtelne poczucie Olgi mówi jéj: może i to ma związek z moją winą?..

— Nie wierzę w żadną winę! — krzyknął Robert w największém wzburzeniu — jeżeli owo życzenie, nie było prostém przywidzeniem, wypływem chwilowego, chorobliwego podniecenia nerwów, tylko od długiego czasu tkwiło w jéj duszy, jakżeby ona mogła, sześć godzin przed jego wypowiedzeniem, wyrażać się z takiém oburzeniem o mojéj matce, którą podejrzéwała o żywienie podobnego życzenia?

— A mnie znów, nic bardziéj nie przekonywa w mojém mniemaniu, jak właśnie to oburzenie. Aby zrzucić ciężar z własnego sumienia, chętnie podjęła kamień, aby nim rzucić w twoją matkę. Strach przed własnym grzechem, popychał ją do tego...

— A wzniosłe, pełne zaparcia się siebie postanowienie, jakie kilka dni przedtém powzięła?

Po zmarszczonych rysach starca przebiegł uśmiéch, pełen pobłażliwości i przebaczenia.

— Stare przysłowie o dobrych chęciach, któremi piekło jest zabrukowane, pewnie i tutaj dałoby się zastosować! To postanowienie, była to ostatnia, nieudana próba, połączenia miłości dla siostry, z uczuciem dla ciebie, pogodzenia, z taką siłą wybuchających namiętności, z obowiązkami względem Marty. Było to najniedorzeczniejsze, bo najmniéj naturalne zadanie, jakie nieszczęśliwa Olga mogła wymyślić. Milczące zaparcie się siebie nie było wcale zgodne z jéj usposobieniem. Tak, trzeba było rzeczywiście nieszczęsnego trafu, żeby taka kobiéta jak ona, z takim wysokim umysłem, taką potężną siłą woli, popadła w najpodlejszą, najohydniejszą winę, jaka jest na świecie, winę, którą, uważnie patrząc na ludzi, a stojąc nieraz przy łożu ciężko chorych, wyczytałem już z niejednéj twarzy. Jest to, mój

chłopcze, jedna z najciemniejszych stron ludzkiéj natury, pozostałość zwierzęcości, którą nasz obłaskawiony świat przechował, a która, nawet w tak delikatnéj naturze, jak Olgi, może się obudzić. Cóż dopiéro mówić o pospolitszych duszach, tylko, że te, milczą zwykle o tém, co się w nich dzieje. Poczekaj, będę jaśniéj mówić. Pewnego razu przyszedłem do łoża starego, bogatego człowieka, właściciela rozległych dóbr. Chwile jego były policzone. U węzgłowia stał jego najstarszy syn, może czterdziestoletni człowiek, który od wielu lat nieszczęśliwie zarządzał obcym majątkiem, przez co jego narzeczona więdła i starzała się powoli. Syn ten, był to dzielny, uczciwy człowiek, który pewnie i najdrobniejszéj muszce nigdy nie zrobił krzywdy. Ojca kochał serdecznie i nigdy, nikomu źle nie życzył. Wtém, w ukrytéj obawie, z którą na mnie spojrzał, kiedy przyłożyłem ucho do piersi starego, wyczytałem wyraźnie życzenie: O gdybyż on umarł!

— Innego znów razu, przywołany byłem do pewnéj kobiéty, która bardzo szczęśliwą była w powtórnem małżeństwie. Jeden tylko cień padał na nowe jéj szczęście. Mąż jéj nie mógł przywyknąć do dziecka z pierwszego małżeństwa. Marszczył czoło, gdy się tylko o maleństwie mówić zaczynało, a że go żona ubóstwiała i bała się, żeby przez dziecko i jéj nie znienawidził, ukrywała je zwykle przed nim. Dziecko dostało szkarlatyny. Zastałem matkę na kolanach przy łóżeczku gorzko płaczącą. Z trwogą walczyła o słabe życie. Przecież ono było jéj własne, w jéj łonie się zbudziło! Wtém wszedł mąż; wstrząsnęła się a w niezwykle błyszczącém spojrzeniu, jakie na kołyskę rzuciła, jasno wyczytałem: Szczęściem byłoby dla mnie, gdybyś ty umarło!

— Mógłbym ci przytoczyć niezliczone przykłady, gdzie: zazdrość, chciwość, pragnienie niezależności, swobody, tęsknota za miłością, — występne, potworne to życzenie w człowieku hoduje. Szczęściem, dzisiaj szkód ono nie wyrządza. W dawnych czasach, w których namiętności nieokiełznane otwarcie szalały, myśli dopomagał czyn i jeżeli się zdarzyło, że w łonie rodziny jedno drugiemu przeszkadzało, sztylet lub trucizna wchodziły wnet w swoje prawa. Historya i literatura pełne są takich mordów, a taki znawca ludzi jak Shakespeare nie zna prawie innego motywu tragicznego, jak zabójstwo bliskiego krewnego. Dziś ludzie się zmienili, są bardziéj obłaskawieni i jeżeli walka o byt wciśnie się w święte koło rodzinne, człowiek dzisiejszy, po większéj części zadowolnić się musi życzeniem, aby ten, który mu na drodze stoi, jaknajprędzéj znalazł się sześć stóp pod zie-

mią. To życzenie, to jest stary mord, złagodzony nowym obyczajem...

— Tak mój drogi chłopcze, powiedziałem ci długie kazanie, a jeżeli się twoja krew przez ten czas nieco uspokoiła — to cel mój osiągnięty...

— A więc, słowem, potępiasz ją! — wykrzyknął Robert z rozpaczą.

— Mój kochany synu, ja nikogo nie potępiam — odpowiedział starzec z łagodnym uśmiechem — a najmniéj taką uczciwą naturę, jaką była Olga. Już to samo, że znalazła odwagę wyznać przed sobą samą i tym, którego tak bardzo kochała, winę swoją, podnosi ją ponad innych. Bo to życzenie, o którém rzekliśmy, że jest najpotworniejszym występkiem naszych myśli, jest zarazem i najłatwiejszém do zatajenia. Żaden przyjaciel nie powierzy go przyjacielowi, ani żaden mąż swéj żonie; żaden spowiadający się nie wyzna go pasterzowi duszy swojéj, nawet modlitwa, w najgłębszéj skrusze, do nieba zasyłana, pokrywa go obłudném milczeniem. W ciemności i grozie powstały, w ciszy i wstydzie przepada! Więcéj jeszcze! Życzenie to jest występkiem, dla którego ani przed sprawiedliwością świata, ani we własném sercu, ani sumieniu, nie ma pokuty ani kary! Jest to występek, wobec którego, nawet najsurowszy sędzia, jakiego człowiek sam w sobie nosi, okazuje się przewrotnym i słabym. Tysiące ludzi, którzy się téj nikczemności dopuścili, żyje wesoło daléj. W doskonałym spokoju ducha, bez wyrzutu, zbiérają korzyści wynikłe ze spełnienia się ich życzenia, o którém sami jaknajśpieszniéj zapominają. Występna myśl zostaje z pamięci ich usunięta, tak, jak usuniętym bywa pierwiastek choroby, w chwili, gdy przyczyna choroby znika. Występek jednéj chwili zatraca się w spełnianiu różnych obowiązków społecznych i osobistych. Ja jednak bynajmniéj nie powiadam, że tych ludzi potępiam. Cóżby się ze światem stało, gdyby każdy, przejrzawszy się w zwierciedle i dostrzegłszy na swéj twarzy brodawkę, chciał sobie uciąć całą głowę? Ludzie, których ci przedstawiam, są to zdrowi, przeciętni ludzie, których tak zwana dobra natura, osłonięta jest o tyle grubą skórą, że nie wiele się o to troszczą, jeżeli się czasem coś brzydkiego do niéj przylepi. Olga była z lepszéj gliny, jéj system nerwowy nie mógł znosić ostrych razów. To, co innym sprawiałoby lekkie swędzenie, dla niéj było uderzeniem bicza. Takie natury mają coś pozornie chorobliwego w sobie; skłonne są do hysteryi i do melancholii. A jednak organizm ich pracuje równie prawidłowo i żywotnie jak innych, ochrońmy je jak czułe, chemiczne ważki szklanym kloszem, a zobaczymy jakich cudów dokażą! Do takich wrażli-

wych systemów nerwowych przyczepia się czasem pewna słabość woli, która nakazuje im przy obcém dotknięciu zamykać się w sobie, i te są szczęśliwsze, bo chronią się same, omal mimowiednie, przed gwałtowniejszemi razami. Ale, biada tym z pomiędzy nich, których niepowstrzymanie gnają naprzód: nieposkromiona wola i potęga namiętności! Wtedy zdarzyć się może, że jakiś zrazu niedostrzeżony cierń zamieni się w zatrutą strzałę, która jad i śmierć niesie!

Tak, a teraz dość paplania, mamy tu jeszcze dwie, trzy kartki... Posłuchaj! z nich dowiemy się, jak to myśl jedna, jedno życzenie, może stać się zgubą człowieka.

VIII.

O tém, co późniéj nastąpiło, zachowałam tylko niewyraźne obrazy w pamięci.

Pamiętam, że nagle tak przeraźliwie krzyknęłam, że się aż Marta na pościeli uniosła, że przy jéj łóżku upadłam, jéj gorące ręce objęłam i wołałam jak nieprzytomna:

— Ratuj mnie, ratuj! obudź się!

A potém... znalazłam się w moim pokoju, dokąd mnie Robert zaniósł, — potém... zobaczyłam w zwierciedle moją twarz wykrzywioną, bladą ze strachu z szeroko otwartemi oczyma i — wybuchnęłam śmiechem, którego się sama przelękłam i usłyszałam ze wszystkich kątów, tysiące głosów, które, chichocząc się, szeptały mi do ucha:

— O, żeby ona umarła!

Wyraźniéj nieco pamiętam miłe, poważne oblicze wuja-doktora, który, pochylony nademną, dawał mi coś gorzkiego do picia. A potém, już nic... nic... nie pamiętam.

. . . .

Słabo przeświecało ranne słońce przez szyby, kiedy się z ciężkiego snu zbudziłam. Głowa bolała mnie strasznie. Z trwogą patrzyłam w koło siebie i zdawało mi się, że widzę na białéj ścianie wypisane słowa:

O, żeby ona umarła!

Dreszcz wstrząsnął mojém ciałem.

— Jeżeli ona umrze, to moje życzenie ją zabiło!

Zerwałam się i pobiegłam do lustra.

Tak więc wygląda ta, która pragnie śmierci swojéj siostry!

Blada twarz spozierała na mnie wylękłemi oczyma: Owładnię-

ta nagłym wstrętem, uderzyłam pięścią w szklaną taflę. Ręka moja krwią nabiegła, ale lustro się nie zbiło.

Głupia! nie wiedziałam, że odtąd cały świat w koło mnie stanie się zwierciadłem, w którém się odbijać będzie moja myśl zbrodnicza.

Ona umrze,—moje życzenie ją zabiło!

Zacisnęłam zęby i czepiając się ściany, doszłam aż do pokoju choréj.

Stanęłam przy drzwiach, za niemi cicho było jak w grobie. Może już nie żyje?

Nie, — żyła jeszcze, ale na jéj obliczu śmierć rozpostarła już swoje cienie.

Nos zdawał się być wydatniejszym, wargi nie zakrywały niedomkniętych zębów, oczy głęboko wpadły w ciemne jamy.

Przy jéj nogach stali: Robert i wuj-doktór. Robert przycisnął ręce do twarzy, łkania wstrząsały nim. Starzec zmierzył mnie badawczém, przejmującém spojrzeniem. Znów mi się zdawało, że mnie na wskroś przejrzał. Ale, kiedy pośpieszył ku mnie i chwiejącą się swojém ramieniem troskliwie podtrzymał, uspokoiłam się, że to było przywidzenie.

— Jak długo jeszcze... żyć będzie? — zapytałam, zamykając oczy.

— Umiéra!

W téj chwili zastygło coś we mnie, skamieniało. Zamarła wiara w siebie, w szczęście, w dobro... Bezmierny spokój mnie ogarnął. Śmierć krążyła nad Martą, rozpostarła i nademną swoje skrzydło. Z niezawodną pewnością jasnowidzącéj widziałam, co mnie odtąd w życiu czeka. Samotna miałam odtąd po świecie błądzić, czepiać się miałam tego życia, które już nic, nic nie chowało dla mnie, i miałam widzieć szczęście blisko, a dosięgnąć go nie miałam nigdy!

Robert zbliżył się do mnie i objął mnie ramieniem. Pozwoliłam na to spokojnie. Nie czułam nic.

Potém, usiadłam tuż przy łóżku i wpatrzyłam się w oblicze siostry. Z uwagą śledziłam każdy objaw powolnego gaśnięcia.

Żadne gorączkowe, chorobliwe przywidzenia nie mąciły już biegu moich myśli. Że moje życzenie nie mogłoby mieć siły śmierć sprowadzić Marcie, było mi zupełnie jasném A jednak dla mnie, dla mego sumienia, ono tylko życie jéj zabrało.

Ja, zabójca, siedziałam przy jéj łóżku i czekałam na jéj śmierć, która też i moją była.

Trwało to długo. Dzień mijał — ona żyła. Puls jéj prawie

już nie bił, serce prawie stanęło, — a z jéj piersi wybiegał jeszcze ciągle cichy, urywany oddech. Kiedy, po zażyciu morfiny, leżała uśpiona, zastrzyknięto jéj piżmo, aby resztkę sił podniecić. Tém jeszcze żyła. Zapach piżma, zmieszany z wyziewami z karbolu, zapełniał duszną atmosferą cały pokój. W skroniach mi tętniało, każdy mój oddech stawał się trudniejszym.

Po południu przybyli rodzice Roberta. Ja, która wczoraj okazywałam ciotce tylko dumę i pogardę, pocałowałam ją dziś z pokorą w rękę.

Był to początek pokuty, którą zadałam sobie przy łożu konającéj, a która ma trwać tak długo, jak ja żyć będę.

Zapadł wieczór. Marta żyła.

Usta miała otwarte, a przygasłe, mgłą przysłonięte oczy wlepiła we mnie.

Ciało jéj stawało się coraz mniejszém, mniejszém, leżała zupełnie skurczona. Jakby umierając chciała ustąpić z tego miejsca, które za życia zabrała.

Ciotka zapełniała cały dom swemi wstrętnemi lamentami. Płakali wszyscy, ja tylko nie wylałam ani jednéj łzy.

Kiedy Marta około o godz. 11-éj wydała ostatnie tchnienie straciłam przytomność...

. . . .

. . . .

. . . .

Powracam właśnie z zamczyska. Dobry i miły był dla mnie, a w jego oczach tliła ukrywana, nieśmiała czułość.

Jestem pod wrażeniem, jakby miała nadejść nowa wiosna, a kiedy zamknę oczy, zdaje mi się, że jestem otoczona złotemi promieniami słońca!

Dosyć tych marzeń! precz ze słabością!

Gdyby mnie pokochał... tém gorzéj dla niego. Nie ośmielałam go nigdy,—doprawdy nie! gdybym to śmiała uczynić, nazwałabym się sama najnikczemniejszą dziéwką!

Wróciwszy do zdrowia, więcéj jak przez rok, uczciwie i wiernie rządziłam jego domem; bez cienia myśli, żeby mu się spodobać, bez życzenia nawet, by mu się stać potrzebną. A jednak stałam się nią. Widocznie, pani ciotka to spostrzegła, inaczéj nie narzucałaby mi gościnności w swoim domu. Wiem przecie, jak mnie nienawidzi.

Jest zbyt dobrą gospodynią, by nie zrozumiała wtedy, że bezemnie przepadłoby całe gospodarstwo. Robert przybity smutkiem i żałobą nie był zdolny zająć się niczém, nieczuły był nawet na widok dziecka, które mu przecież po niéj zostało.

Gdyby nie ja, to i biedne maleństwo leżałoby pewnie w ziemi.

Nie chcę tu wspominać, co ja przez ten czas wycierpiałam, wypracowałam...

O pokucie także mówić nie chcę. Jakże pompatycznie brzmi to słowo, a jakież nędzne okłamywanie siebie samego za niém się kryje! Czy można obmyć to, co moją duszę splamiło?

Można pokutować za jakąś wyraźną winę, za jakiś wielki występek, ale nizka podłość na zawsze do duszy przylega!

O, gdybym choć nie czuła tych skrytych pragnień mego serca!

Dlaczego chciałam zawsze czystą być we własném sumieniu, jeżeli nie dlatego, by módz do Roberta kiedyś należyć? Ale pomiędzy nami stanął mur tak wysoki, że z głębi jéj grobu aż do gwiazd sięga!

A jeżeli kiedy szatan radę do ucha mu szepnie, by rękę po mnie wyciągnął, cóż innego mogę uczynić, jak tylko odrzucić go jak zuchwalca? Ale on się na to nigdy nie odważy. Niechaj myśli, że mnie nie wiele obchodzi, niech sądzi, że jestem wyniosłą i w miłości własnéj zakamieniałą.

Będę umiała strzedz tajemnicy mego serca. Ach, żeby to jedno tylko tak mnie nie męczyło! Nieraz w nocy, kiedy w ciemności leżę, a zasnąć nie mogę, budzi się we mnie z nieokiełznaną siłą pragnienie żeby raz, raz chociaż jeden, na jego szyi zawisnąć i na jego piersi wypłakać się serdecznie!

Pragnienie to porywa mnie, jak szał gorączki, zaciemnia mi zmysły i burzy krew w moich żyłach! Płakać przy jego sercu! Bo w owych strasznych nocach łzy mi wyschły. Nie mogłam już zapłakać od dnia, kiedy Martę na łożu boleści zobaczyłam.

Czternaście dni późniéj.

Stało się. On mnie kocha. Przyszedł, żeby o moją rękę prosić. O, wiem teraz, że istnieje pokuta! Czyż te męczarnie poprostu nie palą! Chryste! straciłam w Ciebie dziecinną wiarę, ale Ty byłeś człowiekiem, który cierpiał wiele! Ciebie błagam... nie, to szaleństwo!...

Zastanów się, dziewczyno, zapanuj nad sobą!

Czyż nie ma wiecznego spokoju, do którego uciec możesz dobrowolnie, kiedy twoje siły nie ostoją się już twoim cierpieniom? Któż cię zatrzyma?

On mnie kocha, dosięgłam tego!

Ale, ażeby on mnie pokochał, musiała wprzódy Marta zginąć, musiałam ja sama pogrążyć się w przepaść hańby i występku, z któréj żadna moc nieba, czy piekła, mnie nie wyratuje.

Umarłą jestem. Umarłemi mają być moje pragnienia i nadzieje, i umarłą ma być ta niesforna krew, która jak ukrop parzy mi nerwy, przy każdéj o nim myśli! Zmuszę ją do spokoju. A jeżeli nie...

Jak on stał przedemną nieśmiały i drżący, słowo za słowem jąkając, jak jego oko lękliwie mojego spojrzenia szukało, zaledwie śmiało się podnieść od ziemi!

O, ty, moje biedne, drogie, duże dziecko, czyżeś ty nie widział, co się ze mną działo, jak gorąco pragnęłam na szyję ci się rzucić i zatrzymać cię całą siłą na dziś i na wieczność! czyżeś nie widział, jak moje usta drżały, jak pragnęły na twoich zawisnąć, i tak do ostatniego tchnienia pozostać!

Czyżeś tego wszystkiego nie widział?

I uwierzyłeś tym słowom, które ja, nawpół przytomna, do ciebie mówiłam? Moje serce nic o nich nie wié, — przysięgam ci. Kocham cię, odkąd tylko zapamiętać mogę; twoje imię, będzie mojém ostatniém westchnieniem.

Szkaradnie, jeżeliś uwierzył moim wykrętom! Ja chcę ciebie bogatéj oddać!

Ciebie, dla którego żebrałabym po ulicach, dla którego oczy i palce zapracowywałabym do krwi, gdybyś tego potrzebował!

Czy pamiętasz ową noc w domu rodziców, kiedy przybyłeś o Marty rękę prosić? Czy pamiętasz? i czy możesz wyrządzać mi taką krzywdę, by moim nędznym wykrętom wierzyć?

Kiedy na pożegnanie podałam ci rękę, dlaczego tak smutnie i pokornie spojrzałeś mi w oczy? Czy nie wiedziałeś, że mnie to spojrzenie męczyć będzie we dnie i w nocy, jak wyrzut ciężkiéj przeciw tobie winy?

Nie, mój ukochany! ty jesteś jedyny na ziemi, który mi nie ma nic do wyrzucenia. Uczciwie postępowałam z tobą, a najuczciwiéj dzisiaj, choć nigdy nie okłamałam cię tak bezczelnie!

Żeby mi choć wolno było powiedzieć tobie, jak bardzo ciebie kocham!

Jakże chętnie umarłabym téj saméj godziny.

Ach, raz tylko jeden do twego serca się przytulić, — raz jeden schronić głowę na twoich piersiach i płakać, płakać, krwawemi łzami płakać!

Nie patrz tak na mnie nigdy, mój olbrzymie, jak gdybym ja słusznie tobą wzgardzała, jakbyś ty, ty, mnie był niegodnym.

Nie wiem, co wtedy uczynię!

Boże broń cię przedemną i moją miłością!

Ośm dni później.

A przecież... a jednak... uczyniłam to.

Jego szyję oplotłam rękami i upajałam się jego pocałunkami i na jego sercu płakałam do syta!

Jestem spokojna, zupełnie spokojna. Wszystką rozkosz i szczęście, jakie jeszcze dla mnie, grzesznicy, życie mogło zachować, wypiłam do dna?

A co teraz?

Od godziny już stoję przed wielkiém pytaniem: Uciekać czy umrzéć?

Jedno czy drugie musi stać się téj nocy. Jutro on przyjdzie, aby zaprowadzić mnie do grobu Marty.

Zanim z nim tam pójdę, wprzódy umrę! Przypuszczam, że jestem dość obłudną i nie upadnę tam przy grobie i nie wyznam mu wszystkiego, przypuszczam, że nie zabije mnie zgroza przed sobą samą i znajdę dosyć odwagi, by jego żoną zostać, jakież będzie moje życie przy jego boku?

Czy można czepiać się szczęścia, które się utraciło? Czy nie drżałabym przed nim jak grzesznica, wiecznie dręczona obawą, że się zdradzę! i czy znękana ciągłym przymusem, w końcu sama nie obwołałabym moją winę całemu światu? Jakże mogłabym spać na tém łóżku, z którego życzenie moje do grobu ją zaniosło? jak mogłabym czuwać pomiędzy temi ścianami, na których ognistém pismem na wieki wypisane stoi:

O, żeby ona umarła!

Chcę zupełnie spokojnie i rozsądnie z sobą mówić, jak na tego przystało, kto *facit* swego życia kreśli.

Żoną jego zostać nie mogę, to wiem dobrze.

Uciekać. I cóż pocznę na obczyźnie? Znam ją. Znam ludzi i pogardzam nimi. Wyrządzali mi różne krzywdy, nie przestaną ich wyrządzać mi i nadal.

Cała wiara, miłość, nadzieja, które mi pozostały, spoczywają tylko w nim.

A więc umrzéć!

Flaszeczki z morfiną stoją dobrze zachowane w mojéj skrytce.

Miałam jakieś przeczucie, żę mi się przydadzą, gdy kiedyś, na psotę, zabrałam je wujowi pokryjomu.

Te kilka godzin snu, które straciłam, teraz odzyskam.

Jeszcze tylko list do wuja-doktora. Jemu powierzę te kartki, on będzie moim powiernikiem. Może mu się uda tak dobrze zatrzeć ślady, że Robert nie domyśli się niczego.

Dla niego... ani słowa pożegnania... to najcięższe... Ale — tak być musi.

. . . .

Wybiegłam ukradkiem i wrzuciłam list do skrzynki. Strażnik wytrąbił północ. Jaki pusty, ciemny cały świat. W lipach szumi wjatr z cicha. Tu i tam migoce smętnie światełko, może przyświeca tajemnym troskom? Pijany człowiek szedł, mrucząc przez drogę i chciał mnie napaść.

Na świecie nędza, ciemność i brutalność,—we mnie poczucie winy i nigdy nieugaszona tęsknota—to byłaby moja przyszłość.

Doprawdy, życie niczém już mnie nie pociąga.

Tak wiele mówią i piszą o obawie śmierci. Wcale jéj nie czuję. Dobrze mi jest, żem się raz przecie wypłakała do syta. Powstrzymywane łzy ciężyły mi. Płacz sen sprowadza, mówią. Dobranoc!

Sudermann.

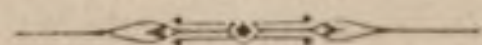
Przełożyła *Zofia Seidler.*





CYWILIZACYA PRZYSZŁOŚCI.

(Charles H. Pearson: *National Life and Character, a forecast. London, Macmillan, 1893).*



Oderwać się chwilowo od świata, w którym żyjemy i który oplątał nas swą nierozerwalną siecią, pobujać okiem ducha w przestrzeni bez końca, zawiązać węzły pomiędzy dotykalną rzeczywistością dnia dzisiejszego a formami przyszłości, nikle się rysującemi w mgle srebrzystéj, było i będzie po wsze czasy natury człowieczéj właściwością, koniecznością nieledwie dla uczynienia doli naszéj znośną. Religia, należycie uwzględniwszy ten nieprzezwyciężony popęd do poznania przyszłości, znalazła w jego zaspokojeniu posadę swéj duchowéj władzy: widziadła nieskończonego, pozagrobowego życia rozkołysały nasze umysły i narzuciły się im trwale. Poezya, z okiem w błękity naprężoném, usiłowała nieraz także odgadywać, jak wróżbita, przyszłych dni konstelacye. Utopie nęciły do siebie, jak wiadomo, nie tylko marzycieli, nie tylko filozofów snujących z pełną swobodą myśli swych przędzę, ale nawet zaprawionych w praktyce życiowéj mężów stanu: historya piśmiennictwa powszechnego daje nam zbiór tych utopii wcale pokaźny.

Ale jeżeli żadna zapora nie krępuje swobody religijnych pojęć, albo szybowania poezyi w obłokach, to utopiści, właśnie dla tego, że zaczepiają o przypadłości rzeczywistego bytu, rachować się muszą z rozlicznemi zarzutami: jedni wykazują praktyczne niepodobieństwa ich programatu, drudzy sam programat w niwecz obracają. Coraz mniéj też spotykamy utopistów w ostatnich czasach, i można powiedzieć, że potężny umysł Fourrier'a zamknął ich szereg raz na zawsze.

Chociaż socyalizm stara się ukształtować ludzkość podług nowéj modły, to nie ma syntetycznego zarysu świata, przezeń wytworzyć się mającego, bo za taki niepodobna uważać niefortunnéj próby Bellamy'ego, o któréj mówić tu w swoim czasie mieliśmy sposobność [1]).

Coraz mniéj tedy zwracamy się do fantazyi marzycieli, gdy nam idzie o odchylenie zasłony ukrywającéj przyszłość naszego losu, a coraz silniejsze istnieje w nas pragnienie oparcia przewidywań na podstawie naukowéj. Tak jak obliczenia gwiazdoznawców potrafią z góry na lat tysiące nakreślić ruch ciał niebieskich, z takim samym rygorem pragnęlibyśmy widziéć zakreślony przyszły rozwój ludzkich społeczeństw, posiadający dla nas o wiele bezpośredniejszy interes. Ale ludzie głębokiéj wiedzy zbyt dobrze znają nieuchwytność wchodzących tu w grę czynników, ażeby chcieli uledz pokusie tego rodzaju. Nawet historyozoficzne poglądy na przeszłość, niedawno jeszcze tak poczytne, straciły wiele na ponęcie za dni naszych, w których wyżéj cenimy drobną monografię na ścisłych dokumentach opartą, aniżeli syntetyczne uogólniania i apryoryczne tezy o rozwojowych fazach ludzkości. Jeżeli tablice statyczne, jak powiedziano nie bez goryczy, stały się dla analitycznéj epoki naszéj, ostatniém słowem mądrości, to niemożliwość zastosowania i sprawdzenia ich danych do czasów jeszcze nie przeżytych pozbawia *ipso facto* wszelki horoskop przyszłości znaczenia naukowego.

Ażeby nakreślić na podstawach naukowych bilans przyszłych wieków i udowodnić jakim niewątpliwie będzie wygląd cywilizacyi naszych pra-prawnuków potrzebaby wyjątkowo ścisłego i systematycznego umysłu, a jednocześnie rozporządzającego ogromem najrozmaitszéj wiedzy: nie można się tedy dziwić, że napróżnobyśmy takich pisarzy oczekiwali a przynajmniéj, że są i będą musieli być nader rzadkimi. Do rzędu ich należy wszelako ten, którego nazwisko i tytuł dzieła wypisaliśmy u góry. Niezaprzeczenie jest to kruk biały, a potężne wrażenie jakie Przepowiednia co do narodowego życia i charakteru sprawiła, jest najzupełniéj usprawiedliwione. Autor nie miał zamiaru wchodzić we wszystkie kwestye, o które przedmiot jego potrącał i umiał on sferę swych dociekań ograniczyć: właśnie to ograniczenie zakresu i wyciąganie logicznych wniosków z przesłanek, posiadających matematyczną pewność, nadaje jego pracy wartość i przedstawia nadzwyczajny interes dla każdego wykształconego czytelnika. Od wielu lat nie pojawiła się książka takiéj intelektual-

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za listopad 1890 r.: Edward Bellamy, *Looking Backward or Life in 2,000.*

néj doniosłości. Nie wypada stąd bynajmniéj, aby się na wnioski autora bezwzględnie pisać należało. Nie tylko, że przeciwko pesymistycznemu jego nastrojowi i czarnym chmurom, których nawałem nam grozi, protestować wolno, ale można mu na wielu przykładach zarzucić pominięcie tych lub owych czynników cywilizacyjnych. Dla zwolenników metody dogmatycznéj wystarczyłoby to prawdopodobnie ażeby na Przepowiednię tę rzucić anatemę, ale na szczęście przemaga już całkowicie inny kierunek, krytyczny, i samo poddanie zagadnień pierwszorzędnéj wagi pod rozbiór ogólny, samo przypomnienie faktów, około których przechodzimy codzień obojętnie, uważane być może za przedsięwzięcie poważne, gdy jest oparte, jak to ma miejsce u tego myśliciela, na obszernéj wiedzy, niezwykłém doświadczeniu i wybornéj metodzie pisarskiéj. Mniejsza, że się z nim tu i owdzie nie znajdujemy w zgodzie, skoro wyrywa nas raz na zawsze z tego płytkiego optymizmu, w którym sobie pozwalamy drzémać. Jako *motto* położył owo przestrzegające słowo: *Dir wird gewiss einmal bei deiner Gottähnlichkeit Bange!* i istotnie wystarczy go przeczytać i odczytać, ażeby się z pyszałkostwa naszego indywidualnego i rasowego na dobre wyleczyć. Nie idziemy tak daleko, ażeby twierdzić, iż autor przyprawia nas o dreszcz zgrozy, ukazując upiór przyszłości, która nas czeka, ale że do myślenia poważnego obfitą treść nastręcza, i nieraz dość pocieszającą, temu nikt nie zaprzeczy.

Przedewszystkiém zapytają się czytelnicy kto jest autorem téj „Przepowiedni“. Karol H. Pearson musiał już przekroczyć pięćdziesiątkę; należy on do pokolenia, które przed trzydziestu laty znajdowało się na ławach uniwersyteckich i które skrystalizowało w sobie cały zasób liberalnéj oświaty, idei postępowych w dziedzinie religijnéj, politycznéj i społecznéj. Na ławach uniwersytetu w Oxfordzie używał on już reputacyi młodzieńca hojnie pod względem umysłowym uposażonego i kolegium Oriel, którego był *fellow*, liczy go do swoich luminarzy. Spodziewano się odeń świetnéj i płodnéj działalności piśmienniczéj, ale nadzieje te urzeczywistnione nie zostały, albo raczéj urzeczywistnione zostały tylko częściowo. Napisał był „Historyę Anglii w pierwszéj części średnich wieków“, ale na téj młodocianéj pracy skończyło się na długie lata. Od czasu do czasu na stronicach miesięczników pojawiał się jaki treściwy jego *essay*, który dla szerokiéj publiczności przechodził niepostrzeżenie. Można było sądzić, gdy Oxfordczycy jego pokolenia wspominali go chlubnie, że jest ten p. Pearson jednym z tych uczonych, którzy zapowiadają przez kilka lat dziesiątków wielkie dzieło jakie, ale u których na zamiarach się kończy. Sceptyczne to powątpiewanie rozbijało się jednak o fakt,

że umysłowe jego zdolności zjednały mu poważne i wpływowe stanowisko w koloniach: był on aż do ostatnich czasów ministrem oświaty w najbardziéj rozwiniętém z państwowych organizmów australskich, w Wiktoryi. Działalność praktyczna męża stanu tłumaczy zaniechanie czysto pisarskiéj: nie ma atoli powodu skarżyć się na tę przerwę, skoro pozwoliła jego umysłowi dojrzéć i ustalić się, skoro zbogaciła go wyjątkowém doświadczeniem i otworzyła przed nim nowe niejako sfery, do których czysto i wyłącznie europejscy pisarze nie zawsze się zwracają. Obecnie, gdy się z czynnego życia publicznego usuwa, zabiéra głos, i bez żadnego natężenia, żadnego wysiłku to co mówi, wywiera osłupiające wrażenie od jednego do drugiego krańca cywilizowanego świata.

Wiedząc, że autor jest jednym z tych poważnych umysłów, których szerokie wykształcenie otrzymało sankcyę praktycznego doświadczenia, nie żywiemy najmniejszéj obawy, że nam tu z utopiami borykać się przyjdzie i przewidujemy z góry, że przepowiednie autora ograniczą się do wyciągnięcia z mnóstwa istniejących faktów wniosków, leżących w ich łonie *in latenti*. I nadzieja ta ani na chwilę nie jest zawiedziona. Na wstępie zaraz p. Pearson przypomina, że jest materyalném niepodobieństwem przepowiedziéć przyszłość, jak to udowodnili na sobie po wielekroć razy najznakomitsi mężowie stanu i najpoważniejsi uczeni, i nie żali się na tę niemożliwość, gdyż zdaje sobie sprawę, że zanadto jesteśmy opanowani i zaprzątnięci interesami chwili, w któréj żyjemy, ażebyśmy chcieli te interesa poświęcić jakimś oddalonym a zawsze wątpliwym przypadłościom dnia pojutrzejszego. Pod tym względem możnaby powiedziéć, że fatum pcha ludzkość do kresów, których ona przewidywać nie pragnie. Jedyne dozwolone przewidywania są te, które się tyczą zmian, jakie nastąpią w życiu narodowém i charakterze przez zmianę warunków bytu społecznego. Ale nawet tak ograniczone przewidywania muszą się opierać jedynie i wyłącznie na podstawie wypadków, już zaszłych i nie ulegających wątpieniu, wśród społeczeństw najbardziéj ucywilizowanych. Żadne, choćby najbardziéj interesujące wyjątki nie powinny wchodzić w rachunek, gdyż nie są one w stanie zaważyć na szali ludzkości, uważanéj jako całość.

Nie ma wątpliwości, że świat współczesny widziéć przywykł różową przyszłość przed sobą. Głęboko przeniknięty ideą postępu, stwierdzając na każdym kroku potężne zdobycze wiedzy i widząc jak się pod ich wpływem poziom materyalnego bytu społeczeństw podnosi, jak się szerzy cywilizacya i oświata, łatwo doszedł do wniosku, że nie ma granic w tym rozwoju, że każdy rok, każdy wiek następny pomno-

ży tylko ten zasób ludzkości i zbliży nas do urzeczywistnienia zaledwie przeczuwanych ideałów. Nieskończony postęp umysłu ludzkiego, taki jakiego obraz nakreślił geniusz Condorcet'a, narzucił się był powszechnie współczesnemu światu, który się na tem mleku wykarmił. Zrozumieć łatwo, że pogląd, wręcz przeciwny takiemu uspokajającemu optymizmowi, wydał się ponurém nawoływaniem trapisty do myśli o zgonie.

Jednym z tych niezbitych pewników, które nikomu na myśl nie przychodziło podawać w wątpliwość, była bezwzględna wyższość rasy białéj, kaukaskiéj nad wszystkiemi innemi. W obec jéj fizycznie wydoskonalonego typu i niezaprzeczonéj intelektualnéj potęgi z jednéj strony, a z drugiéj w obec wielu jéj zwycięstw nad rywalkami, które zdławiła i wycisnęła z ich siedzib wiekowych, oddaliśmy jéj bez wahania berło świata i nie braliśmy na uwagę żadnéj, innéj alternatywy. Gdy nas dochodziły wieści, że na drugiéj półkuli Australczycy stawiają opór inwazyi rasy chińskiéj, albo że Amerykanie poskramiają samodzielność rasy murzyńskiéj, odgłosy téj walki forpoczt na kresach nie tylko zostawiały nas w dawniejszym kwietyzmie, ale posuwając głupowaty sentymentalizm do ostatnich kresów, stawaliśmy po stronie żółto i czarnoskórych najezdników przeciwko naszéj własnéj, białéj rasie. A tutaj przychodzi p. Pearson z prostém zapytaniem, czy istotnie rasa aryjska zatrzyma swą przewagę w świecie przyszłości, i czy potrafi ona nadać swe piętno cywilizacyi dalekich jeszcze wieków. Rozumié się natychmiast, że w obec zagadnienia takiéj wagi wszystkie następne stają się maluczkiemi.

Rasa aryjska ma przeciwko sobie naprzód liczbę swych współzawodniczek, a następnie niesprzyjające warunki klimatyczne. Ludność Chin wynosi już obecnie przeszło 400 mil., a zanim będzie zmuszony każdy nowy jéj mieszkaniec przesiedlać się po za granice swéj ojczyzny dla znalezienia warunków życiowych, ludność ta wynosić może 750 milionów. Już obecnie emigracya chińska wylewa się do sąsiedniego Siamu, Indochin, Turkestanu, tak samo jak do malajskiego archipelagu, do Borneo, Sumatry, Jawy, etc. Sama ta ostatnia jest w stanie stać się osadą dla 100 milionów mieszkańców. 250 milionów rasy indyjskiéj nie potrzebują być inaczéj rozważane jak przez proste przypomnienie, że istnieją i że wytrzebionymi być nie mogą. Ale rasa murzyńska, osiadła w Ameryce i przenosząca już obecnie na stałym lądzie Afryki 100 milionów, tak łatwo pominięta być nie może. Uważając nawet kolonizacyę europejską Afryki, taką jaka się zarysowała w ostatnich latach za przeprowadzoną szczęśliwie, nie będzie ona mogła nigdy przeniknąć całego tego kontynentu, którego przeznacze-

niem jest zostać raz na zawsze czarnym. Przeciwko 21 milionom rasy białéj mamy tam obecnie 105 mil. murzyńskiéj. A wystarczy wziąć w rachunek ten prosty fakt, że mieszkańcy rasy białéj podwajają się co lat sto, kiedy rasa czarna podwaja się co lat czterdzieści, ażeby zrozumieć, iż rasa wyższa, aryjska, będzie po pewnym upływie czasu w dotykalnéj, niezaprzeczonéj mniejszości względem swych rozmaitych, a przedewszystkiém dwóch głównych współzawodniczek.

Żelaznego tego prawa rozwojowego żadna siła nie złamie, bo jak przypomina p. Pearson, rasa biała nie jest w stanie osiedlić się i rozpładniać normalnie w całéj zwrotnikowéj strefie, kiedy rasy murzyńskie i żółte najwyborniéj w tym klimacie żyć i rozmnażać się mogą. Jak dobrze wiadomo, wzrost ekonomicznéj zamożności danego społeczeństwa przyczynia się do powstrzymania i do zmniejszenia jego płodności; niższe i mniéj zamożne rasy rozpładzają się instynktowo. Skoro obok tego naturalnego popędu mogą one rozprzestrzeniać się na całéj powierzchni kuli ziemskiéj, to z konieczności trzeba uważać w przyszłość i przewagę rasy białéj za nader problematyczną.

Autor nasz, niepodobna tego nie powiedzieć, chociaż nagromadził mnóstwo niezaprzeczonych cyfr i chociaż swobodnie obraca się po całéj widowni kuli ziemskiéj, nie przedstawił zagadnienia swego w całości, i dla tego zostawia miejsca dla wielu zarzutów. Nie może być sporu co do tego, że w środkowéj Ameryce, albo w Senegalu, albo na wyspie Jawie, etc., rasa nasza krzewić się nie może i że pada ofiarą warunków klimatycznych i etnograficznych. Ale nie wypada z tego, ażeby raz na zawsze tak być musiało. W chwili obecnéj dopiero bierzemy w posiadanie te, wczoraj z nazwiska nawet nieznane terytorya. Gdy osuszone będą ich moczary, uregulowane ich rzeki, obsiane łany, klimat ulegnie radykalnym zmianom i rasa biała będzie mogła osiedlić się tam, tak samo, jak osiedliła się w Australii, któréj klimat przez irygacye i przez wiercenie studni artezyjskich zmieniony być może w sposób czyniący z tego przestronnego lądu stałego podścielisko dla setek milionów najwyżéj uposażonéj rasy. Nie poruszamy nawet innéj kwestyi niezmiernéj wagi, którą także przeciwstawić można przewidywanéj hegemonii ras niższych, a mianowicie możności wytworzenia rasy mieszanéj. Czytelnicy wiedzą, jak jasno antropologia współczesna zagadnienie to przed sobą postawiła i że wskazała nawet na południową Amerykę, jako na kocioł, w którym się owa mieszanina przygotować będzie mogła swobodnie. Raz uznawszy możliwość rasy mieszanéj, nic nie przeszkadza wysnuć z niéj pasmo naturalnych następstw i prowadzić rasy coraz bardziéj ulepszone i po coraz wyższych cyklach. Tam, gdzie p. Pearson przepowiadać się zdaje zagładę

wyższego typu wskutek liczebnéj przewagi niższego i wskutek tego ostatniemu tylko sprzyjającego środowiska, można zakreślić ewolucyjne przekształcenie się i zlanie ras, daleko bardziéj nadające się do postępowego rozwoju następnych stuleci.

Kwestya wzajemnego do siebie stosunku ras i ewentualnéj hegemonii ras niższych nad wyższą słusznie zaprząta naszego autora, ale nie w rozdziale jéj poświęconym leży istotna zasługa jego utworu, lecz raczéj w dwóch następnych, gdzie rozstrząsa z jednéj strony pewne niezmienne formy ustroju społecznego, a z drugiéj niebezpieczeństwa, jakie sprowadzić musi rozwój polityczny, któremu porwać się pozwalamy. Nigdzie silniéj, jak tutaj, nie kruszy on mamideł, któremi zamydlamy sobie dobrowolnie oczy. Przy naiwnéj wierze w wszechwładzę postępu żywimy nadzieję, że nadejść musi epoka rozbrojenia, wiecznego pokoju i pobratania się narodów cywilizowanych w jakąś wszechrepublikańską federacyę. O téj organizacyi autor mówić nawet nie raczy: jest za poważnym, za realistycznym spostrzegaczem, aby chciał analizować fenomena, których nawet zarodku nie widać. Ale kwestyę wiecznego pokoju i zniesienia tych milionowych armii, które, chociaż ogólnie uważane za plagę, są wszelako przez optymistów traktowane jako plaga przechodowa, skazana na bliskie zniknięcie, — kwestyę tę stawia w świetle inném zupełnie. Przyszłość, jaką sobie przygotowuje ludzkość, nie może być inną, jak połączeniem przemysłowego socyalizmu z absolutyzmem wojskowym. Wytworzenie się wielkich mocarstw pociągnęło za sobą, jako nieodwołalną konieczność uformowanie wielkich sił zbrojnych. Wiemy, że nietylko monarchie, ale i rzeczypospolite wzmagają swe armie lądowe i morskie. Powiększenia terytoryalne, a poprostu chęć utrzymania się na zdobytém raz stanowisku zamienia państwa cywilizowane w zbrojne obozy. Rozwiały się już w niwecz nadzieje o wytworzeniu gwardyi narodowych, milicyi zastępujących regularne armie. Przykład wojen w epoce rewolucyi francuskiéj, tak samo jak podczas wojny secesyjnéj w Stanach Zjednoczonych amerykańskich, rozstrzygnął stanowczo tę sprawę. Lecz przypuściwszy nawet, że państwa europejskie, doprowadzone przez wydatki na armie do bankructwa, dojdą do wprowadzenia pewnych ułagodzeń obecnego systematu militarnego, to pozostanie zawsze druga, nieodzowna konieczność: stawienie oporu inwazyi ras niższych. Raz już w historyi inwazya plemion barbarzyńskich zniweczyła wysoką cywilizacyę i trzeba było dziesięciu wieków, ażeby z gruzów świata starorzymskiego powołać do bytu świat nowy. Téj katastrofy świat europejski zapomnieć nie może. Przypuściwszy nawet, że Hindusowie i murzyni będą mogli być trzy-

mani na wodzy raz na zawsze przez rasę aryjską — a wyżéj wykazane było arytmetyczne tego niepodobieństwo — to pozostaje zawsze rasa chińska. Organizacya państwowa społeczeństwa chińskiego utrzymywała je przez dziesiątki wieków w zastojowéj bezwładności, ale w przyszłości do innego rzeczy ułożą się poziomu. Nietylko że wzrost ich ludności zmusi je do przekraczania swych granic, ale Europa dokłada wszelkich starań, ażeby ich wyrwać z letargu, pobudzić do działalności, uorganizować ich siły zbrojne. 400-to milionowe Chiny, raz w posiadaniu stałéj armii, która jak szarańcza zje świat pograniczny i w posiadaniu floty, która będzie mogła stawić czoło zjednoczonym europejskim, stanie się wrogiem tak potężnym, że nie można się łudzić najmniejszą nadzieją rozbrojenia. Już dla samego poskromienia takiego przeciwnika, Francya, Anglia i Rosya zmuszone będą do utrzymywania wielomilionowych armii lądowych i morskich: inne mocarstwa *ipso facto* téj saméj polityki militarnéj trzymać się będą musiały. Ta zmora chińska, która nie przestaje dręczyć pana Pearsona, pokazuje mu nawet bliższe jeszcze niebezpieczeństwo. Jeżeli muzułmanizm o wojennym duchu czynić będzie nadal takie same nadzwyczajne postępy w pośród społeczeństwa chińskiego, jakie czyni w ostatniéj ćwierci wieku, to zastąpi niebawem przemagający obecnie buddyzm; nie ma wątpienia w takim razie, że ta reforma religijna przyśpieszy jeszcze wojenne wyprawy Chińczyków.

. . . .

N. T.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Zofia Daszyńska. Szkice metodologiczne. Warszawa, 1892. Str. 62.

Z dwóch zamkniętych pod jedną okładką i zaopatrzonych wspólnym tytułem rozprawek p. Daszyńskiéj, tylko pierwsza „Zastosowanie obserwacyi i eksperymentu w naukach gospodarczych“ (str. 1—23) odpowiada ściśléj treścią swoją tytułowi ogólnemu. Druga „Kilka słów o metodzie statystyki historycznéj“ jest w istocie streszczeniem wyników z dokonanych dotychczas prób odtworzenia statystyki ludnościowéj minionych epok, na podstawie przechowanych w rozmaitych źródłach liczb ułamkowych. Sposoby techniczne, któremi się posługują przy tém rozmaici badacze, równie jak i same źródła, nie różnią się od używanych w ogóle przy krytyce i sprawdzaniu źródeł historycznych. Pierwsze dwa rozdziały zajmują się wyliczeniem źródeł, trzeci — technicznemi sposobami obliczania; z prac dotyczących Polski, na tém polu znajdujemy wzmianki o obliczaniach prof. A. Pawińskiego (dla XVI w.) i p. T. Korzona (dla XVIII w.); w czwartym zawarte są wyniki dotychczasowych badań historyczno statystycznych. Główne z nich są: 1) że tak w całéj Europie ogólnie, jak i w poszczególnych krajach nie było w minionych epokach wyższego nad dzisiejsze zaludnienia; 2) stosunki ludnościowe wieków średnich i nowych do połowy XVIII stul. odznaczają się wielką niestałością; dopiéro w XIX stul. wzrost ludności jest stały i szybki w stosunku do poprzednich wieków; 3) wzrost miast największy jest w XIX stuleciu; w starożytności tylko ludność Rzymu dosięga miliona za Cezara, Ateny w epoce rozkwitu (w V stul. przed Chr.) nie miały więcéj od 100,000, Aleksandrya w 60 r. przed Chr. ok.

300,000. Na bliższe rozpatrzenie zasługuje, ze względu na ogólne znaczenie i częste podnoszenie zawartych w niéj kwestyj, pierwsza z dwóch rozpraw, w któréj autorka usiłuje dowieść, że spostrzeżeniem i doświadczeniem, w znaczeniu jakie wyrazy te mają w naukach przyrodniczych, posługiwać się może i już się posługuje ekonomia społecza.

Na kilku stronicach wstępnych dostrzegamy pewną nieścisłość [1]), która wpływa na cały przebieg rozprawy.

Przystępując do przedmiotu, który już niejednokrotnie służył za powód do wynurzenia sprzecznych opinii, należałoby poddać krytyce przynajmniéj najważniejsze ze zdań przeciwnych. Do takich należą naprz. zarzuty Milla (X rozdz. III éj ks. Logiki) przeciwko zastosowaniu spostrzeżenia i metody indukcyjnéj do zjawisk społecznych. Zwalczenie tych zarzutów stanowiłoby pożądany wstęp do nowéj próby obrony metody przyrodniczéj w naukach społecznych, chociaż nie usunęło by jeszcze wszystkich trudności, które się dają przewidziéć.

Spostrzeżenie i doświadczenie w wiedzy przyrodniczéj stanowią pierwsze i ostatnie ogniwo następującego łańcucha: doświadczenie lub spostrzeżenie — indukcya — prawo przyrodnicze — (teorya lub

---

[1]) Przytaczam tu parę ustępów na potwierdzenie tego orzeczenia: „Obserwacyi podlega nie przedmiot jakiś lub istota dla nich samych ale pewien typ“ (str. 2) — rzeczywiście zaś przedmiotem spostrzeżenia jest zawsze jednostka konkretna; typ jest naszym wytworem, którego już dlatego nie możemy podać spostrzeżeniu, że nie istnieje w rzeczywistości. Takąż samą nieścisłość zarzucić można autorce w pojmowaniu faktu, gdy mówi (str. 6): „Takie stosunki jak wartość, nadwartość, cena i t. d... uważane być muszą za fakta, a jednak nie możemy ich obserwować“. Bliższe zastanowienie się nad temi pojęciami samo już by mogło odsłonić przepaść dzielącą metody przyrodoznawstwa od umiejętności moralnych i społecznych. Dla ekonomisty wartość i cena stanowią fakt niewątpliwie, skoro piszą się historye i statystyki cen, teorye wartości i t. d., a więc i obserwacyi ekonomicznéj ulegać może. Dla przyrodnika przeciwnie, żadne z tych pojęć nie jest faktem, gdyż nie poddaje się wcale metodom obserwacyi przyrodniczéj, chociażbyśmy chcieli rozciągnąć popojęcie faktu do tego stopnia, jak to czyni Wundt (por. str. 172 polsk. przekł. „Teoryi poznania“. W rzeczywistości dla przyrodnika faktem jest tylko to, co podpada pod zmysły uzbrojone lub nie. (Por. w téj kwestyi art. „Pojmowanie przyrody“ w Ateneum, 1892, Maj). Pod pojęcie doświadczenia podciągają się znowu rzeczy całkiem obce, gdy na str. 5 czytamy: „Nie zagłębiając się w historyą nauk doświadczalnych przypuścić mogę, że najpierwsze doświadczenia zawdzięczamy przypadkowi, albo téż, że wykonała je sama natura, a użytkował chciwy wiedzy człowiek“. Cechą doświadczenia (w znaczeniu naukowém) jest świadome wprowadzenie lub usunięcie tych lub owych czynników: ani przypadkowém więc ani przez „naturę wykonaném“ być nie może.

hypoteza) — dedukcya — doświadczenie lub spostrzeżenie stwierdzające.

Z szeregu szczegółowych doświadczeń lub spostrzeżeń, drogą indukcyi, t. j. odrzucania przypadkowych a zaznaczenia stałych czynników, przychodzimy do pewnego uogólnienia czyli prawa, wyrażającego związek przyczynowy zjawisk. Daléj wiążemy niekiedy wygłoszone w ten sposób prawo z innemi przy pomocy rzeczywistych (teorya naprz. Kopernika) lub wymyślonych (hypoteza, naprz. atomistyczna) konstrukcyi, ułatwiających snucie z niego wniosków dedukcyjnych, lub téż wprost (tam gdzie stosuje się metoda matematyczna, jak w astronomii z prawa ciążenia) wysnuwamy je z saméj abstrakcyjnéj formuły prawa, ażeby następnie stwierdzić nowém doświadczeniem.

Z metodą więc indukcyjną nierozerwalnie łączy się pojęcie prawa, oparte na przyczynowości, czyli konieczności przyrodniczéj. Gdyby więc udało się nawet usunąć trudności zastosowania metody indukcyjnéj, które zaznacza Mill, pozostałoby jeszcze otwartém zagadnienie o jego uprawnieniu.

Wprawdzie każda umiejętność, aby być ścisłą, powinna przyjąć jakąś stałość lub porządek zjawisk za punkt wyjścia; nie koniecznie jednak porządek ów przybrać musi formę przyczynowości przyrodniczéj. W matematyce i logice konieczność, wiążąca wniosek z przesłankami, jest odmiennego typu niż w umiejętnościach przyrodniczych i bardziéj spokrewniona z metodą dedukcyjną; a wychodząc poza zakres czystego poznania, znajdujemy, że konieczność w zakresie woli, czyli prawo moralne, ma znów swoje odmienne cechy, jak i konieczność estetyczna, czyli wymaganie piękna.

Zastosowanie więc metody spostrzeżenia i wnioskowania przyrodniczego do zjawisk społecznych, byłoby uprawnioném wtedy, gdyby udało się dowieść, że przyczynowość przyrodnicza jest jedyną i wystarczającą kategoryą, zdatną do ujęcia naukowego tych zjawisk. O takim dowodzie nie pomyśleli dotąd zwolennicy naturalizmu w ekonomii społecznéj; tymczasem już sama rozmaitość wchodzących tu w grę czynników, wśród których przeważne miejsce zajmują czynniki moralnéj natury (wola), każe przypuszczać, że kategorye przyrodnicze okażą się zbyt ciasne dla ujęcia wielostronnéj i żywéj treści życia ludzkości. Bliższe téż rozpatrzenie wypadków, które p. D. uważa za pomyślne próby zastosowania metody przyrodniczéj do życia gospodarczego, wykazuje, że istnieje tu tylko podobieństwo zwodnicze lub powierzchowne.

Autorka rozróżnia cztery rodzaje obserwacyi, użytych dotychczas w ekonomii społecznéj. Obserwacyą pojedynczą nazywa ona metodę, jaką się posługuje np. dzieło Mehnera („Gospodarstwo rodziny robotniczéj w Lipsku"). Tu autor opisuje szczegółowo zarobki, stopę życiową, czas pracy i wypoczynku, notuje każdy wydatek i każdy sprzęt jednéj rodziny robotniczéj i t. d. Ten rodzaj badania protokularnego jest niezawodnie oparty na spostrzeżeniu, ale spostrzeżeniu wcale nie typowém dla wiedzy przyrodniczéj uogólniającéj. Jest to poprostu dokładne notowanie faktu, jakie spotykamy zarówno u kronikarza lub reportera, jak u podróżnika lub fizyografa, a którego cechą jest przedewszystkiém zupełna nieświadomość tego lub obojętność na to, co się późniéj z tym faktem stanie; kiedy przeciwnie badacz naukowy do każdego faktu przystępuje w celu użycia go do dalszego uogólnienia, szukając w nim cech, „które się zdają być typowemi," jak słusznie zaznacza autorka (na str. 3), a więc z pewną ideą o typie.

To co p. Daszyńska nazywa obserwacyą pośrednią i historyczną, nie jest w istocie obserwacyą i tylko korzystaniem ze spostrzeżeń innych — reporterów lub kronikarzy — które przedewszystkiém, jako mniéj pewnego pochodzenia, muszą być sprawdzone — a służy tu ogólna metoda krytyki i wzajemnego sprawdzania źródeł, nie przyrodnicza lecz historyczna.

Natomiast więcej jest zbliżoną do metody wiedzy ścisłéj statystyka, nie tém jednak, co autorka nazywa obserwacyą, bo w tém znaczeniu jest, jak już zaznaczyłem, spostrzeżenie wspólnym punktem wyjścia dla wszelkich nauk opisowych i nienaukowych opisów, ale wprowadzeniem pierwiastku ilościowego. Cechą bowiem istotną umiejętności fizycznych jest dążenie do ilościowego ujęcia zjawisk; fizyka zapatruje się na świat *sub specie quantitatis* i w tym celu przeważnie wytwarza tak skomplikowane hypotezy. Metoda statystyczna jest próbą ujęcia zjawisk społecznych pod kategoryę ilości, ale tu właśnie nasuwa się okoliczność, najbardziéj podająca w wątpliwość uprawnienie analogii pomiędzy wiedzą scisłą a ekonomią. Zgodność wyników statystyki z wywodami rachunku prawdopodobieństwa, ujawniająca się w tak zwaném prawie wielkich liczb, zdaje się przemawiać przeciwko słuszności zastosowania wyłącznie przyrodniczej konieczności do zjawisk społecznych. Ten bowiem rodzaj konieczności (przyczynowéj) przypuszcza naprzód określone skutki w nieukończonym łańcuchu faktów, jako wynik przyczyny określonéj; rachunek zaś prawdopodobieństwa ma za punkt wyjścia założenie

dowolności faktu (równa szansa jego nastąpienia lub nie), a prawidłowość, jaką wysnuwa, ma za źródło jedynie tę konieczność (dedukcyjną), która stanowi podstawę rozumowań matematycznych.

Również nie możemy dostrzedz cech blizkiego podobieństwa pomiędzy tém, co autorka nazywa eksperymentem ekonomicznym a doświadczeniem naukowém. W tém ostatniém badacz ma zawsze na celu zbadanie przyczyn, wywierających te lub owe skutki; polega ono przeto na wytworzeniu takich warunków, w których by działanie pojedyńczych czynników mogło występować w największej czystości. To, co p. D. nazywa eksperymentem, ekonomicznym, ani ma na celu wykrycia prawd ekonomicznych, ani znajduje możności wytworzenia takich sztucznych warunków. Idzie tu poprostu o próbę, zbliżoną do tych, które wykonywa technik lub rzemieślnik, a mających na celu pewien wynik praktyczny, — nie zaś o naukowe doświadczenie — za przykład mogą służyć taryfy strefowe. Cała różnica pomiędzy taką próbą a instytucyą stałą polega na tém, że próba wprowadza się czasowo, w razie zaś powodzenia zamienia się na stałe. Wprawdzie ekonomiści mogą snuć swoje wnioski z wyników podobnéj próby, ale nie te wnioski ma na celu rząd lub przeprowadzająca ją władza społeczna, a warunki, w których odbywa się doświadczenie, (jeśli je już tak nazwiemy) nie zależą od tych, którzy się z niego uczą. Rozszerzając tak znaczenie wyrazu, można byłoby nazwać doświadczeniem urodzenie się głuchoniemego lub ślepego, gdyż służyć on może za przedmiot spostrzeżeń psychologicznych; ale rozminęlibyśmy się wtedy z prawdziwém i ścisłém znaczeniem terminu. *Wł. M. Kozłowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Kazimierz Gliński.* **Poezye.** Warszawa. Nakład autora 1893, str. 273. W pięknie i schludnie wyglądającéj szacie ukazały się drobne poezye p. Kazimierza Glińskiego, którego czytelnicy „Ateneum“ znają z dramatu „Almanzor“, oraz z dłuższych urywków poetycznych treści legendowo-historycznéj lub wspomnieniowéj. P. Gliński jest prawdziwym poetą uczuciem, fantazyą, myślą, włada przepysznie formą wierszową — jedném słowem obdarzony jest bogato, nie ma tylko możności rozwinąć skrzydeł szerzéj i we właściwym sobie pobujać żywiole; nasuwa też ciągle na myśl ów piękny

a tak gorzko prawdziwy obraz, skreślony przez Schillera — „Pegaza w jarzmie“ kłopotów i trosk codziennych, małych, drobnych, ale tém dokuczliwszych, że są takie drobne, a tak nieustanne, takie wciąż się powtarzające z niezmordowaną, lecz mordującą jednostajnością. Wprawdzie bezwględna większość ludzi chodzić musi w tém jarzmie powszedniości, ale ta refleksya nie zdoła osłodzić doli naturze wrażliwéj, czującéj w sobie zdolność do lotów wnioślejszych, a zmuszonéj nieodbitą koniecznością do rozmieniania wielkiego talentu na drobną monetę. Potrzeba umiéć odczuwać wrażenia i uczucia twórców, rozmyślających o wielkich tragedyach dziejowych, ażeby zrozumiéć dotkliwość bólu, jaki im sprawia propozycya napisania t. zw. „humorystycznego“ wierszyka, którymby można w rodzaju winietki urozmaicić treść dziennika czy tygodnika. Znaczna część wierszy, rozpoczynających tom „Poezyi“ p. Glińskiego, takiemu właśnie stanowi rzeczy zawdzięcza swój początek. Dlaczego je autor wysunął na czoło zbiorowego wydania swoich utworów? Wszak epigramata czy fraszki, do których owe wiersze gatunkowo należą, mieścić się zwykły na końcu zbiorów, jako „wety parnaskie“, wedle wyrażenia Wacława Potockiego, po innych olimpijskich daniach. Kto wié, czy źródłem, z którego wypłynęło takie postanowienie poety nie jest też sama przemoc codzienności! Może sobie autor pomyślał: wierszyki te krótkie, żartem zaprawne, najrychléj jeszcze przeczytane będą przez rozbawiony, filisterski ogół, zarekomendują poetę jako człowieka nie nudnego, który wylewami uczuciowemi i myślami górnolotnemi nie będzie mącił spokoju dusz powszednich. Dopiéro późniéj, kiedy już nie będą mieli odrazy do wierszy, zajrzą daléj i wdrożą się pomału do budzenia w sobie uczuć, do kierowania myśli ku wyżynom. Jakkolwiekbądź wśród tych „bajek“ p. Glińskiego, znajduje się wiele takich, które zaszczytne zająć mogą miejsce w szeregu licznych „fraszek“ naszéj literatury, a trafném spostrzeżeniem, rozumną uwagą, żywém uczuciem zwracają na siebie uwagę. Pod koniec tego działu znajdują się ballady i tłomaczenia obcych autorów: „Rybak“ Goethego, „Róża“ Wiktora Hugo. Dział drugi, zatytułowany na wzór Bohdana Zaleskiego: „Wiośnianki“, mieści w sobie maleńką wiązankę wspomnień miłosnych z doby widać młodzieńczéj. Prześliczny jest wstęp do nich:

Pierwiosnku! jesteś ty młodością roku,
Młodości, jesteś ty pierwiosnkiem życia —
Czas dla was płynie na falach potoku
Wśród blasków słońca i wśród tęcz spowicia.

Lecz przyjdą burze i piorunów bicia,
Gromy uderzą z przeznaczeń wyroku —
Zginiesz, pierwiosnku, ty młodości roku!
Pierzchniesz, młodości, ty pierwiosnku życia.

Dwoje młodych, oddanych marzeniom i rojeniom, bez troski i bez złych przeczuć, korzystają z wiośnianych swych usposobień, drwiąc z oburzenia obłudnych świętoszków, co sami grzeszyć już nie mogąc, zazdroszczą najniewinniejszych uciech młodszym od siebie.— W ostatnim dziale p. n. „Piosnki, sonety, powieści i fragmenty“ obejmującym więcéj niż połowę książki, wraca oczywiście niejednokrotnie jeszcze nuta miłosna, lecz nie z tą już zazwyczaj swobodą i naiwnością, co w „Wiośniankach“; męty bowiem nieraz na dnie kieliszka rozkoszy dojrzane, oraz plątanina stosunków towarzyskich i społecznych zamącają błogość edenu miłości i wprowadzają do niego smutki, rozczarowanie, gorycze. Tu często pojawia się przeciwieństwo bezmyślności życia salonowego z twardemi warunkami bytu klas pracujących, czy to umysłowo, czy fizycznie. Spółczucie poety jest oczywiście zawsze po stronie pracowników i nieraz wypowiada się w bardzo ładnie przeprowadzonych pomysłach. Za przykład może posłużyć obrazek powieściowy p. t. „Gęsiarz“, gdzie znajdujemy opowiedziane bez sentymalnych wykrzykników i bez krzykliwych barw historyą sieroty, dla którego w dzieciństwie pociechą jedyną były gąski, staw, wierzbina nad stawem rosnąca, puchy kwiatów i to echo, które w borze gada. Ukochana Magda wyszła za kogo innego; on puścił się w świat i różnéj tu zażywał doli, a gdy starość zgarbiła mu plecy, gdy z piersi mu kaszel suchy wyrywał się, zaprągnął znowu wciągnąć w swe płuca powietrze wsi rodzinnéj i wsłuchać się w znanych wichrów podmuchy. I na starość wrócił do zajęcia, od którego rozpoczął; niezdatny do innéj pracy, znowu pasł gęsi i wsłuchiwał się w echa boru. Bardzo pięknie skreślone są wrażenia powracającego dziada do wioski, a wzruszająco — zgon biedaka cichy. Z innych wierszy wymienić należy jako piękne istotnie: „Czy znasz?“, „Nie tak, nie tam“, „Z prawd życia“, Wspomnienie“. Smutna piosenka, myśli zabarwione melancholijnie, marzenia i rojenia są to motywy, które poeta najlepiéj umié wyrazić. Dodać jednak potrzeba dla odróżnienia p. Glińskiego od rzeszy spółczesnych melancholików poetyckich, że nie ma w jego smutku pozy, ani doktryny żadnéj; śpiewa smutno, bo to zasadniczy nastrój jego duszy, ale w tym smutku nie ma ani pessymizmu, ani drapowania się w byronowski czy mussetowski płaszczyk; poeta wierzy w dobre strony ludzkości, chociaż zeszpecone czasowo różnemi nawianemi

zzewnątrz piętnami, wierzy również w możność oddziaływania na spółbliźnich za pośrednictwem słowa, więc wierzy także w społeczną doniosłość poezyi. Zbiór jego utworów powinien się rozejść jak najszerzéj, témbardziéj, że został wydany własnym nakładem; umożliwi to poecie choć w części wzięcie się do tematów rozleglejszych, za któremi tęskni i które są dla jego talentu najodpowiedniejsze.

= *Brolis.* **Marzenia** (szkice). Tom I, Warszawa, 1892, str. 108. O najpiękniejszym z dotychczas ogłoszonych szkiców powieściowych Brolisa p. n. „Jurgis Durnialis“ była już mowa w „Ateneum“ z powodu ogłoszenia go w oddzielnéj książeczce, jako jednéj z tych, które dla ludu były przeznaczone. Zalety jędrności wyrażenia, prawdy i szczerości uczucia, lubowania się w charakterach silnych i energicznych odnaleźć można i w innych zarysach autora, który je przezwał „Marzeniami“ może dlatego, że przeważnéj ich części nie czerpał z obserwacyi, lecz z głębi własnéj duszy. Nie należy bowiem Brolis do zastępu realistów w kompozycyi; szczegóły tylko tu i owdzie są realistycznie nakreślone, ale całość zazwyczaj bywa, od téj metody pisarskiéj daleka. Lubuje się autor w allegoryi, tak, że na czele zbioru swoich szkiców pomieścił „Baśń mitologiczną“ dla dużych dzieci. Przeprowadza tu rozwój ludzkości nie historycznie, ale symbolicznie przez wskazanie tych czynników, które na ukształtowanie ziemskich stosunków się złożyły. Rozpoczyna od owéj chwili, kiedy „stary król Chaos, otoczony mglistemi cieniami duchów Bezkształtu, siedział na przedwiecznym tronie Bezmiaru“. Byłoby rzeczą nużącą powtarzać wszystkie stadya, jakie autor uwydatnił, jest ich bowiem, jak na szczupłą rozmiarami baśń zbyt dużo, a opowiadanie o nich tak zwięzłe, że streszczenie musiałoby się zamienić na przepisywanie. Dość będzie nadmienić, że początek wszelkiego ruchu i życiu przypisuje wdaniu się wielce uczonego starca „Fatalizmu“, który pewnego razu zauważył, iż atomy mają prawo do życia i światła. Przejścia, jakich myśl ta doznała pod różnorodnemi wpływami potęg sobie najsprzeczniejszych stanowią właśnie główny wątek baśni, nie dość przejrzystéj plastycznéj jako dzieło sztuki, nie dość usystematyzowanéj jako pomysł filozoficzny. Po większéj części zgodzić się można z autorem co do działania rozmaitych czynników, chociażby się nie zawsze przystawało na jego rozumowanie. Oczywiście właściwego zakończenia być nie mogło; autor bowiem musiał poprzestać na scharakteryzowaniu chwili obecnéj, kiedy Chciwość pisze prawa, pochlebstwo, odziane w togę filozoficzną, gło-

si zasady, Obłuda nakłania do sojuszów, a Pycha, wsiadłszy na grzbiet hydry wyprawia harce zwycięskie — i tylko niektóre istoty ludzkie znalazły się na drodze ku sprawiedliwości, lecz dola ich jest smutna; niektóre, prześladowane przez Gniew, padają pod ciosami, inne, ostrożniejsze, okrywając się szatą błazeńską, służą za pośmiewisko dla tłumów; cząstka jedynie najmężniejszych, pomimo szyderstw i klątw, z głową podniesioną dąży do Prawdy... Dalszych kart kroniki nie mógł autor wydobyć „z rąk Nieświadomości“. Jak wszystkie prawie allegorye, tak i „Baśń mitologiczna“ pobudza wprawdzie do myślenia, lecz rozkoszy estetycznéj nie daje. Więcéj życia jest w „Ibrahimie“, chociaż i tutaj nie tyle zwykłe, codzienne objawy bytu miał autor na względzie, ile raczéj oddziaływania spotęgowanéj woli i wyćwiczonego umysłu na naturę zajętą powszedniemi sprawami, zwiększaniem bogactw, ubieganiem się o znaczenie. Ibrahim bogaty i dzielny zostaje po raz pierwszy w życiu zdziwiony i upokorzony przez biednego fakira, który bogactw jego nie łaknie, siły i potęgi się nie lęka; fakir bowiem był wyższym nad wszelkie obietnice i postrachy, mając w sobie samym źródło szczęścia, a w rozmyślaniach swoich i widzeniach znajdując najlepsze środki przepędzenia czasu, stłumienia troski, wyzucia się z więzów konieczności. Wyznaje on zasadę wspólności życia we wszechświecie i śmierć dla niego nie jest groźbą, ale szczeblem do udoskonalenia. Ibrahim, zaprosiwszy fakira pod swój namiot, lubo się oburzał na jego wywody, słuchał go przecież cierpliwie, nie chcąc zgwałcić prawa gościnności; dopiero gdy się oddalił, Ibrahim popędził za nim i chciał go zmusić do odwołania bluźnierstw, jak sądził, miotanych na Mahometa. Fakir jednak obstawał przy swojém, wówczas Ibrahim śmierć mu zadał, ale nie ujrzał w nim ani lęku, ani gniewu. Ta śmierć pełna godności oddziałała na twardego Ibrahima; powoli zaczął zaniedbywać swe interesa, a coraz bardziéj oddawać się rozmyślaniom; a umierając przekazał prawnukowi naukę wszechmiłości: „gdy przed twym namiotem ujrzysz psa skaleczonego, głodnego, opatrz mu rany, nakarm go, albowiem to ja będę; gdy ujrzysz w pustyni dogorywającego wielbłada, podejdź, pogłaskaj go, albowiem to ja będę“... Cztery urywki „Z dziennika pessymisty“ kończy ten tomik, niezbyt poprawny pod względem języka, niezawsze zajmujący, ale zawsze świadczący, że autor lubi i umie wznosić się nad codzienną potrzebą i marzyć o rzeczach lepszyth i wyższych.

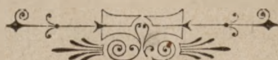
— **Ueber die Satiren des Christoph Opaliński.** *Inaugural-dissertation zur Erlangung der Dostorwürde von der philosophischen Fa-*

cultät der Friedrich-Wilhelms-Uniwersität zu Berlin... von Wladislaw von Rabski. Berlin (1892, str. 65). Rosprawa ta pisana żywo i z pewnym talentem literackim, który tutaj może nawet więcéj się uwydatnia aniżeli w dramacie tegoż autora p. t. „Asceta"; mamy najprzód krótki zarys satyry w Polsce przed Krzysztofem Opalińskim, rozpoczynający się od scharakteryzowania pamfletu napisanego w wieku XV przez Erazma Ciołka p. t. „Epistola taxans Vladislai Jagellonis matrimonium cum Granowska", a kończący się rozbiorem „Satyra na twarz Rzeczypospolitej", przypisywanego dotychczas Andrzejowi Rysińskiemu, a będącego według dość przekonywających wywodów autora dziełem Samuela ze Skrzypny Twardowskiego. Zarys ten, jako wstęp do właściwego przedmiotu, nie mógł być wyczerpującym i zrozumiéć to łatwo, ale trudniéj już pojąć brak ładu w przedstawieniu twórczości satyrycznéj XVI wiekn i początków XVII. Ponieważ o dokładność bibliograficzną nie chodziło, należało ująć ten ruch satyryczny w jakieś ramy ogólniejsze, należało wskazać zasadnicze jego cechy, ażeby uwydatnić podobieństwo i różnicę pomiędzy nim a działalnością satyryczną Opalińskiego. Obecnie mamy tylko wymienione pisma, czasem podana jest ich treść mniéj lub więcéj szczegółowa, lecz uogólnienia żadnego nié ma, a zatem nie usprawiedliwioną została krytyczna potrzeba takiego wstępu do rozbioru Satyr Opalińskiego. Wskazanie autorstwa „Satyra na twarz Rzptéj" jest jedyną istotną zdobyczą téj części pracy p. Rabskiego. Takie bowiem ogólniki, że satyra nie wpłynęła na polepszenie stanu obyczajów i t. p. oczywiście wartości żadnéj posiadać nie mogą. W drugim rozdziale swéj rosprawy zajmuje się p. R. osobą Opalińskiego, podając główniejsze na nią poglądy naszych historyków; w ocenie charakteru nie próbuje autor zająć nowego jakiegoś stanowiska, zgadzając się z zapatrywaniem ogólnie dziś przyjętém; pogląd A. G. Bema wyrażony w przypisku do dziejów literatury polskiéj Spasowicza widocznie jest mu nieznany. Treść i ostatni rozdział, zajmujący więcéj niż połowę całéj rosprawy, poświęcony został rozbiorowi satyr Opalińskiego, rozważanych pod względem oryginalności i wartości estetycznéj. Co do sprawy oryginalności miał już p. Rabski utorowaną drogę przez d-ra Mandybura, który wykazał pożyczki wzięte żywcem lub w przeróbce z satyryków rzymskich, a mianowicie Juwenalisa. Od siebie dodaje p. R. kilka wskazówek co do przejmowania pomysłów i wyrazów od Horacego. Najważniejszém atoli twierdzeniem tu zawartém jest myśl, którą autor starał się udowodnić, iż bądź co bądź odtrąciwszy przesadę właściwą wszystkim satyrykom, winniśmy w utworach Opalińskiego wi-

dzieć istotne odzwierciedłenie zepsutego w wieku XVII stanu obyczajów, nie zaś niewłaściwe przenoszenie barw poczerpniętych od satyryków cesarstwa rzymskiego, na nasze stosunki. Jeżeli bowiem Opaliński brał obrazy i przykłady zwyrodnienia od Juwenalisa, to musiały zachodzić, zdaniem p. R., pewne podobieństwa pomiędzy rzymskiém i polskiém zepsuciem. Na poparcie tego twierdzenia przytacza autor więcéj ogólników niż przekonywających dowodów. Z téj drugiéj kategoryi wymienia mianowicie zepsucie niewiast litewskich, powołując się na szereg autorów począwszy od Eneasza Sylwiusza. Ażeby jednak dowód zupełnie mógł być przekonywającym, potrzeba wykazać wiarogodność źródła, z którego Eneasz Sylwiusz wiadomość swoją zaczerpnął, a powtóre, gdyby się tego dokonało, należałoby jeszcze wykazać, że od XV w. do XVII żadna pod wpływem chrześcijaństwa nie zaszła zmiana na lepsze w obyczajach kobiét litewskich. Już przytoczone przez autora słowa Wolana zachwiewają wiarogodność wieści, a zapewne głębiéj rzecz roztrząsnąwszy możeby się doszło do stwierdzenia, że poszczególne wypadki brano za prawidło. Jako dowód nietylko rozluźnienia, ale i stargania węzłów rodzinnych, trucicielstwa i t. p., p. R. powołuje się na proces Barbary Brzezianki, o któréj sam Opaliński w jednéj z satyr napomknął. P. R nie zna rospawki p. Kraushara o tym przedmiocie, lecz znane mu są same akta, na których rozprawka ta przeważnie się opiera. Inne dowody dotyczą przeważnie spraw publicznych; mówi o nich p. R. ogólnikowo; lepiéj jednakże byłoby powołać się i tutaj na wybitne wypadki. Co do strony estetycznéj sąd p. Rabskiego wogóle jest trafny: odmawia on Opalińskiemu prawdziwie poetyckiego talentu, lubo przyznaje mu plastykę i trafność wielu porównań i obrazów, lubo częstokroć wstrętnych estetycznie. Opaliński, zdaniem krytyka, stara się niejednokrotnie, na wzór satyryków klasycznych, ożywić swoje satyry za pomocą sztuczek retorycznych, za pomocą dyalogów, lecz widać, że to życie jest sztuczne, gwałtem wymuszone, nie wynikające jako konsekwencya nieodbita, lecz tylko jakby jakiś plaster piękności przylepione. Charaktery atoli stworzone przez Opalińskiego nie są cieniami, lecz ludźmi z krwi i ciała, a takie postaci jak wdowy obłudnie żal po zmarłym mężu udającéj, natręta, fałszywego uczonego są arcydziełami (*Kleine Meisterstücke*) w kreśleniu charakterów (str. 61). Zarzuca téż krytyk Opalińskiemu niepotrzebne posługiwanie się słowami i zwrotami łacińskiemi, lubo wié, że sam satyryk potępia w zasadzie makaronizmy, powiadając, że tam tylko wypada zażyć łaciny, „gdzie polskie słowo nie ma téj i takiéj energii jak

trzeba“. W końcu wykazuje p. R. wpływ bezpośredni Satyr Opalińskiego na literacką twórczość najbliższego pokolenia, wpływ ujawniony w pisemku ogłoszonêm r. 1874 przez Szujskiego p. n. „Satyr podgorski w roku MDCLIV zjawiony“. Witamy w p. R-im pracownika uzdolnionego na niwie historyczno-literackiéj.

= **Samozwaniec Jan Faustyn Łuba**. Kartka z dziejów panowania Władysława IV (1643 — 1646) przez *Aleksandra Kraushara*. Warszawa, 1892, str. 71. Na podstawie dokumentów zawartych w Historyi Rosyi Sołowiewa, oraz innych, z rękopisów po raz pierwszy wydobytych, nakreślił p. Kraushar interesujący obrazek odnoszący się do stosunków napozór błahych, a jednak wpływających dość poważnie na bieg spraw publicznych w przeciągu kilku lat panowania Władysława IV. W epoce samozwańców pomiędzy zaciężnemi, co pociągnęli za Dymitrem, znajdował się także Dymitr Michał Łuba, szlachcic z Podlasia, ożeniony z Maryną Mysłowską. Łuba poległ, a żona jego, z nieletnim synkiem, Janem Faustynem, dostała się do niewoli, w któréj zmarła. Około r. 1619 wojewoda Jan Bieliński, zabrawszy z sobą sierotę, powrócił do kraju. Hetman Sapieha zaopiekował się Janem Faustynem i wziąwszy go na swój dwór, kazał go kształcić. W żartach jako syna Maryny, nazywał go od imienia ojca Dymitrowiczem, co pociągnęło za sobą wśród gawiedzi dworskiéj napół seryo, a napół jowialnie wygłaszane opowiadania, iż Dymitrowicz ten to prawdopodobnie ów tajemniczy syn Maryny Mniszchówny, o którym wciąż jeszcze krążyły wieści, że się w domach magnatów polskich ukrywa. Żarty te stały się powodem zawikłań dyplomatycznych, wśród których swoboda, a nawet życie Łuby były zagrożone. W konstytucyi sejmu walnego warszawskiego, uchwalonéj 5 grudnia 1646 r., zamieścić musiano deklaracyę, iż Łuby nigdzie z Polski zagranicę wypuszczać nie będzie wolno, rozkazując pod uczciwością i gardłem, iżby tenże nie śmiał ani zwać się, ani też pisać carowiczem. Najciekawszą część książki p. Kraushara wypełniają rokowania dyplomatyczne, które do ogłoszenia téj deklaracyi doprowadziły.



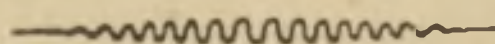
Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюня 1893 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”

1. *Ludwik Ćwikliński.* **Opis zarazy** ateńskiej w dziele Tukidydesa. Kraków, nakład Akademii 1891, 8-vo, str. 52.
2. *B. Ulanowski.* **Liber formularum.** Kraków, 1893, 8-vo, str. 88.
3. **Klemens Janicki** poeta uwieńczony. Napisał *Ludwik Ćwikliński.* Kraków, nakład Akademii 1893, 8-vo, str. 194.
4. *Cycero.* **Leliusz** czyli o przyjaźni. Przełożył *E. Rykaczewski* („Bibl. Powsz.“ № 51). Warsz., nakład T. Paprockiego i S-ki, str. 63.
5. **Die nationale Wiedergeburt** des Jüdischen Volkes in seinem Lande, als Mittel zur Lösung der Judenfrage. Von D r. *Nathan Birnbaum.* Wien, 1893, 8-vo, str. 44.
6. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Tom XII. zesz. 143, (str. 801—880).
7. **Nowsze badania** nad wiekiem złotym sztuki włoskiej. Przez *Witolda Rubczyńskiego.* Kraków w księgarni Spółki wydawniczej, 1893, 8-vo, str. 85.
8. *Jadwiga z Wittów Korzeniowska.* **Nad siły.** Powieść. Kraków, nakł. księgarni Spółki wydawniczej, 1893, 8-vo, str. 195.
9. **Historya piechoty polskiej** przez *Konstantego Górskiego* (z 2 tablicami litogr.). Kraków, nakł. księg. Spółki wydawniczej, 1893, 8-vo, str. 271.
10. *T. Babington Macaulay.* **Szkice i rozprawy** tłómaczył *Stanisław Tarnowski.* Tom I. Kraków, nakład księg. Spółki nakładowej, 1893, 8-vo, str. 348.
11. *W. Rakowski.* **Przewodnik** kolejowy. Rok 1893, sezon letni (wydanie 4-te) Cena k. 50.
12. **Nowoczesne sposoby** leczenia suchot płucnych. Skreślił D-r. *Kazimierz Wisłocki.* (Odbitka z „Medycyny“). Warsz., 1892, 8-vo, str. 14.
13. **Przewodnik** dla służby zdrowia (tak zwanych „sanitarzy“). pracującej podczas epidemii cholery. Ułożył D-r. *Józef Tchórznicki.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 69.
14. **Der Wucher.** Eine socialpolitische Studie von D-r *Leopold Caro.* Leipzig, Dunker & Humblot, 1893, 8-vo, str. 311.
15. **Historya filozofii** nowożytnej, ark. 7—12. (Dodatek do „Prawdy“. Kwartał II), 1893,
16. **Jędrek-malarz.** Napisał z opowiadania *Witold Kirkor.* Warsz., druk Pajewskiego. 1893, str. 43 (cena kop. 10).
17. **Walek-muzykant.** Opowiadanie Wojciecha z Kornelówki. Spisał *Witold Kirkor.* Warsz. druk Pajewskiego, 1893, str. 60 (cena kop. 15).
18. **Szumowiny.** Powieść obyczajowa współczesna przez *Armanda Palacio Valdes.* Przekład z hiszpańskiego. Warsz., nakł. redakcyi „Głosu“, 1893, 8-vo, t. I, str. 312.



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

